

 HARLEQUIN®
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



MARY
NICHOLS

Skandal w wyższych sferach

Mary Nichols

Skandal w wyższych sferach

*Tłumaczenie:
Anna Bartkowicz*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kwiecień 1817

- Stój spokojnie, Issie - powiedziała Jane do siostry, próbując bezskutecznie podpiąć brzeg spódnicy. - Nie wierć się. I przestań patrzeć na siebie w lustrze z takim podziwem. Wszyscy wiemy, jak bardzo piękną będziesz panną młodą.

Jane, mając na uwadze prośbę ojca, robiła, co mogła, by ograniczyć wydatki związane ze ślubem Isabel. Obdarzona talentem do szycia i wszelkich ręcznych robótek, zgodziła się uszyć ślubną kreację siostry. Różowa jedwabna suknia była już prawie gotowa. Miała modny wysoki stan, długie rękawy, luźne u góry i obcisłe od łokcia w dół, dekolt w kształcie serca i powiewną spódnicę. Ozdobiona została koronką i haftem przedstawiającym białe i różowe różyczki. Teraz trzeba było tylko podszyć dół oraz udekorować dekolt i rękawy wstążkami i koronkami, a także małutkimi błyszczącymi koralikami. Miało to zająć Jane jeszcze sporo czasu, lecz ona chętnie pomagała siostrze, nie zazdroszcząc jej szczęścia.

Isabel miała wyjść za Marka Wyndhama. Mark mieszkał wraz z rodzicami o niecałe trzy mile od ich majątku, w posiadłości noszącej nazwę Broadacres, którą miał odziedziczyć po ojcu wraz z tytułem lorda. Rodziny znały się od lat i często się odwiedzały, a o małżeństwie Isabel i Marka była mowa od bardzo dawna. Oficjalne oświadczyzny nastąpiły jednak dopiero po powrocie z wojny na Półwyspie Iberyjskim, podczas której wyróżnił się, służąc jako adiutant sir Arthura Wellesleya, obecnego księcia Wellingtona. Zaręczyny ucieszyły obie rodziny, a ojciec dziewcząt, sir Edward Cavenhurst, odetchnął z ulgą. Nie chciał bowiem, by Isabel poszła w ślady Jane i została starą panną. Ponieważ posiadanie dwóch niezamężnych córek podkopywałoby jego poczucie własnej wartości, a także, co oczywiste, byłoby niekorzystne dla jego kieszeni.

Jane była prawdopodobnie jedyną poza ojcem osobą w rodzinie, która zdawała sobie sprawę, że żyją ponad stan. Widziała, że posiadłość jest zaniedbana, ogrodzenia wymagają naprawy, rowy oczyszczenia, a dom remontu. Dwór Greystone był piękną starą budowlą o grubych murach chroniących przed wschodnim wiatrem od morza, jednak pełnym przeciągów. Wielki salon w domu był lodowaty zimą i chłodny latem. Dlatego rodzina wołała przesiadywać w mniejszym salonie. Jadała też w nim codzienne posiłki. Dziś dziewczęta pracowały w zajmowanej przez Isabel sypialni, której okna wychodziły na podjazd przed domem.

- Jesteś taka dobra, Jane - powiedziała Isabel i uściskała siostrę serdecznie. - Chciałabym być bardziej do ciebie podobna. Potrafisz szyć, gotować, zarządzać domem i masz takie świetne podejście do dzieci z wioski. Powinnaś także wyjść za mąż i mieć własne dzieci.

- Nie wszystkie nasze życzenia się spełniają, Issie.

Jane miała dwadzieścia siedem lat i wszyscy, nie wyłączając jej samej, wiedzieli, że już nie wyjdzie za mąż. Do jej życiowych zadań należało prowadzenie domu, opiekowanie się siostrami, Isabel i niezmiernie emocjonalną, najmłodszą Sophie,

a także wywieranie dobroczynnego wpływu na brata Teddy'ego, który miał ogromną skłonność do rozrzutności. Wszystko to wraz z działalnością charytatywną w pobliskiej wiosce o nazwie Hadlea sprawiało, że zostawało jej bardzo mało czasu na rozczulanie się nad sobą z powodu staropanieństwa.

- Ale czasami... ty... nawet teraz musisz tego pragnąć?

- Raczej nie. Jestem zadowolona z życia.

- Czy nigdy nikt ci się nie oświadczył?

Jane uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Był ktoś dziesięć lat temu, ale nic z tego nie wyszło. Jej ojciec nie zaakceptował kandydata, ponieważ młody człowiek nie miał tytułu, majątku, rodziny z odpowiednią pozycją ani widoków na przyszłość. „Zasługujesz na kogoś lepszego” - powiedział wtedy sir Edward najstarszej córce. Jednak owo „lepsze” nie nadeszło, a jedyny człowiek, w którym Jane się później zakochała, nie odwzajemniał jej uczucia.

Jane nie była piękna, a całe otoczenie, porównując ją z młodszymi siostrami, uważało wręcz za brzydką. Miała wyraziste rysy, ciemne brwi i włosy. Natomiast sześć lat od niej młodszą Isabel uznawano za najpiękniejszą w rodzinie. Była niższa od Jane, a jej figurę cechowały kobiece krągłości. Twarz miała bardziej okrągłą niż starsza siostra i w przeciwieństwie do niej umiała zawsze szybko odzyskiwać równowagę i pogodę ducha.

- Czy ja dobrze robię? - zapytała nagle Isabel, siadając na łóżku w samej halce.

- Czy dobrze? Co masz na myśli?

- Czy... czy dobrze postępuję, wychodząc za Marka?

- Ależ, Issie... Przecież... Czy naszyły cię teraz wątpliwości?

- Małżeństwo to taki poważny krok. Zastanawiam się, czy potrafię sprawić, by Mark był ze mną szczęśliwy. Poza tym nie wiem, czy będzie mi z nim dobrze.

- Ale przecież znasz go od wczesnego dzieciństwa. Jest wysoki i przystojny, hojny i opiekuńczy. I bardzo pragnie spełniać wszystkie twoje życzenia. Czego możesz chcieć więcej?

- No właśnie. Tak dobrze go znam... Spędziliśmy ze sobą wiele czasu i... Być może chodzi o to, że nie dane mi było poznać kogoś innego... Kogoś, kogo obdarzyłabym płomiennym uczuciem...

- Mówisz głupstwa, Isabel. Głupstwa wymyślone przez romantyków... Zamiast kierować się płomiennym uczuciem, znacznie lepiej jest poślubić kogoś, na kim można polegać. Człowieka, który cię nie zawiedzie...

- No tak - odrzekła Isabel. - Na Marku można polegać. Ale... ale on jest dla mnie nieomal jak brat.

- Mark w niczym nie przypomina twojego brata. Wiesz o tym dobrze, Isabel.

- Nie, nie. Rzeczywiście. Nic a nic nie przypomina Teddy'ego. Prawda?

- Niech Bóg broni. Jeden Teddy wystarczy w rodzinie.

Na te słowa obie się roześmiały i napięcie odeszło. Jane pomogła siostrze włożyć codzienną suknię, a gdy czesała jej włosy, usłyszały turkot kół na podjeździe.

- To Teddy - krzyknęła Isabel, wyjrzawszy przez okno. - Boże, skąd on wziął ten frak? Wygląda w nim jak trzmiel!

Jane także podeszła do okna. Brat, o trzy lata od niej młodszy i o trzy lata starszy od Isabel, wysiadł właśnie z gigu wynajętego zapewne w gospodzie Pod Lisem

i Chartami, dokąd z Londynu dotarł dyliżansem. Frak, o którym mówiła Isabel, był w żółto-brązowe paski, miał szeroki kołnierz i z przodu wycięte poły. Włożył do niego jasne spodnie i żółtą kamizelkę w czerwone kropki.

- Papa będzie miał wiele do powiedzenia na temat tego stroju - stwierdziła Jane.

Schodziły obie ze schodów w chwili, gdy służący otworzył drzwi frontowe, wpuszczając ich brata.

- Jane, Isabel! - zawołał Teddy, kłaniając się ceremonialnie. - Mam nadzieję, że znajduję was w dobrym zdrowiu.

- W doskonałym - odrzekła Jane.

- A czy papa jest w dobrym nastroju? Muszę z nim porozmawiać...

- Och, Teddy, nie mów tylko, że chcesz od niego pieniędzy. Wiesz przecież, co powiedział ostatnim razem...

- No cóż... tak... ale... przecież nie da się wyżyć z tego, co zarabiam w kancelarii Hallidayów...

Teddy, zgodnie z wolą ojca, który był zdania, że jego syn nie może próżnować po studiach, pracował w kancelarii prawniczej Hallidaya, gdzie jako początkujący prawnik nie zarabiał wiele.

Za radą Jane udał się zmienić strój na skromniejszy, zanim stanie przed ojcem.

- Nasz braciszek nic a nic się nie zmienił, prawda? - zauważyła Isabel.

- Niestety, nie - odrzekła jej na to Jane. - I obawiam się, że przy kolacji będzie panowała ciężka atmosfera.

Nie myliła się co do atmosfery przy kolacji, bo choć Teddy przebrał się w ciemnoszary frak i białą kamizelkę, do której nosił biały fular, najwyraźniej nie udało mu się uzyskać od ojca tego, na czym mu zależało. Podczas kolacji sir Edward był zagniewany, a lady Cavenhurst zdenerwowana.

Gdy po skończonym posiłku panie piły herbatę w salonie, Jane zapytała matkę:

- Czy papa gniewa się na Teddy'ego?

- Papa jest nie tyle zagniewany, co rozczarowany jego postępowaniem - odrzekła lady Cavenhurst. - Wbrew wcześniejszym obietnicom Teddy nie ograniczył wydatków... Ale nie mówmy o tym. Bez wątpienia znajdą jakieś wyjście z sytuacji.

Była to typowa odpowiedź dla matki, która wolała nie dostrzegać problemów i liczyła, że rozwiążą się same.

Po chwili do salonu weszli ojciec z synem, który oznajmił od razu, że musi wyjść z domu. Jane podążyła za nim do holu.

- Teddy - zagadnęła, przytrzymując brata za ramię. - Masz kłopoty?

- Ogromne - zabrzmiała odpowiedź. - A staruszek odmawia pomocy.

- Co zamierzasz?

Weszli oboje do biblioteki, gdzie usiedli obok siebie na sofie.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Teddy. - A ty, siostrzyczko, nie mogłabyś mi pomóc?

- A ile wynoszą twoje długi?

- No cóż... to przeważnie długi karciane... a więc muszę je spłacić... - oznajmił niepewnie.

-Ile?

- Około pięciu tysięcy.

- Pięć tysięcy?! Och, Teddy, jak to się stało, że jesteś winien aż tyle?

- No wiesz, jak to bywa. Przegrałem trochę i chciałem się odegrać... Po prostu nie miałem szczęścia.

- Komu jesteś winien te pieniądze?

- Najwięcej lordowi Bolsover. Około trzech tysięcy. I żąda szybkiego zwrotu. Krawcy i kupcy mogą poczekać.

- Zaczekać? Na co? Na twoje szczęście w grze? Przecież krawcy i szewcy muszą z czegoś żyć. A długi karciane nie są prawnie egzekwowalne. Powinieneś o tym wiedzieć. Pracujesz przecież w firmie prawniczej.

- Dlatego tym bardziej trzeba je spłacać. To sprawa honoru. Muszę spłacić ten dług natychmiast.

- Och, Teddy... W co ty się wpakowałeś...

- A ty, siostrzyczko, nie możesz mi pomóc? Masz przecież pieniądze, które zapisała ci ciotka Matilda.

- Te pieniądze... to ma być mój posag.

- Ale przecież nigdy nie wyjdiesz za mąż!

Jego słowa dotknęły Jane do żywego, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Być może - odparła. - Tak czy inaczej... chcę przeznaczyć te pieniądze na coś innego.

- Cóż może być ważniejszego niż ratowanie swego jedyne go brata z opresji?

Jane ciężko westchnęła. Marzyła o tym, by otworzyć sierociniec dla dzieci żołnierzy, którzy polegli podczas wojny. Na pomysł ten wpadła w zeszłym roku w Londynie, gdzie zobaczyła obdarte i bose dzieciaki żebrzące na ulicach. Gdy - wbrew życzeniu matki, która jej wtedy towarzyszyła - zagadnęła jednego z tych małych nędzarzy, ten opowiedział jej rozdzierającą serce historię. Jego ojciec zginął na wojnie gdzieś daleko w Portugalii, a matka, zdobywszy jakoś pracę służącej, zamieszkała u swoich państwa. Jane od tego czasu zaczęła się zastanawiać, ile jest w kraju takich dzieci. Bezdomnych, obdartych i głodnych.

Z początku sądziła, że to władze powinny im pomagać. Ich ojcowie walczyli przecież za króla i ojczyznę. Zwróciła się nawet do sir Mortimera Beltona, reprezentanta z ich okręgu, z prośbą, by ten przedstawił problem w parlamencie. Niczego to jednak nie zmieniło, więc Jane postanowiła działać na własną rękę. Zaczęła snuć plan założenia małej szkółki z internatem dla tuzina wojennych sierot z najbliższej okolicy. Gdy mi się to uda, myślała, inni pójdą za moim przykładem. Wiedziała, że pięć tysięcy funtów to na ten cel za mało, i doszła do wniosku, że musi skłonić pastora Cauldera z miejscowej parafii, by pomógł zbierać fundusze. Pastor poradził, by znalazła bogatych filantropów, gotowych wspierać jej przedsięwzięcie. Owe pięć tysięcy miało zachęcić do ofiarności innych.

Prośba brata kazała jej porzucić plany pomocy najbardziej potrzebującym i bezbronnym. Co więcej, Teddy stracił właśnie posadę w kancelarii, o czym nie miał odwagi powiedzieć ojcu.

- Jeżeli mi nie pomożesz - oznajmił - będę musiał wyjechać za granicę. Do Indii...

- Twój wyjazd złamie serce mamie - powiedziała Jane. - A poza tym... pomyśl, jak ogromny skandal wywołasz... Przyniesiesz rodzinie wstyd i zepsujesz ceremonię ślubną Isabel i Markowi. Och, Teddy! Zejdź mi z oczu. Muszę się spokojnie zastano-

wić.

Nie znalazła jednak żadnego innego sposobu, by pomóc bratu, i wpadła w straszny gniew. Z powodu jego egoizmu opuszczone samotne dzieci nadal będą cierpieły głód.

- Kogóż to moje oczy widzą?! Czyżby to był Drew Ashton? - zawołał Mark, idąc Piccadilly, na widok starego przyjaciela. - Skąd się tutaj wziąłeś? Nie widziałem cię kopę lat!

- Byłem w Indiach. Właśnie wróciłem.

- No, no... Wyglądasz na człowieka bogatego.

Mark zmierzył przyjaciela taksującym spojrzeniem, zauważając doskonale skrojony, szary frak, haftowaną kamizelkę, szpilkę z brylantem wpiętą w węzeł starannie zawiązanego fularu, lorgnon z rączką wykładaną macicą perłową i złoty kieszonkowy zegarek. A także eleganckie spodnie i wyczyszczone do połysku równie eleganckie buty.

- Kiedyś nie byłeś taki wytworny - dodał po chwili.

- Poszcęściło mi się, nie przeczę - odrzekł na to Drew. - Ale i ty, Marku, świetnie wyglądasz. Co u ciebie słyhać? I jak się mają twoi rodzice?

Mark poinformował przyjaciela, że się wkrótce żeni i że przyjechał do Londynu, by z prawnikami ustalić szczegóły umowy małżeńskiej oraz kupić ślubny strój. Następnie udali się obaj do hotelu Grillona na wspólny posiłek.

- Powiedz mi - zapytał Mark, gdy siedzieli już przy stole - co cię tak nagle skłoniło do wyjazdu do Indii? Przypominam sobie, że wyjechałeś z Broadacres w pośpiechu. Mam nadzieję, że nie przyczynił się do tego brak gościnności ze strony mojej mamy?

- Ależ nie! Skłoniły mnie do wyjazdu nagłe sprawy rodzinne. Wyjaśniłem to przecież wtedy.

- Ach, rzeczywiście. Zapomniałem. A co zamierzasz robić teraz, kiedy już wróciłeś do Anglii?

- Zajmę się handlem - wyznał. - W ten sposób zresztą się wzbogaciłem. Nie jestem już ubogim krewnym, nad którym wszyscy się litują, bo nie chce za niego wyjść żadna panna.

- Żadna panna? - zdziwił się Mark. - Chyba tobie się coś takiego nie zdarzyło?

- Zdarzyło mi się. Możesz mi wierzyć. Młoda dama, z którą się chciałem ożenić, pogardziła mną. Nie byłem dla niej wystarczająco bogaty! - W tonie Drew zabrzmiała nuta goryczy. - No, ale dosyć o mnie. Opowiedz mi o pannie, z którą się zamierzasz ożenić. Czy jest piękna? Ma dobry charakter?

- Na oba pytania odpowiedź szczęśliwie brzmi: tak. Nazywa się Isabel Cavenhurst.

- Cavenhurst?

- Tak. Ale... wydajesz się zaskoczony?

- Nie, nie - odrzekł pośpiesznie Andrew. - Nie jestem zaskoczony, tylko... to nazwisko jest mi znane. Cavenhurstowie mieszkają niedaleko Broadacres, prawda? - spytał, po czym podjął na pozór obojętnym tonem: - Mają trzy córki. Pamiętam, że najmłodsza dziesięć lat temu była jeszcze mała, średnia była jeszcze pensjonarką,

a najstarsza, Jane, miała siedemnaście czy osiemnaście lat.

- Tak - potwierdził Mark. - Isabel jest średnią córką. I najładniejszą z nich trzech. Sophie, najmłodsza, gdy jeszcze podrośnie, zapewne dorówna jej urodą. A Jane... Cóż, ma inne zalety, za które może być podziwiana... ale uroda nie jest jedną z nich.

- Zatem nie żenisz się z najstarszą... Czy to nie jest trochę... zaskakujące?

- Nie żyjemy w średniowieczu, Drew. Moi rodzice nigdy nie zamierzali narzucać mi żony. Zresztą... gdybym nawet starał się o względy Jane... ona raczej nie przychylnie moich zalotów. Sądzę, że przeżyła niegdyś rozczarowanie. Nie znam szczegółów, wiem tylko, że unikała towarzystwa... Potem oczywiście poszedłem na wojnę i nie było mnie przez sześć lat. Kiedy wróciłem, zaręczyłem się z Isabel.

- Więc kiedy ślub?

- W przyszłym miesiącu. Piętnastego.

- Zatem życzę ci szczęścia.

- Dziękuję. Musisz koniecznie przyjechać na ślub. Ale, ale! Skoro już o tym mowa, mam do ciebie prośbę. Zostań moim drużbą. Miał nim być Jonathan Smythe, ale musiał pojechać do Szkocji do ciężko chorej ciotki, po której ma nadzieję odziedziczyć spory majątek.

- Pochlebia mi ta propozycja. Ale... dlaczego ja?

- Będiesz doskonałym drużbą. A poza tym jesteś jednym z moich najbliższych przyjaciół. Zrobisz to dla mnie, prawda, Drew?

- Zastanowię się nad tym.

- Bylebyś nie zastanawiał się zbyt długo. Tymczasem możesz zrobić dla mnie coś jeszcze. Pomóż mi kupić odpowiednie ubranie, a także podarunki dla narzeczonej i jej druhen. Wyjeżdżam z Londynu pojutrze, więc muszę zrobić zakupy jutro... A dziś wieczorem może udamy się na karty do White'a. Należysz do tego klubu? Nie? To nic. Wprowadzę cię. No to jak? Zgoda?

Mark odłożył nóż i wyciągnął do Drew prawą rękę, którą przyjaciel uściśniął.

- Dobrze. Jutro idziemy na zakupy. Ale co do mojej obecności na ślubie to... nie obiecuję.

Mark uśmiechnął się szeroko. Nie wątpił, że przekona swego kompana, by przyjechał do Broadacres, a wtedy wyjdzie na jaw prawdziwy powód jego wyjazdu do Indii. Mark nie wierzył w opowieść o sprawach rodzinnych, bo wiedział, że Drew ma tylko niezamężną cioteczną babkę, która gdy był mały, po nagłej śmierci jego rodziców, nie chciała się nim opiekować. Oddała go rodzinie zastępczej - złym ludziom, stosującym wobec chłopca fizyczną i psychiczną przemoc, u których Drew mieszkał do czasu, aż poszedł do szkoły. Mark zawsze mu współczuł, bo Drew podczas wakacji, gdy wszyscy inni chłopcy wyjeżdżali do domów, zostawał w internacie. Cioteczna babka nie zgadzała się na takie wyjazdy, obawiając się, że jej podopieczny nabije sobie głowę głupstwami i zacznie mieć wygórowane ambicje. Dopiero gdy obaj skończyli studia, Drew, który mógł już decydować sam za siebie, dał się namówić na wizytę. Nie trwała jednak długo i Mark bardzo chciał poznać przyczynę jego wyjazdu.

Po skończonym posiłku rozstali się i Mark pojechał do kancelarii Hallidayów, by poradzić się młodszego ze współników, pana Cecila Hallidaya, w sprawie umowy małżeńskiej. Chciał bowiem wprowadzić do tej umowy zapis gwarantujący Isabel stałą sumę, tak by miała pewną niezależność finansową. Mając świadomość, że sir Edward zmaga się z kłopotami finansowymi – o czym świadczył chociażby stan jego domostwa i otaczającego go ogrodu – zrezygnował z posagu. Nie chciał bowiem, by rodzina Cavenhurstów cierpiała jakikolwiek niedostatek z powodu jego szczęścia.

Gdy przybył do kancelarii, zdziwiła go nieobecność Teddy'ego, a jego zdziwienie jeszcze pogłębiło się, gdy pan Cecil Halliday oświadczył, że młody Cavenhurst już w kancelarii nie pracuje. Ponieważ prawnik nie chciał się wdawać w szczegółowe wyjaśnienia, przystąpili zaraz do sprawy Marka.

Mark spędził z prawnikiem całą godzinę, pracując nad umową małżeńską, a po wyjściu z kancelarii udał się do mieszkania Teddy'ego. Nie zastał swego przyszłego szwagra w domu, przywitała go natomiast dozorczyńni, narzekając, że młody pan od jakiegoś czasu nie płacił za mieszkanie, a teraz wyniósł się cichaczem. Mark uregulował zaległą należność i wrócił do hotelu.

Znał Teddy'ego od małego. Razem dorastali i uczęszczali do tych samych szkół. Od czasów studiów jednak ich drogi się rozeszły. Mark poszedł po studiach na wojnę, a Teddy zatrudnił się w kancelarii Hallidayów. Dopiero ostatnio w związku ze zbliżającym się ślubem widywali się częściej.

Mark szczerze pragnął lubić swego przyszłego szwagra, nie mógł jednak nie zauważyć, że został rozpieszczony przez uwielbiającą go matkę i wyrósł na egoistę – aroganckiego i pozbawionego wrażliwości. Co tym razem zrobił? Dlaczego Hallidayowie dali mu wymówienie? – zastanawiał się teraz Mark, wiedząc, że postępek Teddy'ego, jakikolwiek by był, nie spotka się z aprobatą sir Edwarda.

Dowiedział się na temat Teddy'ego więcej już tego samego wieczoru, gdy wraz z Drew udał się do klubu na partyjkę wista. Ich partnerami zostali niezbyt dobrze im znani kapitan Toby Moore oraz lord Bolsover. Ten ostatni, ekstrawagancko ubrany, pewnie ze dwa lata starszy od Marka dżentelmen z ciemnymi, krótko przyściętymi i opadającymi na czoło kędzierzawymi włosami, znany był z tego, że spędza mnóstwo czasu przy karcianym stoliku.

– Jest pan zaręczony z jedną z panien Cavenhurst, nieprawdaż? – zwrócił się do Marka z pytaniem.

– W istocie – potwierdził Mark. – Mam zaszczyt być narzeczoną panny Isabel. A dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości, mój drogi panie, z ciekawości. Dobrze znam Cavenhursta.

– Sir Edwarda?

– Nie, jego nie poznałem. Miałem na myśli syna. Spędziłem z nim mnóstwo czasu przy karcianym stoliku. I dużo od niego wygrałem. Sądzę, że pojechał teraz do domu prosić o pieniądze. Kupiłem wszystkie jego długi. Wygląda na to, że on za nic nie płacił, tylko wszystko brał na kredyt. Mam nadzieję, że szybko wróci. Nie mam w zwyczaju długo czekać na pieniądze.

Mark poczuł się zaniepokojony, lecz nie pokazał tego po sobie. Zapewnił nato-

miast lorda Bolsover, że nie ma się czego obawiać, bo sir Edward z pewnością pośpieszy synowi z pomocą.

- Oj, nie wiem - odrzekł tamten bezczelnie. - Mam co do tego wątpliwości, bo słyszałem, że ich rodowa posiadłość jest w opłakanym stanie, a kiesa sir Edwarda świeci pustkami.

- Od kogo pan to słyszał? Ja nic o tym nie wiem.

Lord Bolsover zaśmiał się drwiąco.

- Boi się pan, że nie dostanie posagu?

- Oczywiście, że się tego nie boję. Nie wiem, skąd pan ma takie informacje, ale zapewniam pana, że są błędne. Zostawmy jednak ten temat i wróćmy do gry.

- Jak pan sobie życzy.

Gra rozpoczęła się i nie rozmawiali już więcej o Teddym ani o jego długach. Mark jednak nie mógł przestać o tym myśleć. Ze sposobu, w jaki Bolsover mówił o posagu i stanie posiadłości, wnioskował, że chodzi o dużą sumę, i zaczął się obawiać, że tym razem suma, jaką Cavenhurstowie będą musieli wyłożyć na spłatę długu ich kochanego syna, zrujnuje sir Edwarda. Postanowił zapytać o to Jane, kiedy tylko ją spotka.

Tymczasem skupił się na grze i razem z przyjacielem wygrali sporą sumkę.

- To był dobrze spędzony wieczór - powiedział Drew, gdy opuścili klub i powolnym krokiem szli Jermyn Street, przy której mieszkał.

- Jesteś wytrawnym graczem - odrzekł Mark. - Udało ci się wygrać z Bolsoverem, który uchodzi za bardzo trudnego przeciwnika. Słyszałem też, że nie zawsze gra uczciwie, chociaż nikt jak dotąd nie odważył mu się tego zarzucić. Jeżeli kupił długi Teddy'ego, to... Cóż... nie wróży to dobrze rodzinie Cavenhurstów.

- Rozumiem. To dlatego nie mogłeś się skupić?

- Nie przeczę. Zaniepokoiło mnie to.

- Martwisz się o posag.

- Ależ skąd! Posag to jest najmniejsze z moich zmartwień.

- A więc jutro idziemy na zakupy?

- Oczywiście. A potem przyjedziemy do nas do Broadacres. Czy tak?

- Czyżbym ci to obiecał?

- Nie. Ale bardzo cię o to proszę. Chcę, żebyś poznał Isabel. Zaprosimy Cavenhurstów na kolację.

- Dobrze... skoro tak nalegasz - roześmiał się Drew - nie odmówię staremu przyjacielowi.

W następnej chwili wymienili pozdrowienia i się rozstali.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Papo, czy możesz mi poświęcić minutę?

Jane zastała ojca w gabinecie, gdzie rankiem przeważnie pracował. Sir Edward siedział przy biurku nad dokumentami.

- Ach, to ty, Jane. Wejdz i usiądź. Myślałem, że to ten mój niepoprawny syn... No cóż... powiem ci, że wobec niego nie mógłbym się w tej chwili zdobyć na grzeczność.

- Przykro mi to słyszeć, papo - stwierdziła Jane, siadając na krześle. - To w jego sprawie przychodzę. Ponieważ Teddy... twierdzi, że nie rozumiesz, papo, w jakich on się znalazł tarapatach. I sądzi, że ja ci to lepiej wyjaśnię.

- Och, Jane... - Sir Edward zaśmiał się smutno. - Zapewniam cię, że rozumiem to aż nadto dobrze. I że to on nie rozumie, że nie mogę spełnić jego żądań, nie wpędzając w biedę reszty rodziny.

- Jest aż tak źle?

- Tak, moja córko. Źle zainwestowałem pieniądze i poniosłem straty. A zeszłoroczne marne zbiory, koszty związane z różnymi naprawami w gospodarstwach dzierżawców oraz te związane ze ślubem Isabel okazały się ostatnią kroplą... Konieczne są oszczędności. Przykro mi, ale Teddy będzie musiał sam rozwiązać swoje problemy. Ostrzegałem go zeszłym razem, gdy mnie prosił o pieniądze, że pomagam mu po raz ostatni. Musi teraz przyjąć do wiadomości, że mówiłem poważnie. Nie proś mnie w jego imieniu, bo to nic nie da. Pomyśl raczej, na jakiego rodzaju oszczędności zgodzi się twoja matka.

- Dobrze, papo. - Jane wstała, zamierzając odejść. - Ale... ślub Isabel nie jest zagrożony?

- Nie, nie. Ze ślubem damy sobie radę.

Jane wyszła, ale nie udała się od razu na poszukiwanie brata. Potrzebowała trochę czasu, by oswoić się ze słowami ojca i z tym, że musi poświęcić spadek po ciotecznej babce. I to im prędzej, tym lepiej.

Poszła na górę do swojej sypialni, wzięła lekki szal, włożyła kapelusz i udała się pieszo do wioski, na plebanię, żeby porozmawiać z pastorem i jego żoną.

Otworzywszy drzwi, pastorowa powitała ją z radością. Zaraz też zjawił się wielebny Caulder i również rozpromienił się na jej widok.

- Jakże miło panią widzieć, panno Cavenhurst. Mam nadzieję, że ma się pani dobrze.

- Doskonale - odrzekła Jane. - Ale obawiam się, że przynoszę wieści, które państwa rozczarują.

- Nie chce chyba panienka powiedzieć, że ślub się nie odbędzie? - zawołała pastorowa, podając Jane filiżankę herbaty.

- Nie, nie. Niestety chodzi o sierociniec. Nie mogę ofiarować tych pieniędzy, które obiecałam. - Przerwała i po chwili zastanowienia skłamała: - Okazuje się, że nie wolno mi nimi rozporządzać aż do czasu, gdy wyjdę za mąż albo gdy skończę trzy-

dzieści lat, co nastąpi za trzy lata. Łamię sobie głowę, jak sobie bez tych pieniędzy poradzimy.

- Ależ, moja droga, niepotrzebnie się pani zamartwia - powiedział pastor. - To nie koniec świata. Poradzimy sobie i bez twoich pieniędzy. Musimy tylko znaleźć bogatego patrona. A najlepiej kilku. Z pani zapałem z całą pewnością namówimy ich, by byli dla nas naprawdę hojni.

Jane roześmiała się na to z ulgą i następna część wizyty upłynęła jej i pastorstwu w pogodnym nastroju. Gdy wyszła z plebanii, napotkała dwóch dżentelmenów, którzy szli w jej stronę.

- Jane, jak dobrze, że się spotykamy - zawołał do niej Mark.

Zaskoczona podniosła głowę i natychmiast poczuła się tak, jakby czas cofnął się o dziesięć lat. Dobrze znała towarzysza Marka i musiała przyznać, że czas obszedł się z nim łaskawie. Mężczyzna - wysoki, dobrze zbudowany, o ogorzałej od słońca twarzy - był na dodatek ubrany z perfekcyjną elegancją i patrzył się na nią z lekkim rozbawieniem w oczach. Czyżbym była komiczną postacią? - zastanowiła się. Suknię mam skromną, to prawda, ale mój szal jest ładny, a kapelusz, choć stary, ozdobiony nowymi wstążkami.

- Pamiętasz pannę Cavenhurst, prawda? - zwrócił się Mark do swego towarzysza. - To Jane, siostra mojej narzeczonej.

- Ależ oczywiście! Pamiętam - odrzekł Drew, uchylając przed nią kapelusza. - Jak się pani miewa, panno Cavenhurst?

- Dobrze, dziękuję. A pan?

Często zastanawiała się, co będzie czuła, gdy go spotka ponownie. Czy wyda mi się tak samo pociągający? - zadawała sobie nieraz pytanie. Teraz okazało się, że jest mężczyzną atrakcyjniejszym i znacznie bardziej pewnym siebie niż tamten młodzieniec, któremu kiedyś dała kosza. No, ale cóż, dziwne by było, gdyby po tylu latach się nie zmienił.

- Mam się doskonale, panno Cavenhurst. I bardzo się cieszę, mogąc ponownie panią spotkać. Upłynęło sporo czasu...

- Dziesięć lat - powiedziała cicho i zaraz tego pożałowała. Nie chciała, żeby sobie pomyślał, że liczyła czas od ich rozstania.

- Tak, dziesięć lat - potwierdził. - Dziesięć lat czekałem, by tu wrócić po zdobyciu majątku.

- A zdobył go pan?

- Tak sądzę.

- Niczym nabab! - roześmiał się Mark. - Ale w głębi duszy pozostał tym samym Drew, którego dawniej znałem. Przyjechał w odwiedziny do Broadacres i będzie moim drużbą. Jonathan Smythe musiał wyjechać w sprawach rodzinnych... Czy mogłabyś zamienić ze mną słowo na osobności, Jane? Drew, proszę, wybacz...

- Ależ oczywiście. Zwiedzę wioskę. Do widzenia, panno Cavenhurst.

Drew ponownie uchylił kapelusza i się oddalił, a Jane odprowadziła go wzrokiem.

- Czas był dla niego łaskawy. Wygląda tak jak dziesięć lat temu... ale zaszła w nim pewna zmiana... - powiedziała jakby do siebie.

- Na pewno jest znacznie bogatszy niż dawniej - roześmiał się Mark.

- O czym chciałeś ze mną pomówić? - zapytała.

Nie chciała rozmawiać o Andrew Ashtonie. Jego nagłe pojawienie stało się dla niej dodatkowym problemem. Pragnęła, by przeszłość pozostała zamkniętą księgą, o której jej dawny zalotnik nie będzie jej przypominał.

- Posłuchaj, Jane - zaczął jakby z ociąganiem Mark, a uśmiech zniknął z jego twarzy. - Gdy byłem w Londynie, spotkałem lorda Bolsover. Drew i ja graliśmy z nim w wista.

- Och, Mark, chyba nie masz skłonności do hazardu? Hazard to podstępne...

- Ależ nie. Gram tylko dla rozrywki i o niewielkie stawki - zapewnił ją Mark. - A co do Bolsovera, to raczej go unikam. Usiadłem z nim do stolika tylko dlatego, że Drew miał ochotę zagrać.

- Ale... chyba nie o tym chciałeś ze mną mówić? Zapewne zamierzasz mi oznajmić, że Teddy jest temu człowiekowi winien pieniądze, czy tak?

- Więc ty o tym wiesz?

- Jestem pierwszą osobą, do której mój brat przychodzi ze swymi kłopotami.

- A więc tak. Sądzę, że Teddy jest winien lordowi Bolsover dużą sumę. Powiesz mi ile?

- Nie mogę tego zrobić. Teddy z pewnością by sobie tego nie życzył. A dlaczego pytasz?

- Lord Bolsover twierdzi, że Teddy ma zwyczaj nie oddawać długów... Zapewnił mnie, że wyegzekwuje całą kwotę wszelkimi sposobami. Zdawał się sugerować, że nie cofnie się nawet przed przejęciem posiadłości.

Jane usłyszawszy te słowa, jęknęła.

- Nie, nie, Marku, suma nie jest aż tak wielka. Ale... czy to w ogóle prawdopodobne?

- Dopóki żyje wasz papa, jest to niemożliwe. Kiedy jednak Teddy odziedziczy majątek, sprawa będzie wyglądała inaczej. Isabel oczywiście będzie bezpieczna jako moja żona. Martwię się jednak o ciebie, waszą matkę i Sophie. Czy sir Edward może spłacić długi Teddy'ego?

- Papa odmówił udzielenia Teddy'emu pomocy.

- Boże drogi, naprawdę? A... czy sir Edward wie, w jak okropnej sytuacji znajduje się Teddy? Czy wie, jak wielki jest jego dług?

- Być może, ale nie jestem pewna, czy papa w ogóle dysponuje taką kwotą. Zeszłoroczne zbiory były nędzne, a ponadto podniesiono podatki... Więc... ja wspomogę Teddy'ego. Lord Bolsover powinien wstrzymać się z egzekwowaniem całości długu... Przynajmniej na jakiś czas...

- Ależ, Jane, nie możesz tego zrobić! Przecież te pieniądze to... twój posag.

Jane uśmiechnęła się smutno.

- Ja nigdy nie wyjdę za mąż, Marku - powiedziała. - Wszyscy o tym wiemy.

- Nonsens! Byłabyś doskonałą żoną. A poza tym wiem, że lubisz dzieci. Widziałem cię w wiosce. I wiesz - dodał Mark ze śmiechem - gdybym nie był po słowie, sam poprosiłbym cię o rękę.

Usłyszawszy te słowa, zwykle tak rozsądna i opanowana Jane nie mogła powstrzymać łez. Mark ich widok szczerze zaniepokoił. Objął ją i przyciągnął do siebie, ona zaś oparła głowę na jego ramieniu.

- Nie miałem pojęcia, że to cię może doprowadzić do płaczu. Bardzo cię proszę,

wybacz mi.

Zła na siebie Jane odsunęła się od niego.

- Nie, nie - powiedziała - to nie to. Do łez doprowadziła mnie myśl o tym, że długi Teddy'ego mogą sprawić, że ucierpi cała rodzina. - Otarła łzy i zmusiła się do uśmiechu. - Najchętniej spuściłabym mu lanie.

- Ja też.

- Isabel nic o tym nie wie. Więc, proszę, nic jej nie mów. Nie powinna martwić się przed ślubem. Zresztą... nie mam wątpliwości, że jakoś sobie poradzimy.

- Odprowadzę cię do domu.

- Nie, nie. Wracaj do pana Ashtona. Na pewno na ciebie czeka.

Po tych słowach Jane skinęła głową Drew, który stał nieopodal, i ruszyła pospiesznie w stronę domu.

To takie typowe dla Jane, pomyślał Mark. Zawsze myśli najpierw o innych, a dopiero później o sobie. A jej rodzina uważa to za rzecz oczywistą. Nawet Isabel wykorzystuje ją, kiedy się da. No a Teddy... łądak jest całkiem pozbawiony sumienia... Gdy tylko znajdzie się w tarapatkach, zwraca się do siostry i przyjmuje pomoc bez mrugnienia okiem, nie zastanawiając się, ile wyrzeczeń i trudu ją to kosztuje.

Mark pomyślał, że mógłby spłacić długi Teddy'ego. Był jednak pewien, że sir Edward by sobie tego nie życzył. Teddy z pewnością przyjąłby pieniądze z entuzjazmem, a potem wróciłby do dawnego stylu życia. Jest jak studnia bez dna. Poza tym Teddy'emu należy się solidna nauczka... Tak czy inaczej, wymagało to poważnego namysłu i roztropnego działania, lecz Mark postanowił odłożyć to na później.

- Gdybym cię nie znał lepiej, pomyślałbym, że darzysz swoją przyszłą szwagierkę nazbyt ciepłym uczuciem - powiedział do niego Drew, gdy szli już w stronę Broadacres.

- Ależ skąd - zachnął się Mark i zaraz dodał: - Obawiam się, że ją niechcący wyprowadziłem z równowagi.

- Nie wyglądało na to - zauważył Drew.

- Pozory mylą. A poza tym... to nie twoja sprawa.

- To prawda - zgodził się. - I nie jest to także sprawa tych dwóch kumoszek, które nas obserwują i z całą pewnością rozgłoszą to, co zobaczyły.

Mark pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Drew i zobaczył panie Stangate i Finch stojące przy ogrodowej furtce koło domu jednej z nich.

- O nie! - jęknął. - Te plotkarki dodadzą na pewno dwa do dwóch i wyjdzie im pięć...

Drew roześmiał się na to, po czym powiedział domyślnie:

- Sądzę, że powiedziałaś panie Cavenhurst o naszym spotkaniu z lordem Bolsover...

Mark potwierdził i opowiedział mu, jak Jane jest traktowana przez rodzinę. Przyznał się również do tego, że fakt, iż wszyscy jej członkowie liczą na jej wsparcie, budzi jego gniew.

- A teraz na dodatek chce spłacić długi Teddy'ego, choć oznacza to, że pozbawi się spadku.

- Powiedz mi - odezwał się na to Drew - dlaczego wybrałaś Isabel? Skoro tak wy-

soko cenisz Jane...

- To, że się kogoś wysoko ceni - odrzekł po chwili wahania Mark - nie jest dowodem miłości. Jane ma wiele zalet, ale... ja nie myślę o niej w ten sposób. Wszyscy, włącznie ze mną, zaakceptowali fakt, że ona nie wyjdzie za mąż... że jest po prostu niezamężną siostrą Isabel. Być może to niesprawiedliwe, ale tak już jest - wyjaśnił Mark i dopiero w tej chwili uświadomił sobie, jak bardzo to jest krzywdzące.

- A Isabel? - pytał dalej Drew.

- Isabel jest piękną i pełną życia młodą kobietą. I mnie kocha. Czego więcej może chcieć mężczyzna?

- Rzeczywiście... - mruknął cicho Drew, jakby do siebie.

- A ty, Drew, byłeś kiedyś zakochany?

- Bardzo wiele razy. Zakochiwałem się w każdej kolejnej kochance. I kochałem ją, dopóki miłość nie przeminęła. Bo... każda z tych moich kochanek odsłaniała w końcu swoje prawdziwe oblicze.

- Więc nie kochałeś wcale. Przemawia przez ciebie cynizm, który do ciebie nie pasuje. Czy doznałeś kiedyś rozczarowania?

- Rozczarowałem się wiele razy, tak jak powiedziałem.

- Nie pytam o kochanki. Mam na myśli tę jedyną, prawdziwą miłość. Ach, zaraz, zaraz, przypominam sobie: była jakaś młoda dama, która odrzuciła twoje zaloty. To cię zabiło, prawda?

- I wciąż boli.

- Nie wróciłeś do niej? Nie starałeś się o nią ponownie?

- Nie. Minęło zbyt wiele czasu. Oboje się zmieniliśmy.

- Kim ona jest?

- Być może pewnego dnia opowiem ci tę historię... Ale nie teraz... Proszę, zmienmy temat - zaproponował Drew.

- Świetnie - roześmiał się Mark. - Zatrzymaj swój sekret dla siebie. Chcesz dziś po południu udać się na przejażdżkę?

Doszli już do bramy posiadłości Broadacres i szli w stronę wielkiego domu świadczącego o zamożności przodków rodziny Wyndhamów, którzy wznieśli go tutaj przed wiekami. Miał on cztery kondygnacje, dach zwieńczony blankami i ozdobiony rzeźbami, a jego okna, odbijające światło słońca, błyszczały niczym tysiące luster. Mark uwielbiał ten dom - dom, który miał mu przypaść w spadku i do którego miał wkrótce wprowadzić swoją żonę.

Szli wolnym krokiem, a Mark, który zamierzał zabrać Isabel w podróż poślubną do Indii, wypytywał przyjaciela o ten kraj.

- Indie to kraj niezwykły - opowiadał Drew. - Kraj kontrastów i nierówności. Ogromne bogactwo sąsiaduje z okropną nędzą. Znajdziesz tam również przepiękną przyrodę, którą można się zachwycić, jeżeli tylko dobrze znosi się upały. Latem najlepiej przebywać w górach, gdzie jest chłodno... Jeżeli naprawdę chcecie tam pojechać, to będziecie mogli udać się tam moim statkiem. Niech ta podróż będzie moim prezentem ślubnym.

- Dziękuję ci, przyjacielu. Jesteś bardzo hojny.

- Twoi rodzice byli kiedyś hojni dla mnie. Nigdy tego nie zapomnę...

- To było dawno temu - powiedział Mark - a teraz musimy znaleźć ci narzeczoną.

- Jeżeli zechcę ją znaleźć, poszukam jej sam - odrzekł Drew. - Bo... wybacz, Mark, ale nie znoszę swatów.

Roześmiali się na to, po czym weszli obaj po stopniach prowadzących do głównego wejścia i po chwili znaleźli się w chłodnym wnętrzu domu.

Jane pragnęła ukojenia i dlatego postanowiła iść do domu dłuższą drogą przez las. Problemy Teddy'ego, rozmowa z Markiem i widok Andrew wyprowadziły ją z równowagi. Wszystko to kazało jej również zadać sobie pytanie, jak potoczy się dalej jej życie. Czy wszystko w nim pozostanie takie jak w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Czy może nadchodzi głęboka i poważna zmiana?

Wciąż zamyślona wyszła z lasu na ścieżkę biegnącą przez łąkę, przecięła wąską drogę i weszła przez furtkę do ogrodu znajdującego się na tyłach rodzinnego domu. Przystanęła na chwilę, by popatrzeć na starą budowlę. Została wzniesiona przed wojną domową za czasów Cromwella i trafiła do jej rodziny jakiś czas później w uznaniu zasług dla korony. Od tamtej pory szczęśliwie pozostawała w rękach rodziny Cavenhurstów. Sir Edward szczyił się historią własnej rodziny i miał ogromne aspiracje, które tylko podsyciała niekorzystna sytuacja materialna. Nic więc dziwnego, myślała, że papa był tak bardzo przeciwny mojemu małżeństwu z biednym i niemającym ustosunkowanych krewnych Andrew Ashtonem. Przypomniała też zaraz sobie, że sama - uwielbiając ojca i mając nawyk bezwzględного posłuszeństwa - odrzuciła zaloty swego wielbiciela na jego prośbę.

Potem bolała nad tym faktem przez długie miesiące. Chodziła smutna i zgaszona, dopóki nie wzięła się w garść i nie przystosowała do roli niezameżonej siostry. Rodzice tymczasem zaczęli wiązać swe nadzieje z Isabel i to dlatego teraz wszystko w Greystone kręciło się radośnie wokół jej ślubu.

Przyspieszyła kroku i po chwili znalazła się w domu. Weszła na górę, po czym, zostawiwszy szal i kapelusz w swoim pokoju, zeszła zaraz do małego salonu, gdzie zastała matkę i Isabel sporządzające listę weselnych gości.

- Papa mówi, że musimy ograniczyć liczbę zaproszonych do pięćdziesięciorga - poskarżyła się Isabel. - A ja planowałam zaprosić co najmniej sto pięćdziesiąt osób.

Poparła ją też zaraz lady Cavenhurst, twierdząc, że ograniczenie listy gości do pięćdziesięciu osób byłoby po prostu skąpstwem.

- Tak czy inaczej - powiedziała Jane - jest jedna osoba, która z całą pewnością na ślubie się nie pojawi. To Jonathan Smythe, który musiał wyjechać do ciężko chorej ciotki. W związku z tym Mark znalazł dla siebie nowego družbę. Na pewno powie ci o tym, Isabel, kiedy tylko się z tobą zobaczy.

- To znaczy jutro wieczorem - włączyła się lady Cavenhurst - podczas kolacji w Broadacres, na którą jesteśmy wszyscy zaproszeni. Ale Jane... czy Mark powie ci, kto będzie tym nowym družbą?

- Tak, mamó. Będzie nim pan Andrew Ashton. Spotkałam ich dziś obu w wiosce. Pan Ashton bardzo się zmienił. Wrócił właśnie z Indii, gdzie zyskał wielki majątek.

- Z Indii! - zawołała Isabel. - Mark mi mówił, że najprawdopodobniej właśnie do Indii pojedziemy w podróż poślubną. Będę musiała pana Ashtona dokładnie o ten kraj wypytać.

Wnętrze rezydencji Broadacres robiło równie wspaniałe wrażenie, jak jej widok z zewnątrz. Na parterze była ogromna sień, z której na górę prowadziły schody z piękną balustradą z kutego żelaza. Tuż obok znajdowała się długa galeria z obrazami przedstawiającymi nie tylko przodków i członków rodziny, ale także wiejskie i morskie pejzaże oraz różne zwierzęta – konie, psy czy krowy. Wśród parterowych pomieszczeń były przepięknie umeblowane sale recepcyjne, biblioteka i jadalnia, w której odbywały się uroczyste przyjęcia, oraz imponujących rozmiarów sala balowa zajmująca całe skrzydło domu. Sypialnie również były przestronne i urządzone z wielkim smakiem.

– I pomyśleć, że to będzie twój dom – szepnęła Jane do Isabel w chwili, gdy całą rodzinę Cavenhurstów prowadzono korytarzem do salonu, w którym czekali gospodarze. – Pewnego dnia będziesz tutaj panią.

– Och, nawet o tym nie mów – odrzekła Isabel – bo to mnie przeraża. Wolałabym nie mieszkać w Broadacres razem z rodzicami Marka. Chciałabym, żebyśmy mieli własny dom. Coś mniejszego... Mark jednak nie chce o tym słyszeć. Mówi, że ten dom jest tak wielki, że nie musimy wcale widywać rodziców.

– Ależ, Issie – powiedziała Jane – jestem przekonana, że jako żona Marka dasz sobie doskonale radę ze swymi obowiązkami.

Gdy wszyscy – gospodarze i goście – znaleźli się już w salonie i gdy Andrew Ashton został przypomniany rodzinie Cavenhurstów, Isabel, najwyraźniej zafascynowana historią jego pobytu i sukcesów finansowych w Indiach, postarała się usiąść tuż obok niego.

– Proszę mi opowiedzieć o Indiach – zagadnęła. – Mark obiecał mi, że po ślubie tam pojedziemy, a ja chciałabym przed naszą podróżą jak najwięcej dowiedzieć się o tym kraju. Czy trzeba znać miejscowy język? I czy kobieta musi nosić... Jak nazywają się te suknie, w których chodzą indyjskie kobiety?

– Sari, panno Isabel. Te stroje są wykonane z bardzo delikatnego materiału, który chłodzi, gdy jest gorąco. Niektóre Europejki je noszą, kiedy upał staje się nieznośny.

– Bardzo bym chciała taką suknię przymierzyć.

– Jestem pewien, że wyglądałaby w niej pani uroczo.

– A ich język? Czy trudno się go nauczyć?

– W Indiach mówi się wieloma różnymi językami, ale pani nie miałaby potrzeby ich się uczyć. Miejskowa służba zna angielski, a w każdej innej sytuacji zawsze towarzyszyć będzie pani tłumacz znający ich język i obyczaje.

Jane słuchała tej rozmowy z niepokojem. To, że Isabel zdawała się nią tak bez reszty pochłonięta, nie było grzeczne, zwłaszcza w stosunku do Marka, który stał przy oknie i spoglądał chmurnie na przyjaciela i swoją narzeczoną.

Jane podeszła do niego.

– Isabel nie chce nikogo urazić, a zwłaszcza ciebie – szepnęła. – Jest ciekawa Indii, bo obiecałeś, że ją tam zabierzesz.

– Wiem – odrzekł Mark krótko.

W następnej chwili zjawił się lokaj, oznajmił, że podano kolację, i wszyscy przeszli do jadalni. Kiedy zajęto miejsca, rozmowa zaczęła toczyć się na nowo. Lord Wyndham i sir Edward wymieniali uwagi na temat opłakanego stanu gospodarki kraju. Mówili o marnych zeszłorocznych zbiorach i o tym, że wśród robotników i powraca-

jących z wojny żołnierzy panuje bezrobocie, powodujące społeczne niepokoje, a nawet zawiązanie rewolucyjnych spisków. Martwiło ich, że te zмовы i publiczne zebrania, niekiedy kończące się zamieszkami, sprawiły, że władze zawiesiły ustawę habeas corpus, która gwarantowała nietykalność.

- Dzięki Bogu, że tu, w naszej okolicy panuje spokój - powiedział jego lordowska mość. - A mnie udało się nawet zatrudnić kilkoro nowych pracowników. Nie wątpię, Cavenhurst, że i panu wiedzie się tak samo?

- W rzeczy samej - odrzekł sir Edward, ale nie kontynuował tematu.

Jane wiedziała, że nie zatrudnił ostatnio nikogo nowego - nawet po przejściu na emeryturę starego osiemdziesięcioletniego Crabtree i śmierci kogoś młodszego spośród służby.

- Na szczęście są i dobre wieści - odezwała się lady Wyndham. - Księżna Charlotte jest znowu brzemienna i wygląda na to, że tę ciążę donosi.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie - dodał lord Wyndham. - I że mały następca tronu odwróci uwagę ludzi od wad księcia regenta budzącego tak powszechną niechęć.

W styczniu miał miejsce zamach na jego życie. Nieznany zamachowiec wystrzelił do księcia, gdy ten wracał kareta z uroczystości inauguracji obrad parlamentu. Jednak na szczęście książę wyszedł z tego bez szwanku.

- Mnie leży na sercu los sierot po żołnierzach - oświadczyła z mocą Jane. - Owe dzieci żyją na ulicy. Zamiast przygotowywać się do uczciwej pracy, żebrzą albo kradną. Potrzebują domu i opieki oraz szkoły, która pozwoli im zdobyć zawód i pokaże, jak uczciwie żyć.

- Tak, los takich dzieci jest naprawdę smutny - zauważyła lady Cavenhurst. - Ale, Jane, moje dziecko, jestem pewna, że ich lordowskich mości nie interesuje to twoje przedsięwzięcie.

- Przeciwnie - odparł lord Wyndham. - Mnie ono bardzo interesuje i chcę na jego temat usłyszeć coś więcej.

Uradowana, że ma słuchacza, Jane zaczęła przedstawiać swoje plany, a jego lordowska mość wraz z całą resztą towarzystwa słuchał jej uważnie.

- Zamierzam zacząć od czegoś niewielkiego - mówiła Jane, zamierzając wypróbować swoją umiejętność przekonywania. - Od pomocy dzieciom z najbliższej okolicy. Jednak urządzenie i prowadzenie nawet małego domu dla sierot sporo kosztuje. Aktualnie szukamy bogatych patronów.

- Jane! - zawołała lady Cavenhurst, zszokowana faktem, że jej córka mówi przy stole o pieniądzech.

Lord Wyndham roześmiał się na to i powiedział:

- Państwa córka podchodzi do swego przedsięwzięcia z prawdziwą pasją. Podoba mi się to i zapewniam panią, panno Cavenhurst, że może pani liczyć na moje wsparcie.

- Dziękuję, milordzie - odrzekła Jane. - Jestem panu bardzo wdzięczna.

- Ja także dorzucę coś od siebie - odezwał się Drew. - A ty, Mark?

- Panna Cavenhurst - powiedział Mark - już jakiś czas temu opowiedziała mi o swoich planach i obiecałem jej pomoc.

- Jacy hojni! Wprost szastają pieniędzmi - szepnęła Teddy do Jane.

- Tak. Czyż to nie cudowne? - odrzekła równie cicho. - To lepsze niż marnowanie pieniędzy na hazard.

Rozgniewany tym przytykiem Teddy zamilkł i wrócił do jedzenia.

- A teraz pomówmy o czymś przyjemniejszym - zaproponowała lady Wyndham, która zauważyła wymianę zdań między rodzeństwem. - Jak idą przygotowania do ślubu, Grace?

Lady Cavenhurst chętnie podjęła temat i posiłek zakończył się w przyjemnej atmosferze. Później towarzystwo przeszło do salonu, gdzie dziewczęta po kolei siadały do fortepianu, grając i zabawiając wszystkich śpiewem. Dla tych, którzy mieli ochotę zagrać, rozstawiono stoliki do kart. Było już późno, gdy przyjęcie się zakończyło i przez frontowe wejście zajechała karetka sir Edwarda, która zabrała gości do domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz obie siostry wraz z matką siedziały w małym salonie. Jane zajęta była naszywaniem drobnych koralików na spódnicę ślubnej sukni, a Isabel i lady Cavenhurst wypisywaniem zaproszeń na ślub i weselne śniadanie.

- Pan Ashton to fascynujący człowiek, nie sądzisz? - zapytała Isabel starszą siostrę, przerywając ciszę. - Tak wiele podróżował, zajmuje się tyloma sprawami. I jak interesująco mówi!

- Rzeczywiście - przyznała Jane. - Jednak nie powinnaś była rozmawiać tylko z nim, ignorując przy tym biednego Marka.

- Ależ, Mark nie miał nic przeciwko temu. On wie, jak bardzo pragnę podróżować. - Isabel wzięła do ręki jedno z zaproszeń. - O, zrobił się kleks. Mamo, proszę, podaj mi inną kartę.

- Ile osób skreśliłyście z listy? - zapytała Jane.

- Około jednej czwartej zaproszonych. Więcej się nie dało, bo ci, których byśmy nie zaprosili, obraziliby się na nas. I uznaliby papę za skąpca.

- Ależ, Issie, żaden skąpiec nie wydałby przyjęcia dla pięćdziesięciu osób! Papa martwi się o koszty. Wiesz przecież, co powiedział dziś rano.

Tego dnia rankiem sir Edward wygłosił kazanie o konieczności oszczędzania. A „oszczędzanie” było dla lady Cavenhurst i Isabel słowem całkiem obcym. Inaczej niż dla Jane, która zaproponowała ograniczenie wydatków na stroje i zaleciła większą powściągliwość w kuchni, co oznaczało przede wszystkim rezygnację z egzotycznych owoców w codziennym jadłospisie.

- Niestety - powiedział sir Edward - to wszystko nie wystarczy. Obawiam się, że trzeba będzie wprowadzić naprawdę istotne oszczędności.

Jane spojrzała na swoje zapiski.

- A więc - odparła - nie zostaje nam nic innego, jak ograniczyć liczbę służących. Nie potrzebujemy trzech pokojówek podających do stołu ani trzech usługujących w sypialniach. A gdybyśmy same pomagały pielęgnować ogród, nie potrzebowalibyśmy tylu ogrodników. Poza tym możemy się obejść bez karety.

- Bez karety?! - zaprotestowała jej matka. - Ależ... jak byśmy się bez niej poruszali? Jak byśmy odbywali podróże?

- Możemy jeździć dwukółką - odpowiedziała Jane. - Jeden koń jest tańszy niż czwórka koni. Mając tylko jedno zwierzę i dwukółkę, potrzebowalibyśmy również jednego stajennego. Dalsze podróże odbywalibyśmy dyliżansem.

- Dyliżansem?! - zawołała matka. - To wykluczone!

- Poza tym mogłabym podjąć jakąś pracę.

- Niech Bóg broni! - zaprotestowała znowu lady Cavenhurst. - Nie zostałam wychowana, żeby pracować! A poza tym, co mogłabyś robić?

- Mogłabym projektować i szyć luksusową konfekcję. Piękne suknie przeznaczone dla dam z towarzystwa. Albo zostałabym guwernantką. Tak... praca nauczycielki dawałaby mi satysfakcję.

- Dobrze z ciebie dziecko, Jane - odezwał się sir Edward. - Miejmy nadzieję, że do

tego nie dojdzie.

- Ja w każdym razie nie chcę o tym słyszeć - oznajmiła lady Cavenhurst. - Edwardzie, robisz z nas nędzarzy.

- Cóż... szczęśliwie daleko nam do tego - odrzekł sir Edward, usiłując się uśmiechnąć. - A co do ślubu i wesela, to proszę was, ograniczcie liczbę gości do pięćdziesięciorga i nie wydawajcie zbyt dużo na przyjęcie.

- Na oszczędzanie przyjdzie czas po weselu - oznajmiła stanowczo lady Cavenhurst. - Po ślubie Isabel Sophie bez wątpienia szybko wyjdzie za mąż. Wtedy nasze wydatki będą znacznie mniejsze, a wszystkie te oszczędności okażą się niepotrzebne.

Sir Edward dał za wygraną i wyszedł, nie wspominając nic o problemach Teddy'ego. Jane odłożyła suknię ślubną siostry na krzesło.

- Pozwól, Isabel, że spojrzę na listę gości - poprosiła.

- Nie - zaprotestowała. - Zepsujesz mi wesele, a ja chcę, żeby wszyscy mnie zobaczyli w ślubnej sukni, wychodzącą za mąż za najbardziej pożądanego dżentelmena w okolicy.

- Isabel, ślub to tylko początek... Małżeństwo jest czymś znacznie głębszym i poważniejszym.

- Wiem o tym! Uważasz mnie za idiotkę? A poza tym... co ty o tym możesz wiedzieć...

- Dziewczęta, przestańcie się sprzeczać - uspokajała matka.

Dyskusję jednak przerwała dopiero pokojówka, która zjawiała się, by zaanonsować przybycie panów Wyndhama i Ashtona, przyprawiając tym samym Isabel o atak paniki.

- Mark nie może zobaczyć sukni! - powiedziała przyciszonym głosem. - To zły omen! Jane, schowaj suknię! Szybko!

Z tymi słowami zerwała się gwałtownie od stołu, przewracając kałamarz. Atrament popłynął po blacie i zaczął kapać na krzesło, na którym Jane położyła suknię. Isabel wydała rozpaczliwy okrzyk, który sprawił, że obaj dżentelmeni wpadli do pokoju.

- Co się stało? - zapytał Mark. - Isabel, czy się zraniłaś?

- Wyjdź! Wyjdź stąd natychmiast! - zawołała ze łzami.

- Ależ, kochanie, jesteś taka wzburzona...

Mark wyglądał na zakłopotanego, więc Jane postanowiła interweniować.

- Miałyśmy mały wypadek z suknią ślubną- poinformowała go.

Próbowała zachować spokój, ale widok czarnej plamy na spódnicy sprawił, że przychodziło jej to z wielkim trudem. Piękny materiał został zniszczony i wyglądało na to, że długie godziny pracy nad suknią poszły na marne. Zbierało jej się na płacz, jednak powstrzymała się, bo pomyślała, że jedna szlochająca kobieta to aż nadto.

- Jeżeli mi panowie pozwolicie, to w kilka minut uspokoję moją siostrę - poprosiła.

- Ależ, oczywiście. Oddalimy się teraz i przyjdziemy później - zgodził się Mark.

- Tak będzie najlepiej - powiedziała lady Cavenhurst.

Gdy panowie wyszli, a pokojówka sprzątnęła ze stołu, Jane zaraz rozpostarła suknię, by przyjrzeć się plamie. Zabrudzenie nie wyglądało na poważne i można było je usunąć, ale Isabel nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Przecież nie mogę iść do ślubu w sukni, która była prana! - zawołała. - To naprawdę zły znak. Bardzo zły!

- Przestań dramatyzować, Issie - skarciła ją Jane. - Sprawdzę, czy zostało dość materiału, by zastąpić to brudne miejsce. - Nie wierzyła w to, ale chciała pocieszyć siostrę.

- To twoja wina, Jane - syknęła Isabel z gniewną miną. - Nie powinnaś była siedzieć tak blisko mnie, gdy pisałam!

Jane powściągnęła oburzenie i nie odpowiedziała. Stwierdziła, że nie dotrą teraz do siostry żadne rozsądne słowa. Następnie zaniósła suknię do pokoju, w którym pracowała pomagając jej w szyciu szwaczka, by poszukać odpowiedniego kawałka materiału i zastanowić się nad sposobem uratowania kreacji. Tam okazało się, że zadanie było możliwe do wykonania, choć wymagało wiele zręczności i pomysłowości. A także sporego nakładu pracy. Jane jednak bardziej martwiła się faktem, że Isabel najwyraźniej nie potrafi sięgnąć wyobraźnią poza ślub i nie ma pojęcia, czym naprawdę jest małżeńskie pożycie.

- Ale co ja mogę o tym wiedzieć - mruknęła do siebie, zabierając się do odpruwania koralików. - Co może wiedzieć stara panna niemająca żadnych widoków na to, by cieszyć się rolą żony...

Pracowała już jakieś pół godziny, gdy w małym salonie zjawiała się jej matka. Lady Cavenhurst - która dała Isabel ziółka na uspokojenie i skłoniła ją, by się zdrzemnęła - zeszła bowiem na dół, żeby skończyć wypisywać zaproszenia. Wkrótce potem zjawili się ponownie Mark i Drew.

- Proszę nam wybaczyć, że wróciliśmy tak prędko - przeprosił Mark, składając ukłon. - Ale niepokoiłem się o Isabel. Była taka wzburzona. Obawiałem się, że doprowadzi się do rozstroju nerwowego.

- Isabel doznała szoku, widząc plamę z atramentu na swojej pięknej sukni ślubnej - odrzekła lady Cavenhurst, gestem wskazując dżentelmenom, gdzie mogą usiąść, a potem dając znak służącej, by przyniosła herbatę. - Teraz już się uspokoiła, bo wie, że Jane naprawi szkodę.

- Owszem, jestem dobrej myśli - Jane potwierdziła słowa matki.

- Kochana! - odezwał się Mark. - Jesteś nieoceniona. Mamy w stosunku do ciebie ogromny dług wdzięczności.

- Pochlebca z ciebie, Marku - powiedziała Jane, czując, że się rumieni. - Proszę cię, przestań. Każda siostra postąpiłaby podobnie na moim miejscu.

- Och, Jane, ocenę swojego postępowania pozostaw innym - odrzekł Mark. W tej samej chwili przypomniał sobie, jak Isabel, która przecież sama zaplamiła swoją suknię, głośno oskarża o to siostrę. Jego narzeczona, choć tak piękna i urocza, ma trudny do okiełznania temperament i skłonność do nieliczenia się z uczuciami innych. A Jane, ta opanowana Jane, zawsze myśli najpierw o innych, a dopiero potem o sobie.

Ale dlaczego je w ogóle porównuję? - zadał sobie w duchu pytanie. Ostatnio za często to robię, a to dobrze nie wróży...

Naraz do rozmowy włączył się Drew, który wręczył lady Cavenhurst niewielką opakowaną w szary papier paczuszkę, z prośbą, by pozwoliła Isabel przyjąć ją od

niego w prezencie.

- A co to takiego? - zapytała zaskoczona lady Cavenhurst.

- To nic wielkiego, milady. To tylko kupon materiału na sari. Panna Isabel wczoraj wieczorem wyraziła zainteresowanie Indiami i wszystkim, co jest z tym krajem związane. Jeżeli nie zechce nosić sari, to sądzę, że materiału wystarczy na suknię. Proszę to uznać za prezent ślubny.

- Jakież to miłe z pana strony.

Lady Cavenhurst rozpakowała paczuszkę i oczom wszystkich przedstawił się kupon różowego jedwabiu w kolorze bardzo podobnym do koloru sukni ślubnej Isabel. Materiału było bardzo dużo, a zmieścił się w tak niewielkiej paczce dlatego, że był bardzo cienki i delikatny. Lady Cavenhurst postanowiła pozwolić Isabel przyjąć ten prezent, oczywiście za zgodą Marka.

Wkrótce w salonie pojawiła się także przyszła panna młoda. Mark pospieszył ku niej, ujął ją za obie ręce i zapytał z troską:

- Czy czujesz się lepiej, kochanie?

- Tak, Marku, nie rób koło tego szumu. Zdenerwowałam się, bo myślałam, że suknia jest całkiem zniszczona i nie da się z nią nic zrobić. Ale mama mówi, że Jane sobie z nią poradzi, więc nie wszystko przepadło - odrzekła i zaraz zwróciła się do Drew: - Dzień dobry panu. Przepraszam, że nie powitałam pana wcześniej. Proszę mi wybaczyć - dodała z uroczym uśmiechem.

- Nic się nie stało, panno Isabel. Dżentelmeni często nie potrafią zrozumieć, jak ważna dla dam jest kwestia ubioru.

- A pan to rozumie, czy tak? - roześmiała się zalotnie Isabel, a Jane doznała szoku, widząc, że siostra tak lekceważąco traktuje Marka i próbuje flirtować z jego przyjacielem.

Była jeszcze bardziej oburzona, gdy po chwili Isabel, której matka przekazała piękny prezent, zaczęła z zachwytem domagać się, by Drew pokazał jej, jak sari układa się na ciele.

- Isabel! - przywołała ją do porządku lady Cavenhurst, również oburzona tym zachowaniem. - Proszę cię, uspokój się! Złóż materiał i zanieś go do swego pokoju, zanim wylejesz na niego herbatę!

Gdy zniknęła, zabierając ze sobą materiał, w salonie zapanowała krępująca cisza. Jane, pijąc w milczeniu herbatę, pomyślała, że nie zdziwiłaby się, gdyby Mark zganił narzeczoną za jej zachowanie. Poza tym zastanawiający wydał się jej sam prezent. Jakim motywem kierował się pan Ashton. Czy rzeczywiście chciał jedynie pospieszyć z pomocą po wypadku z suknią ślubną? Czy może kryło się za tym coś więcej?

Z zamyślenia wyrwał ją Mark, który stwierdziwszy, że na kolejny dzień zapowiada się piękna pogoda, zaprosił ją i Isabel na wycieczkę do nad morze. Gdy lady Cavenhurst wyraziła zgodę, powiedział, wstając:

- Jesteśmy zatem umówieni. Drew i ja zajedziemy kareta jutro rano, o dziesiątej.

Z tymi słowami obaj dżentelmeni pożegnali się i wyszli.

Kareta Wyndhamów okazała się bardzo wygodna, a w jej wnętrzu było aż nadto miejsca dla czterech osób. Dwadzieścia mil dzielących wioskę Hadlea od Cromer przebyli w niecałe dwie godziny. Po drodze rozmawiali przeważnie o podróżach

Drew, o które wypytywała Isabel. Gdy wysiedli przed gospodą znajdującą się w wiosce niedaleko kościoła, poczuli natychmiast chłodny powiew od morza.

- Dobrze, że wzięliśmy ze sobą ciepłe szale - powiedziała Jane, otulając się swoim.

Podobnie jak siostra miała na sobie muślinową suknię i okrywającą ramiona jedwabną pelerynkę. Jej suknia była w zielone paski, a suknia Isabel biała. Na głowie każda z nich nosiła słomkowy kapelusz przytrzymywany wstążką związaną pod brodą.

- Czy wolałabyś zostać w karecie, Jane? - zapytał Mark. - Albo pójść do hotelu?

- Ależ nie - odrzekła. - Przyjechałam tutaj dla rześkiego morskiego powietrza, więc chcę nim pooddychać. A ty, Issie?

- Ja też. Wcale mi nie jest zimno. I chcę zejść na dół, na plażę.

- Skoro tak, to idziemy - oznajmił Mark i podał ramię narzeczonej, zostawiając Jane i Drew nieco z tyłu.

Jane nie wzięła Drew pod rękę, szli jednak obok siebie. Brukowana droga doprowadziła ich do miejsca, z którego zobaczyli plażę i morze - spokojne, ale z pewnością zbyt zimne na kąpiel. Ustaliwszy, że ani panie, ani panowie nie mają na nią ochoty, zeszli ścieżką biegnącą z klifu na plażę. Gdy znaleźli się na twardym mokrym piasku tuż przy linii wody, Jane ruszyła przodem, a Mark dotrzymał jej kroku. Drew tymczasem, zostawszy nieco z tyłu, podniósł płaski kamyk i puścił kaczkę. Na to Isabel aż klasnęła w dłonie.

- Och, jaki pan zręczny, panie Ashton! - zawołała. - Proszę mnie nauczyć!

Drew podniósł drugi kamyk i podał go jej.

- Trzeba go cisnąć dość energicznie, tak żeby leciał płasko tuż nad wodą. A wtedy odbije się od niej kilka razy, zanim zniknie pod jej powierzchnią.

Isabel spróbowała, ale jej nie wyszło.

- Nie, nie, to trzeba zrobić w ten sposób - powiedział Drew, biorąc ją za rękę.

W tej samej chwili Mark i Jane się obejrzel i zobaczyli, że Drew, obejmując Isabel ramieniem, próbuje pokierować jej ręką. Oboje śmiali się przy tym radośnie.

- Boże drogi - westchnęła Jane. - Isabel nie ma za grosz poczucia przyzwoitości. Miejmy nadzieję, że tu, na plaży nie ma nikogo znajomego.

- To nie jej wina - odrzekł Mark. - Drew czasami zapomina, że nie jest w Indiach, gdzie obyczaje są swobodniejsze.

Jane podejrzewała, że to nie jest do końca prawda. To takie do Marka podobne, że z uporem nie chciał dostrzec jakiegokolwiek błędu ukochanej, pomyślała i zawróciła szybko, idąc w stronę siostry. Mark pospieszył za nią.

- Drew uczył mnie puszczać kaczki! - zawołała Isabel. - Chodźcie tu i także spróbujcie.

Jane nie mogła przy dżentelmenach udzielić siostrze reprimendy. Odczekała chwilę, gdy podjęli spacer, i odciągnęła ją na stronę.

- Nie chcę, Issie, udzielać ci nagany, ale muszę powiedzieć, że nie powinnaś była pozwolić, żeby pan Ashton cię obejmował. Nie powinnaś też zwracać się do niego po imieniu.

- Daj spokój, Jane, nie rób z tego problemu - odrzekła Isabel. - Nie było nic złego w tym, że pan Ashton pokazywał mi, jak rzucić kamyk. A poza tym Mark zawsze

mówi z nim po imieniu. Wyrwało mi się, ot i wszystko.

- Jestem pewna, że nie chciałaś. Ale musisz bardziej uważać.

- No, no... Kocioł garnkowi przyganiał. Przecież to ciebie widziano w wiosce w ramionach Marka. Sophie słyszała o tym od swojej przyjaciółki, Maud Finch, a ta od swojej mamy.

Jane przypomniała sobie panią Finch i panią Stangate, które widziały ją z Markiem w Hadlea.

- Potknęłam się, a Mark mnie podtrzymał, żebym nie upadła - wyjaśniła. - Wiesz, że pani Finch potrafi zrobić z igły widły. A co do Sophie, to... ona nie powinna powtarzać takich plotek.

- Zepsułaś mi humor tym upomnieniem. A tak świetnie się bawiłam - rzuciła Isabel z niezadowoloną miną.

Jednak w parę chwil później, podtrzymując ręką spódnicę, pędziła po piasku w stronę wody. I śmiała się, gdy fale obmywały jej stopy w giemzowych pantofelkach, nie bacząc, że te z pewnością będą po takiej kąpieli do wyrzucenia. Jane przykro było, że musiała ją zrugać i że sama wyszła przy tym na osobę, która potrafi zepsuć każdą zabawę. Chodziło jej przecież tylko o Marka, który, choć tego nie powiedział, a nawet bronił Isabel, z pewnością poczuł się dotknięty.

Wkrótce doszli do miejsca, gdzie przybiły łodzie rybaków, od których Mark kupił dla dziewcząt kraby, a następnie wrócili na promenadę i zjedli lekki posiłek w gospodzie Pod Czerwonym Lwem. Gdy stamtąd wyszli, udali się jeszcze na krótką przechadzkę wzdłuż szczytu klifu, skąd przez lunetę należącą do Drew patrzyli na morze.

- Wszystko wydaje się tak blisko - powiedziała Jane. - Widzę nawet marynarzy na pokładzie statku i jego nazwę: „Gwiazda Poranna”.

- To tym statkiem wróciłem z Indii - oznajmił Drew. - To bardzo dobry statek. Szybki i bezpieczny. Zamierzam kupić podobny, by nadal prowadzić handel z Indiami.

- A wtedy Mark i ja popłyniemy nim do Indii - ucieszyła się Isabel. - To już za trzy tygodnie. Nie mogę się doczekać. Pan też będzie nim płynął, panie Ashton?

- To zależy - odrzekł Drew. - Nie wiem jeszcze, jak ułożą się moje sprawy.

- Sądzę, że powinniśmy już wracać - odezwała się Jane. - Mama z pewnością zachodzi już w głowę, co się z nami dzieje.

Kareta zajechała przed dwór o piątej po południu. Jane i Isabel pożegnały się z dżentelmenami i niosąc paczkę z krabami dla kucharki, weszły do środka. Były zmęczone, lecz bardzo zadowolone, i gotowe natychmiast opowiadać matce, jak spędziły ten dzień. Nikomu tego wieczoru nie przyszło do głowy, że może wydarzyć się coś tragicznego, a Isabel całkiem zapomniała o złych znakach i wszelkich podobnych niepokojach.

Nikt w Greystone nie spodziewał się zobaczyć ponownie Marka tak szybko. Tymczasem zjawił się o bardzo wczesnej godzinie następnego ranka smutny i przygnębiony. Sir Edward był w chwili jego przybycia w stajniach, ale panie siedziały jeszcze przy śniadaniu.

Mark złożył im ukłon.

- Przepraszam, że przeszkadzam o tak wczesnej porze. Obawiam się jednak, że przynoszę okropne wieści. Nie chciałem, żeby państwo usłyszeli je z ust kogoś innego... - Tu zamilkł, tłumiąc szloch, po czym dokończył: - Mój ojciec zmarł we śnie dzisiejszej nocy.

Po tych słowach na kilka chwil zapadła cisza. Przerwała ją dopiero lady Cavenhurst, która pierwsza otrząsnęła się z szoku.

- Och, Boże - powiedziała - biedny człowiek. Co za straszna wiadomość! Przecież jego lordowska mość podczas kolacji, którą jedliśmy przedwczoraj razem, wydawał się człowiekiem w doskonałym zdrowiu.

- Znalazł go jego pokojowiec, gdy dziś rano przyszedł go obudzić - wyjaśnił Mark. - I natychmiast mnie zaalarmował. A ja posłałem po doktora Trencha, choć wiedziałem, że jest już za późno, by cokolwiek zrobić. Jego serce po prostu nie wytrzymało. Tak powiedział doktor. Jak panie mogą się domyślać, moja matka jest zrozpaczona.

- Biedna lady Wyndham - odezwała się Jane. - Czy jest coś, co my możemy w tej sytuacji dla niej zrobić?

- W tej chwili raczej nie. Ale być może trochę później matce dobrze zrobi pań wizyta - odrzekł Mark, po czym zwrócił się do Isabel, która patrzyła na niego tak, jakby był zjawą: - Isabel, przykro mi, ale nasz ślub musi zostać odłożony na czas żałoby.

- Odłożony... - powtórzyła jak echo, po czym zalała się łzami.

Jane podeszła do niej, by ją pocieszyć.

- Cicho, Issie, cicho. Musisz być dzielna ze względu na Marka. On w ciągu najbliższych tygodni będzie miał całe mnóstwo spraw na głowie.

- To prawda - potwierdził Mark. - Obawiam się, że teraz muszę już iść. Powiadomię państwa później o dacie pogrzebu. Isabel, odprowadzisz mnie do drzwi frontowych? Oczywiście, jeżeli milady się zgodzi.

- Ależ, naturalnie. Idź, Isabel. I proszę, milordzie, przekazać lady Wyndham wyrazy naszego najgłębszego współczucia.

Mark, słysząc, że lady Cavenhurst go tytułuje, uśmiechnął się niewesoło.

- Wygląda na to, że będę musiał się do tego tytułu przyzwyczaić - zauważył. - Ale dla pani, milady, jestem po prostu Markiem, tak jak dawniej. Proszę mnie nie tytułować. - Wyciągnął rękę do Isabel. - Chodź, moja droga, chcę z tobą pomówić.

Isabel podała mu rękę i oboje wyszli z pokoju. Jane i matka natomiast zostały, patrząc na siebie i nie wiedząc, co powiedzieć.

- Co za straszna wiadomość - odezwała się w końcu lady Cavenhurst. - Współczuję ogromnie biednej lady Wyndham. Oni się tak bardzo kochali. I zastanawiam się, jak długo będzie trwała żałoba.

- Zwykle trwa rok, mamo.

- Wiem. Będziemy musiały pomóc Isabel to znosić. No i trzeba odwołać zaproszenia na ślub i zamówienia związane z przyjęciem. - Tu lady Cavenhurst nagle się uśmiechnęła. - Ojciec przynajmniej na razie nie poniesie żadnych kosztów.

Jane stwierdziła w duchu, że ktoś musi troszczyć się o rzeczy praktyczne... Sama jednak myślała tylko o Marku i jego matce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mark wrócił do Broadacres zrozpaczony i przytłoczony ciężarem odpowiedzialności, jaki spadł teraz na jego barki. Miał mnóstwo do zrobienia, a ślub stanowił ostatnią rzecz, o jakiej był skłonny myśleć w tej chwili. Isabel, co zrozumiała, bardzo się zmartwiła, lecz jemu – zanim odjechał – udało się ją nieco uspokoić. Powiedział jej, że czas żałoby szybko minie i wkrótce nadejdzie pora wymarzonego przez nią ślubu i wesela.

– Możliwe, że nie będziemy mogli udać się w tak długą, jak planowaliśmy, podróż poślubną. Ale może później, gdy wdrozę się już w swoje obowiązki związane ze sprawami majątku, powetujemy to sobie. Widzisz, kochana, śmierć ojca przyszła tak nagle... że jakoś w tej chwili nie potrafię wszystkiego ogarnąć.

– Mama zwróciła się do ciebie, używając tytułu. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, co się tak naprawdę wydarzyło i jak bardzo zmieni się twoje życie. Staniesz się teraz zupełnie innym człowiekiem, Marku.

– Ależ to nonsens. Nie zmienię się z tego tylko powodu, że odziedziczyłem tytuł i majątek. A ty, kiedy się pobierzemy, będziesz nosiła tytuł „lady”.

– I będę panią domu w rezydencji Broadacres?

– Oczywiście.

– Nie jestem pewna, czy będę potrafiła odnaleźć się w tej roli. Możliwe, że cię rozczaruję.

– Ależ, oczywiście, że będziesz potrafiła, głuptasku – odrzekł Mark, całując ją w czoło. – I nie rozczarujesz mnie wcale. Zresztą w okresie żałoby przyzwyczaisz się do myśli, że ta rola ci przypadnie. A teraz wybacz mi, muszę już iść. Zobaczymy się ponownie, kiedy odwiedzicie moją matkę.

Gdy Mark wrócił do domu i zapytał o matkę, powiedziano mu, że milady wypija uspokajające ziółka i odpoczywa w swoim pokoju. Postanowił jej nie przeszkadzać i zajął się pisaniem listów zawiadamiających o śmierci ojca. Było to smutne zajęcie, które z powodu ogarniającego go wzruszenia musiał co jakiś czas przerywać. Jego ojciec był najlepszym z ojców. Poświęcał mu w dzieciństwie wiele czasu i uwagi. Nauczył go strzelać, łowić ryby i jeździć konno, zapewnił mu najlepszą edukację, wpałał zasady moralne i na własnym przykładzie nauczył go, jak trzeba się troszczyć o innych oraz że należy odnosić się do wszystkich – czy to biednych wyrobników, czy wielkich panów – z należnym im szacunkiem. A teraz ojca nie było już wśród żywych...

Spora liczba listów była już gotowa, gdy w gabinecie zjawił się Drew.

– Domyślałam się – powiedział – że ślubu w najbliższym czasie nie będzie. I że nie czas teraz na to, byście bawili gości. Postanowiłem jutro wrócić dyliżansem do Londynu.

– Będzie mi ciebie brakowało, Drew.

– A mnie ciebie. Ale przyjadę na pogrzeb, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie mam. Pogrzeb odbędzie się w przyszły czwartek. Tutaj w Hadlea.

- Podziękuj ode mnie lady Wyndham za gościnę. Napisałem zresztą do niej krótki liścik, który pokojówka wręczy milady, gdy poczuje się lepiej.

- To miłe z twojej strony.

- Pozdrów też pannę Isabel i złóż jej moje wyrazy współczucia. Trudno jej będzie zapewne czekać na ślub i pogodzić się z tym, że jej życie będzie wyglądało inaczej, niż się spodziewała. Jak przyjęła tragiczną wiadomość o śmierci jego lordowskiej mości?

- Jest bardzo zasmucona, co całkiem naturalne, ale właściwie trzyma się dobrze. Ma wsparcie ze strony matki i Jane, za co jestem im wdzięczny, bo sam nie mogę poświęcić jej w tej chwili dostatecznej uwagi.

- Jestem pewien, że panie Cavenhurst doskonale to rozumieją - powiedział Drew.

- No a teraz wybacz, ale pójdę dopilnować pakowania.

- A zatem do widzenia, Drew. Kiedy będziesz już gotowy, Jeremy zawiezie cię do gospody Pod Lisem i Chartami.

- Do widzenia, Mark - odrzekł Drew i wyszedł, a Mark wrócił do swego zajęcia.

Godzinę później skończył i był gotów przyjąć lady Cavenhurst i jej trzy córki, które właśnie przyjechały. Wszystkie witając się, dygnęły przed nim i tytułowały go „milordem”, co wprawilo go w zakłopotanie. Poprosił też zaraz, by nie traktowały go inaczej niż wcześniej.

- Jak się czuje pańska droga matka, milordzie? - zapytała lady Cavenhurst. - Jeżeli nie życzy sobie nas teraz widzieć, to nie będziemy jej przeszkadzały - dodała, ale w tej samej chwili do salonu weszła lady Wyndham.

Ubrana była od stóp do głów na czarno.

- Grace - powitała przyjaciółkę - dziękuję wam za to, że przyjechałyście.

Lady Cavenhurst podeszła do niej i ujęła jej obie dłonie.

- Och, Helen, ogromnie, naprawdę ogromnie ci współczujemy. Jeżeli jest coś, co możemy dla ciebie zrobić, powiedz tylko słowo.

- Nic, Grace, niczego mi nie potrzeba. Usiądźcie.

Przez chwilę nikt nie wiedział, co powiedzieć. Pierwsza odezwała się Jane, stwierdzając, że lorda Wyndham będzie brakowało wszystkim, którzy go znali.

- Był takim dobrym, życzliwym człowiekiem, zawsze gotowym każdego wysłuchać.

- Tak, to prawda. - Lady Wyndham uśmiechnęła się nagle. - Pamiętam, jak przygarnął Jeremy'ego, kiedy ten jako małe dziecko żył bez dachu nad głową na londyńskich ulicach. Przywiózł go tutaj, do Broadacres, kazał wykąpać, ubrać, nakarmić i napoić. A potem Jeremy zamieszkał przy stajniach i jest z nami aż do dzisiaj.

- Jeremy? Państwa stangret? - zainteresowała się Isabel.

- Tak, właśnie on. Wyrósł na dorodnego mężczyznę i jest naszej rodzinie bezgranicznie oddany.

- A więc to dlatego jego lordowska mość wysłuchał mnie tak chętnie, gdy mówiłam o sierocińcu, który chcę założyć - powiedziała Jane. - Rozumiał mnie.

- Jego obietnica, Jane, zostanie dotrzymana - stwierdził spokojnie Mark.

Odwróciła się, by spojrzeć na niego, i dostrzegła łzy błyszczące w jego oczach. Żałowała, że nie może mu powiedzieć, jak bardzo mu współczuje.

- Dziękuję, Mark, ale jestem pewna, że masz teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Czy wiadomo już, gdzie i kiedy odbędzie się pogrzeb? - zapytała lady Cavenhurst.

- Tak - odrzekł. - Biskup Norwich i wielebny Caulder odprawią nabożeństwo żałobne tutaj, w Hadlea, w kościele pod wezwaniem Świętego Piotra. W przyszły czwartek. Po pogrzebie w Broadacres będzie poczęstunek, a potem nastąpi odczytanie testamentu.

- Będę do końca życia w żałobie - stwierdziła lady Wyndham. - Ale Markowi i Isabel nie będę kazała zbyt długo czekać na ślub. Zanim i ja pożegnám się z tym światem, chcę zobaczyć w tym domu bawiące się wnuki. Sądzę, że sześć miesięcy żałoby wystarczy.

Isabel podziękowała przyszłej teściowej za jej dobroć, a jej matka po paru chwilach dalszej rozmowy oznajmiła, że nie chcą dłużej przeszkadzać i wrócą już do domu.

Przed rezydencją, na zwirowanym podjeździe, zastały Drew wsiadającego właśnie do gigu, który miał go zawieźć do gospody. Drew uklonił się im i wyraził żal, że nie może z nimi porozmawiać, bo jego dyliżans wyrusza w drogę za dwadzieścia minut.

- Pan wyjeżdża? - zapytała Isabel tonem, w którym zabrzmiała nuta żalu.

- Tak, panno Isabel. Nie chcę przeszkadzać podczas żałoby. Ale wrócę na pogrzeb. Lord Wyndham był bardzo dla mnie dobry w czasach mojej wczesnej młodości, gdy zmagalem się z życiem.

Uklonił się ponownie, wsiadł do powoziku i odjechał. Chwilę później panie Cavenhurst także były w drodze.

- To bardzo miłe ze strony milady, że pomyślała o waszym ślubie, Issie - zauważyła Jane, zręcznie prowadząc dwukólkę w stronę bramy. Choć pogrążona w głębokiej żałobie, wciąż umie myśleć o innych. Sześć miesięcy to nie tak długo. Czas szybko minie.

- Wiedziałam, że ta plama na sukni to zły omen - oznajmiła Isabel.

- To tylko głupi przesąd - stwierdziła lady Cavenhurst. - Nie myśl o tym.

- To nie jedyny przesąd dotyczący ślubów - odezwała się Sophie. - Mówi się, że ślub odłożony na później nigdy nie dochodzi do skutku.

- Sophie, jak możesz?! - zawołała lady Cavenhurst, a Isabel wybuchnęła płaczem. - Jak możesz powtarzać takie bzdury? Wyprowadziłaś z równowagi swoją siostrę.

- Przepraszam - powiedziała cicho Sophie, ale ani jej skrucha, ani słowa otuchy nie mogły pocieszyć Isabel, która płakała przez całą drogę do domu.

W pogrzebie uczestniczyli wszyscy mężczyźni z wioski, a także krewni i przyjaciele, którzy zjechali się z całego kraju. Przybył również Drew. Choć zwyczaj głosił, że damy nie zjawiają się na cmentarzu, tylko oczekują na mężczyzn w domu, lady Wyndham postanowiła być obecna przy złożeniu ciała męża do grobu. Ubrana we wdowią czerń, uczestniczyła w całym obrzędzie, od początku do końca, utrzymując dostojny spokój. Zachowała swą godną postawę nawet wtedy, gdy - już w rezydencji

- przyjmowała od żałobników kondolencje i słuchała ich wspomnień o zmarłym. Mark tymczasem dwoił się i troił, pełniąc obowiązki doskonałego gospodarza, i tylko Jane widziała, jak bardzo jest zgnębiony i zmęczony.

W końcu żałobnicy kolejno się pożegnali i rozjechali do domów, a zostały tylko osoby mające uczestniczyć w odczytaniu testamentu - to znaczy członkowie rodziny i służba zatrudniona w rezydencji i majątku. Jane przygotowywała się właśnie do opuszczenia rezydencji wraz z rodzicami i rodzeństwem, gdy podszedł do niej Mark.

- Zostańcie, proszę - powiedział, zwracając się do Jane i Isabel. Zaraz potem zapewnił sir Edwarda, że jego córki wkrótce zostaną bezpiecznie odwiezione do domu.

Za zgodą ojca obie siostry zostały, a gdy wszyscy już usiedli, prawnik odchrząknął i zaczął odczytywać testament. Jak się okazało, jego treść nie była pod żadnym względem dla nikogo zaskoczeniem. Znalazły się bowiem w nim zapisy na rzecz wszystkich służących, niewielkie kwoty na rzecz bratanków i bratanic oraz hojną ręką zrobiony zapis na rzecz wdowy. Oprócz tego lord Wyndham zostawił trzy tysiące funtów dla Jane na jej sierociniec. Wysokość tej sumy sprawiła, że zabrakło jej tchu. Widząc jej zdumienie, Mark stojący za krzesłem matki, pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Ja dam ci drugie tyle, Jane. Będziesz miała swój sierociniec.

Tymczasem prawnik kończył odczytywanie testamentu:

- I w końcu mojemu ukochanemu synowi Markowi zostawiam: majątek Broadacres z całą jego ziemią i wszystkimi dzierżawami, dom w Londynie przy South Audley Street, inwestycje zamorskie i wszystkie pieniądze, które pozostaną po spłaceniu pozostałych spadkobierców.

Po tych słowach prawnik powiódł wzrokiem po zebranych, a następnie, nie słysząc z ich strony żadnych komentarzy, zebrał dokumenty i zaczął się gotować do odejścia.

Gdy krewni, którzy przybyli z daleka, udali się już do swoich pokoi, a ci, co mieszkali w pobliżu, pojechali do domów, Mark zwrócił się do Drew z prośbą, by ten odwiózł Jane i Isabel do Greystone.

- Ja sam nie mogę tego zrobić. Muszę zostać z matką i gośćmi - wyjaśnił, a Jane zaprotestowała:

- Ależ nie, to całkiem niepotrzebne. Pogoda jest taka piękna, że możemy pójść spacerem.

- Zatem ja przespaceruję się z paniami - oznajmił Drew. - Zatrzymałem się w go-spodzie Pod Lisem i Chartami, a to jest niedaleko majątku.

Drew szedł między dziewczętami. Z początku wszyscy troje milczeli, w końcu jednak odezwała się Jane:

- To był taki smutny dzień. Wszyscy bardzo lubiliśmy lorda Wyndham... A milady zachowała się wprost imponująco. Nie sądzi pan, panie Ashton?

- Rzeczywiście - przyznał Drew. - Okazała godny podziwu stoicyzm. Jestem jednak pewien, że w głębi duszy bardzo cierpiała. Ona i jej małżonek byli sobie prze-

cież niezmiernie oddani. Stworzyli wzorowe małżeństwo.

- Tak - zgodziła się Jane. - To wielka szkoda, że nie wszystkie małżeństwa są takie udane. To możliwe tylko wtedy, gdy małżonkowie są bratnimi duszami i każde z nich pragnie z tym drugim spędzić resztę życia. Często jednak małżeństwa są zawierane z rozsądku. Wówczas małżonkowie żyją osobno...

- Niestety, zdarza się to nazbyt często - przyznał Drew.

- A pan, panie Ashton... był pan kiedyś żonaty? - włączyła się do rozmowy Isabel.

- Nie! - Drew roześmiał się. - Pewnie dlatego że nigdy nie znalazłem swej bratniej duszy. Choć kiedyś... był w moim życiu moment, gdy myślałem, że tak jest. Okazało się, że to nieprawda.

- Dlaczego? - zapytała Isabel.

Jane wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź Drew i modląc się, by nie wymienił jej imienia. On zaś spojrział na nią, uśmiechnął się i odpowiedział:

- Byliśmy oboje zbyt młodzi, zbyt niedojrzali, a ja musiałem jeszcze sprawdzić, jak dam sobie radę w życiu. A potem... - roześmiał się nagle - ...potem zbyt byłem zajęty pomnażaniem majątku, by myśleć o małżeństwie.

- A wróciłby pan do tej kobiety, gdyby pan mógł? - indagowała dalej Isabel.

- Ależ, Isabel - upomniała ją Jane. - Nie powinnaś zadawać panu Ashtonowi takich pytań.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił Drew. - Wie pani, panno Isabel, w pewnej chwili myślałem, że mógłbym do niej wrócić. Tak... myślałem, że teraz, kiedy jestem człowiekiem majątnym, gdy mi się tak dobrze powodzi, ona i jej papa spojrzeli-by na mnie inaczej niż kiedyś. Ale... zmieniłem zdanie.

- Dlaczego? Czy ona nie jest już tak piękna jak kiedyś?

- Och nie, nie. Jest nawet piękniejsza. Nie o to chodzi...

- Issie, czy zauważyłaś, jak przygnębiony był dzisiaj Mark? - przerwała jej Jane. - Mam nadzieję, że nie zacznie teraz z powodu tego przygnębienia cierpieć na bezsenność. Przecież w ciągu najbliższych tygodni będzie musiał zdobyć się na nadludzki wysiłek.

- Nie będzie ślubu - powiedziała Isabel, ignorując słowa siostry. - Wiedział pan o tym, panie Ashton?

- Wiedziałem, że ślub został odłożony. Ale przecież odbędzie się w późniejszym terminie, prawda?

Isabel westchnęła.

- Nie jestem już niczego pewna.

- Isabel, co ty mówisz! - zawołała Jane. - Nie zmieniłaś chyba zdania? Chcesz chyba nadal poślubić Marka?

- Sama już nie wiem. Jestem taka skołowana. Obserwując dzisiaj lady Wyndham, pomyślałam, że wszyscy będą chcieli, żebym była podobna do niej. Żebym z powodzeniem zarządzała tak wielkim domem i zachowywała spokój w każdym kryzysie. A ja... ja nie sądzę, bym była do tego zdolna.

- Myślisz tak, bo dzisiejszy dzień był taki smutny i męczący. Jutro, po przespanej nocy, poczujesz się bardziej sobą i popatrzysz na to wszystko inaczej.

- Ależ, Jane, ja się o to martwię nie od dzisiaj. Te myśli nękają mnie od dłuższego czasu.

- Och, Issie. Zaczyna mi do ciebie brakować cierpliwości. Czy ty naprawdę uważasz, że to wszystko dzieje się dlatego, że na twoją suknię rozlał się atrament? Albo że w tej głupiej uwadze Sophie jest choćby ziarno prawdy?

- W jakiej uwadze? - zainteresował się Drew.

- Ach, nie warto o tym mówić. To taki głupi przesąd - odrzekła Jane.

- Odwołany ślub nigdy nie dochodzi do skutku - wyjaśniła Isabel.

- Jestem skłonny zgodzić się z pani siostrą - poparł Jane Drew. - To jest naprawdę głupi przesąd.

- Nie zwracałabym na niego uwagi, gdyby... gdybym sama nie miała wątpliwości... - odrzekła Isabel.

- Nie czas teraz na ich wyrażanie, Isabel - upomniała ją Jane. - Pomyśl o biednym Marku. On ma i bez twoich wątpliwości teraz tyle na głowie.

- On wie, co czuję.

- No i co powiedział?

- Że przez okres żałoby będę miała dużo czasu na to, żeby oswoić się z myślą o tym, że będę panią na Broadacres.

- No widzisz.

- Wiesz co, Jane, wolałabym, żebyś nie próbowała być dla mnie drugą matką. Mam dosyć twoich upomnień i nagan. Nie możesz wiedzieć, jak ja się czuję. I... i myślę, że ty nie masz serca!

Jane poczuła się bardzo dotknięta, jednak postanowiła w obecności Drew nie pokazywać tego po sobie.

- Issie - powiedziała - ty przecież od dawna wiedziałaś, że jeżeli przyjmiesz oświadczyzny Marka, będziesz nosiła kiedyś tytuł lady Wyndham i zostaniesz panią na Broadacres. To nie jest nic nowego.

- Sądziłam, że do tego czasu upłynie wiele lat. Że dziedzicząc tytuły i majątek, będziemy z Markiem już starzy. A teraz... okazuje się, że to już.

- Ale... jeżeli szczerze kochasz Marka, to... ten fakt nie powinien mieć dla ciebie żadnego znaczenia. A teraz pomówmy o czym innym. Jestem pewna, że pan Ashton nie chce o tym słuchać.

Szli dalej. Jane milczała zbulwersowana słowami siostry, nie mogła uwierzyć, że wypowiedziała je w obecności Andrew Ashtona, i zaczęła się zastanawiać, czy Mark zna uczucia Isabel. Jeśli tak, musi to być dla niego dodatkowa zgryzota. Oto narzeczona, którą sobie wybrał, nie chce być taką żoną, jakiej potrzebuje ze swoją pozycją. Co za szkoda, pomyślała Jane, że nie mogę z nim o tym pomówić. Zresztą gdyby nawet to było możliwe, co mogłabym mu powiedzieć? Nic zgoła...

Tak, nie mogła go w żaden sposób pocieszyć, a jej własne uczucia, ukryte głęboko w sercu, którego wedle słów Isabel nie miała, musiały pozostać nieujawnione.

Spojrzała z ukosa na Drew, zastanawiając się, czy zachowa w tajemnicy to, co usłyszał. Dostrzegł jej wzrok i jakby odgadł myśli.

- Proszę się nie martwić. Nie wyjawię sekretu - powiedział szeptem.

Odwróciła wzrok zmieszana. Jakiego sekretu? Mark przecież wiedział, co czuje Isabel. Nie mógł też mieć na myśli siostrzanej sprzeczki. Czyżby zatem domyślił się jej uczuć do Marka? Gdyby tak było, spaliłaby się ze wstydu...

Kiedy dotarli do Greystone, Drew nie przyjął zaproszenia Isabel na herbatę, tylko

pożegnał się i oddalił. Siostry natomiast weszły do środka, a potem – nie wspominając ani słowem o rozmowie, która miała miejsce po drodze – do salonu, gdzie czekała na nie reszta rodziny.

Ponieważ Jane zdobyła wystarczającą sumę pieniędzy na zakup domu dla dzieci, zgodziła się oddać bratu wszystko, co odziedziczyła po ciotecznej babce.

– Robię to ze względu na papę, a nie na ciebie – powiedziała Teddy’emu.

– Dzięki, siostrzyczko – odrzekł, uśmiechając się szeroko. – A o jakich pieniądzach rozmawiamy?

Kiedy mu odpowiedziała, że pięć tysięcy funtów, przyznał z rozbrajającą szczerością, że nie wystarczy to na spłatę długu u Bolsovera, który wykupił jego wszystkie zobowiązania, nie tylko te karciane. Następnie oznajmił, że otrzymaną kwotę przeznaczy na podróż do Indii i inwestycje. Do Anglii wróci dopiero po zdobyciu majątku.

– Teraz już rozumiesz, że nie mam wyboru – dodał. – Muszę emigrować.

– A powiedziałeś o tym rodzicom? – zapytała Jane.

– Zaraz im to oznajmię – zabrzmiała odpowiedź. – Wyjeżdżam już dziś wieczorem. Życz mi szczęścia, Jane.

– Szczęścia?! Szczerze mówiąc, wolałabym wytargać cię za uszy! Mam jedynie nadzieję, że tam, na obczyźnie, nauczysz się pracować, a praca cię w jakiś cudowny sposób odmieni.

– Och, Jane, nie praw mi kazań. Znosi się na to, że czeka nas długa rozłąka, więc rozstańmy się w zgodzie – zakończył Teddy i ujmująco się uśmiechnął.

Serce Jane zmiękło, nie miała wyjścia – uściskała go i kazała mu uważać na siebie. A potem postanowiła zająć się czymś pożytecznym, aby nie myśleć o problemach rodziny i nie popaść w przygnębienie. Długi ojca, kłopoty brata i wątpliwości siostry to stanowczo za dużo.

Zaczęła zastanawiać się nad kolejnym krokiem w organizacji sierocińca. Szybko stwierdziła, że po znalezieniu odpowiedniego budynku musi udać się do Londynu, żeby znaleźć kolejnych patronów, gotowych stale wspierać przedsięwzięcie. Ale jak przekonać ojca, aby mogła wyjechać? Postanowiła poprosić o radę pastora.

Pastorostwo Caulderowie stwierdzili, że nie może jechać do Londynu bez męskiej eskorty.

– Lepiej będzie, panno Cavenhurst, najpierw spróbować listownie – stwierdził pastor. – Musimy tylko nadać naszemu przedsięwzięciu nazwę, tak żeby nie wyglądało na to, że prosi pani o pieniądze dla siebie. Również warto byłoby poprosić kilkoro wpływowych, popierających nas osób o pozwolenie na powoływanie się na ich nazwiska.

Bezspornie wybrali nazwę Dom Dziecka w Hadlea, bowiem Jane nie chciała używać słowa „sierociniec”.

– Bo stworzymy dla nich prawdziwy dom – powiedziała. – Prawdziwy dom i dobrą szkołę.

Po tych słowach rozstała się z pastorostwem, po czym ruszyła w drogę powrotną do Greystone, układając sobie w myślach treść listu. W pewnej chwili dogonił ją

Mark.

- Jane - wyjaśnił - idę właśnie do was z wizytą.

Na dźwięk jego głosu serce zaczęło bić jej szybciej, lecz natychmiast przywołała się do porządku i uspokoiła. Obejrzała się z uśmiechem, ale na twarzy Marka dostrzegła smutek. Od razu pożałowała, że nie może go pocieszyć.

- Milordzie - przywitała się.

- Oj, daj spokój, Jane. Przestań mnie tytułować, bo się na ciebie pogniewam - zagroził Mark, zrównując krok z jej krokiem. - Nad czym się zamyśliłaś tak głęboko, że nie usłyszałaś, że się zbliżam?

Jane opowiedziała mu o swych planach związanych z domem dziecka, na co natychmiast zaproponował, żeby w listach powoływała się na niego jako na jednego z patronów. Jane serdecznie mu za to podziękowała, a zaraz potem, gdy w trakcie dalszej rozmowy okazało się, że Mark wybiera się w interesach do Londynu, poprosiła o przysługę.

- Chętnie. Dla ciebie wszystko - odrzekł. - A co takiego mógłbym dla ciebie zrobić?

- Zabierz mnie ze sobą. Jestem pewna, że papa pozwoli mi z tobą jechać. Mogłabym zatrzymać się u lady Cartrose, wdowy po bracie mamy. Mieszka przy Mount Street. Musiałbyś tylko mnie do niej zawieźć...

- Nie wiem... - odrzekł Mark z wahaniem - ...czy to wypada...

- A dlaczego nie? Przecież niebawem będziemy rodziną.

- Nie jestem pewien, Jane, czy to dostateczna gwarancja przyzwoitości - powiedział z uśmiechem. - Ale przekonajmy się, co powie na to sir Edward. Dobrze?

Okazało się, że sir Edward nie podziela zdania córki, ale do rozmowy wtrąciła się lady Cavenhurst.

- Zasady przyzwoitości nie zostaną pogwałcone - powiedziała z przekonaniem - jeżeli pojedzie z wami Isabel. Ty, Jane, przyjmiesz wtedy na siebie rolę przyzwoitki i wszystko będzie w porządku.

- Och, tak, tak! - ucieszyła się Isabel i oczy jej zabłyśły. - Tak bardzo chcę pojechać do Londynu!

Sir Edward uznał to za dobre rozwiązanie, a lady Cavenhurst obiecała napisać list do szwagierki, cioci Emmeline Cartrose, u której dziewczęta się zatrzymają. Mark od razu zaofiarował się dopilnować, by list jak najszybciej został wysłany.

- Zrobię to bardzo chętnie, milady - zapewnił. - W zamian jednak chciałbym prosić panią o przysługę. Czy zechce pani pod moją nieobecność odwiedzać moją matkę i dotrzymywać jej towarzystwa? Wciąż jest bardzo przygnębiona.

- Oczywiście - zgodziła się lady Cavenhurst. - A planuje pan wyjechać, milordzie?

- Zamierzałem jechać jutro, ale mogę poczekać jeszcze jeden dzień, aby pani córki miały więcej czasu na przygotowanie bagażu. Zajadę kareta o wpół do dziewiątej rano, jeżeli nie jest to zbyt wcześnie.

- Będziemy gotowe - zapewniła Jane.

Wkrótce Mark się pożegnał, pozostawiając milady i Jane spokojne, a Isabel aż podskakującą z podniecenia i radości.

Podróż trwała dwa dni. Po drodze często zmieniali konie, a w połowie dystansu dzielącego ich od Londynu zatrzymali się na nocleg w gospodzie. Isabel w karecie, wyglądała przez okienko, co jakiś czas wydając okrzyk zdumienia lub rozbawienia na widok czegoś, co ją zainteresowało, a Jane i Mark rozmawiali o planach związanych z domem dziecka. Mark radził, by podczas pobytu w Londynie odwiedziła kilka z istniejących tam sierocińców i poprosiła o rady. Obiecał też, że nazajutrz po południu, gdy załatwi już swoje sprawy, chętnie będzie jej towarzyszył. Isabel jednak uznała ich plany za szczyt nudy, więc zaproponowali jej, że udadzą się również do Muzeum Bullocka, gdzie będą mogli obejrzeć zdobytą podczas bitwy pod Waterloo kareta Napoleona.

Isabel od razu uspokoiła się, a już całkiem odzyskała dobry humor, gdy kareta zajechała przed dom lady Cartrose na Mount Street. Przywitała ich zaraz ciotka, kobieta pulchna, ubrana w ciemnofioletową suknię i biały czepeczek na ufarbowanych na rudo włosach.

- Proszę bardzo, proszę, wchodźcie! - wołała z entuzjazmem. - I dajcie na siebie popatrzeć. No, no, jesteście już całkiem dorosłe i bardzo eleganckie. Nie wiedziałam, że siostrzenice mojego męża są takie ładne. Ale, ale, przedstawcie mi koniecznie towarzyszącego wam dżentelmena.

- Ciociu Emmeline, oto lord Wyndham - powiedziała Jane.

- Miło mi pana poznać, milordzie - przywitała się ciotka. - I nie mylę się, sądząc, że jego lordowska mość jest twoim narzeczoną? - dodała jeszcze, spoglądając na Jane z uśmiechem.

- Ależ nie - zaprzeczyła skonsternowana. - Lord Wyndham jest zaręczony z Isabel, nie ze mną.

- Och, Boże, co za głupia pomyłka! Musiałam źle zrozumieć to, co napisała mi w liście wasza matka. Proszę mi wybaczyć, milordzie.

- Milady - odrzekł na to Mark z ukłonem - naprawdę nic się nie stało.

Kiedy zasiedli wszyscy w salonie, by wypić herbatę, do której podano mnóstwo ciasteczek. Ciotka, pochłaniając jedno za drugim, zaczęła wypytywać Jane i Isabel o wszystko, co się wiązało z ich obecnym życiem, a także planami na przyszłość. Po godzinie konwersacji Mark zaczął zbierać się do wyjścia.

- Jutro rano będę zajęty - zapowiedział. - Ale zjawię się po południu, jeśli wolno. Obiecałem Jane, że odwiedzę wraz z nią kilka sierocińców.

- Skoro tak, to musicie koniecznie pojechać do Szpitala Podrzutków - stwierdziła lady Cartrose. - Zebrano na jego prowadzenie znaczne sumy ze sprzedaży dzieł sztuki, a także podczas specjalnie w tym celu urządzanych wieczorów muzycznych.

- Tak, słyszałam o tym - wtrąciła Jane. - Chętnie się tam udam.

- A ja tymczasem zacznę zapraszać swoich zamożnych znajomych na przyjęcie, które urządzę za kilka dni. Przedstawię cię wszystkim co zamożniejszym spośród moich znajomych, a ty będziesz mogła opowiedzieć im o swoim sierocińcu. Jednak musisz liczyć się z tym, że niełatwo uzyskasz od nich pieniądze. Każdy teraz narzeka na ciężkie czasy... Wysokie podatki i marne zeszłoroczne zbiory...

- Ale... skoro czasy są takie ciężkie, to... tym bardziej trzeba pomagać ludziom biednym - zakrzyknęła Jane.

- Jestem pewien, że przekonasz o tym znakomitych gości swojej cioci - oznajmił

Mark. - Zatem do jutra.

Z tymi słowami pożegnał się i wyszedł, zostawiając w salonie panie, które teraz mogły sobie swobodnie porozmawiać o bieżących wydarzeniach towarzyskich, a także trochę poplotkować.

Szpital Podrzutków, założony przed siedemdziesięcioma laty przez filantropa Thomasa Corama, okazał się znacznie większy, niż Jane sobie wyobrażała. Przeważającą liczbę mieszkających tu dzieci stanowiło potomstwo niezamężnych kobiet, choć mieszkała tutaj także duża liczba sierot. Dzieci były dobrze ubrane, odżywione i wydawały się zadowolone, a nawet szczęśliwe. Jednak Jane nie podobało się, że nadawano im nowe nazwiska, odcinając je w ten sposób od prawdziwych rodziców. Powiedziano jej, że tak się robi, by umożliwić niezamężnym matkom odpokutowanie za grzech, jaki popełniły, rodząc nieślubne dziecko, i swobodne wstąpienie na drogę nowego życia.

- Ja bym raczej zachęcała dzieci do spotykania się z matkami - powiedziała Jane do Marka, gdy już wracali kareta na Mount Street. - Zwłaszcza do kontaktów z owdowiałymi matkami. Rodzina jest bardzo ważna.

Mark przez całe popołudnie nieustannie ją wspierał. Stał obok, gdy rozmawiała z dyrektorem szpitala, zadawał dodatkowe pytania, dbając o to, aby uzyskała wszystkie istotne informacje i o niczym nie zapomniała. Czas w jego towarzystwie okazał się dla niej tak ogromnie cenny i wyjątkowy, że trudno jej wręcz było skupić się na celu wizyty. Za każdym razem, gdy ich ramiona się zetknęły lub gdy on podczas wchodzenia po schodach podtrzymywał ją za łokieć, czuła, że całe jej ciało ogarnia fala gorąca. W drodze powrotnej z trudem zmuszała się do tego, by skupić się na temacie rozmowy, a nie na tym, że siedzą sam na sam, tak blisko siebie.

- Sądzę, że masz rację - powiedział Mark. - Krewni tego biedaka Drew nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, gdy został sierotą. Posłali go do dobrej szkoły i uważali, że na tym kończą się ich obowiązki. Zaprzyjaźniłem się z nim przede wszystkim dlatego, że widziałem, jaki jest samotny. Później zaprosiłem go do Broadacres.

- Tak, pamiętam. On... mówił mi o tym. Cierpiał jako dziecko... No a potem... dobrze sobie poradził.

- To prawda. Zbił majątek. Obiecał, że wesprze twoje starania. Trzymam go za słowo. Ty także o tym pamiętaj.

- Nie wiem, czy w ogóle się z nim jeszcze spotkam - powiedziała i zamilkła, aby po chwili zapytać: - Mark, czy ty mu ufasz?

- Oczywiście. Dlaczego zadajesz takie pytanie?

- A tak... bez powodu - odrzekła i westchnęła ciężko, po czym postanowiła zmienić temat: - Podczas wizyty w Szpitalu Podrzutków przyszło mi do głowy, że moglibyśmy urządzać dla zamożnego towarzystwa wieczory muzyczne. Poza tym można by też było urządzić w wiosce kiermasz, pobierać opłatę za wstęp lub w trakcie zbierać datki.

- Kiermasz nie wzbudziłby zainteresowania wśród ludzi zamożnych.

- Wiem. Wciągnąłby jednak mieszkańców Hadlea w sprawy sierocińca. Bo widzisz, ja chcę, żeby sierociniec stał się częścią lokalnej społeczności. By nie odgrażał się od niej murem... Pomyślałam, że ostatnia sobota sierpnia to dobry termin

na taki dobroczynny kiermasz.

- A więc zgoda. Urządzimy go na Dziesięcioakrowej Łące, stanowiącej część mojej posiadłości.

- Ale... Marku, czy to dobry pomysł? Twoja rodzina jest przecież w żałobie. Co na to powie twoja matka?

- Jestem pewien, że matka postąpi tak, jak życzyłby sobie ojciec. A twoje przedsięwzięcie było bliskie jego sercu, tak jak jest bliskie mojemu.

- Och, Mark, co ja bym bez ciebie zrobiła!

- Jestem przekonany, że doskonale byś sobie poradziła - odrzekł na to Mark z uśmiechem, a serce Jane zabiło mocniej.

Czy Isabel zdaje sobie sprawę, jak wielkie ma szczęście? - pomyślała.

Gdy wrócili na Mount Street, Isabel natychmiast zaczęła im opowiadać o przejażdżce otwartym powozem po Hyde Parku, podczas której została przedstawiona licznym znajomym lady Cartrose.

- Jestem pewna, że to było znacznie bardziej interesujące niż odwiedzanie sierocińców - stwierdziła. - I zgadnijcie, kogo spotkałyśmy. Pana Ashtona, który w Parku zażywał konnej przejażdżki! Kiedy się dowiedział, Marku, że jesteś w mieście, zapewnił, że cię odwiedzi. A ciocia Emmeline zaprosiła go jutro na Mount Street. Była też mowa o wspólnym wyjściu.

Isabel promieniała. A gdy tak opowiadała z wielkim podnieceniem i entuzjazmem, Jane ogarnęło złe przeczucie. Mark jednak nie dostrzegwał żadnego niebezpieczeństwa. Z uśmiechem powiedział, że tak czy inaczej zobaczyłby się w mieście z Drew i że, skoro panie tak sobie życzą, z chęcią zorganizuje wspólne wyjście. Następnie pożegnał się i pojechał do siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na drugi dzień przed południem obaj dżentelmeni zjawili się na Mount Street. Za-proponowali odwiedzić Muzeum Bullocka jeszcze tego samego dnia, a wieczorem całą czwórką postanowili pójść razem na koncert, który miał odbyć się w Pawilonie Chińskim w parku zwanym Ranelagh Gardens.

Isabel, uradowana, zaraz po wyjściu Marka i Drew, zaczęła się zastanawiać, w jaką ubierze się suknię.

- Wiem! - zawołała w końcu. - Włożę tę jedwabną w zielono-różowe paski! A do tego różowy kapelusz i różowe rękawiczki.

Choć Jane tłumaczyła jej, że powinna ubrać się w coś mniej krzykliwego ze względu na żalobę Marka i z szacunku do niego, nie zmieniła postanowienia. Tak jakby nie dbała o uczucia narzeczonego.

- O nic tak bardzo się nie martwisz, jak o samopoczucie Marka, Jane - odrzekła siostrze. - Zaczynam się zastanawiać, czy nie jesteś w nim zakochana.

- Nonsens - odpowiedziała Jane ostro, ale odwróciła się, by Isabel nie zauważyła, jak bardzo jest zmieszana.

Aż do wizyty przyjaciół nie zamieniły ze sobą choćby słowa. Isabel przywitała ich w różach i zieleni, a Jane w prostej liliowej sukni ozdobionej białą koronką. Obie miały parasolki, bo dzień był ciepły i słońce przygrzewało.

Muzeum Bullocka mieściło się przy Piccadilly w budynku zwanym Galerią Egipską. Ponieważ było to niedaleko, udali się tam pieszo. Zwiedzili muzeum pobieżnie, a obejrzawszy wystawiony tu zbiór osobliwości: różne szkielety, kości zwierząt, broń, podziurawione kulami mundury oraz okazy egzotycznych roślin, poszli zobaczyć wspaniałą karecę, którą podczas swych kampanii podróżował Napoleon. Cesarz porzucił ją po klęsce pod Waterloo i usiłował uciec z pola bitwy na swym białym rumaku. Jednak go pojmano i - choć zwrócił się do króla Jerzego z prośbą o azyl w Anglii - zesłano najpierw na Elbę, a później, po jego ucieczce i ponownym pokonaniu, na odległą wyspę Świętej Heleny, położoną gdzieś hen, na Atlantyku. Jego kareta została wykupiona i przekazana do muzeum i teraz przyciągała tłumy ciekawskich. Pomalowana na niebiesko i ozdobiona złotymi ornamentami, była ogromna i luksusowo wyposażona. Mieściło się w niej składane łóżko, a nawet biurko. Ponadto w karecie urządzone zostało specjalne pomieszczenie na mapy i lunety. Drzwi i okiennice były kuloodporne. A ciągnąć ten pojazd musiało kilka bardzo silnych koni.

- Czy książę Wellington także jeździł karecą? - zapytała Marka Jane.

- Książę miał karecę, choć nie tak wspaniałą jak ta - odrzekł Mark. - Ale wolał podróżować konno.

- A czy ty, Marku, rozmawiałeś z nim?

- Tak, kilka razy. Choć nie sądzę, by mnie zapamiętał.

- Napiszę do niego list. Mówi się, że troszczy się o los swoich żołnierzy i ich rodzin.

- Naprawdę do niego napiszesz? Myślę, że się nie ośmielisz - włączyła się naraz

do rozmowy Isabel.

- Kto nie próbuje, ten nic nie zyskuje! - odparła Jane i roześmiała się.

- Wiesz, moim zdaniem, tylko marnujesz czas - mówiła dalej Isabel. - Los sierot to problem państwa. Co w ich sprawie może działać jedna kobieta?

- Gdybyśmy wszyscy myśleli, że nic się nie da zrobić, rzeczywiście nic nie zostałoby zrobione - stwierdził Mark.

- Ja oczywiście współczuję tym dzieciom. I zawsze oddaję miedziaki żebrakom. Ale tu chodzi o tysiące funtów. A zaczynasz mieć na tym tle obsesję, Jane. Powiem ci szczerze, że mam już dość słuchania o tym twoim sierocińcu. Jeżeli teraz oboje z Markiem zaczniecie o nim mówić, my z panem Ashtonem znajdziemy sobie inny temat - ostrzegła Isabel i wzięła Drew pod ramię. - Chodźmy, panie Ashton - dodała. - Proszę mi pokazać zwierzęta.

Drew spojrział pytająco na Marka, a gdy ten kiwnął głową, pozwolił się Isabel uprowadzić.

- Czy nie powinniśmy pójść za nimi? - zwróciła się do Marka Jane, patrząc skonsternowana na znikające plecy siostry i jej towarzysza.

- Ona się nudzi, Jane.

- To nie jest wytłumaczenie. Oburza mnie jej zachowanie. I przepraszam cię za nie... Ona... ona nie liczy się z twoimi uczuciami.

- A ty, Jane, znasz moje uczucia? - zapytał Mark z uśmiechem. - Potrafisz czytać w moich myślach?

- Oczywiście, że nie - odrzekła, rumieniąc się. - Ale sądzę, że powinniśmy ich dogonić, bo... bo tak po prostu nie wypada...

Mark roześmiał się nagle.

- Nie wypada? - powtórzył. - A czyją reputację masz na myśli? Ich czy naszą? Kto tu jest kotłem, a kto garnkiem?

- No więc... - powiedziała, uśmiechając się niepewnie - ...ze względu na nich i na nas... Po prostu chodźmy ich poszukać. I powstrzymajmy się od mówienia o moim domu dziecka.

Wypchane zwierzęta znajdowały się w oddzielnej części muzeum, za wstęp do której trzeba było zapłacić dodatkowego szylinga. Wchodziło się do niej przez wąski korytarz, w którym urządzono grotę skalną, otwierający się na tropikalną dżunglę, gdzie wśród sztucznej roślinności umieszczono zwierzęta. Jane i Mark nie znaleźli tam Isabel i Drew. Nie znaleźli ich także w żadnym innym pomieszczeniu muzeum. Zaniepokojeni, wyszli więc na zewnątrz. Zagubieni stali oboje na chodniku przed wejściem. Isabel obiema rękami trzymała się Drew, a głowę oparła o jego ramię.

- A więc znaleźliście nas - powiedział Drew. - Panna Isabel poczuła, że jej słabo, i poprosiła, żebym ją wyprowadził na świeże powietrze. Zrobiłem to i chciałem was poszukać, ale bałem się zostawić ją samą.

- Boże drogi - zmartwiła się Jane i delikatnie oderwała siostrę od jej towarzysza, po czym troskliwie ją objęła. - Czy teraz czujesz się lepiej?

Chociaż okazało się, że Isabel na powrót poczuła się dobrze, postanowili jednak wrócić na Mount Street nie pieszo, lecz dorożką, po którą Mark posłał zaraz mło-

dego zamiataacza ulic. W dorożce Isabel całkiem odzyskała humor. Jane, widząc, jak szybko to nastąpiło, zaczęła podejrzewać, że siostra tylko udawała słabość, aby zbliżyć się do Drew. Zaraz jednak skarciła się w duchu za te podejrzenia.

Kiedy jednak zostały w domu same, upomniała Isabel za to, że nakłoniła Drew, by się z nią oddalił, a także za to, że potem uwiesiła się na jego ramieniu.

- Boję się pomyśleć, co czuje teraz Mark - zakończyła.

- Omal nie zemdlałam i nie obchodzi mnie, co czuje Mark - odrzekła jej gniewnie Isabel. - I nie zgadzam się na to, żebyś mnie ciągle strofowała!

- Issie! - zawołała Jane i zabrakło jej słów.

- Tak, nie zgadzam się na to! A poza tym... żałuję, że zgodziłam się wyjść za Marka! - zakończyła i wybiegła z pokoju.

Jane, skonsternowana, została sama. Nie miała pojęcia, czy jej siostra wyraziła swoje prawdziwe uczucia, czy tylko w złości powiedziała coś, czego będzie potem żałowała.

Kiedy Isabel zasiadła do lekkiego posiłku o piątej po południu, była mniej ożywiona niż zwykle, ale nie chciała słyszeć o odłożeniu wyjścia do Chińskiego Pawilonu na koncert. Jane z ciężkim sercem przyjęła jej słowa i pomodliła się w duchu, aby Drew się nie pojawił.

Jej życzenie nie spełniło się, gdyż punktualnie o ósmej obaj panowie zajechali przed dom kareta, po czym cała ich czwórka udała się do Ranelagh Gardens, gdzie w Chińskim Pawilonie wysłuchali koncertu, który skończył się tuż przed zmrokiem.

Kiedy wychodzili, tłum oddzielił Jane od reszty towarzystwa. Krążyła potem wśród drzew, lecz gdy nie znalazła swoich towarzyszy, postanowiła pójść do wyjścia i tam na nich zaczekać. Zdążając w tamtym kierunku, natknęła się na Marka.

- Gdzie jest Isabel i pan Ashton? - zapytała. - Szukam was już bardzo długo.

- Nie wiem - odrzekł. - Myślałem, że są z tobą.

Po krótkiej naradzie postanowili oboje pójść do karety w nadziei, że zastaną tam Drew i Isabel, jednak tam również ich nie było. Wrócili więc do parku i zaczęli przeszukiwać pogrążone już w mroku ścieżki. Mark niósł latarnię, którą wziął w tym celu z Pawilonu Chińskiego. Czynili to daremnie przez dłuższy czas, aż wreszcie, gdy zrezygnowani zawrócili, spotkali Drew. Samego.

- Gdzie jest Issie? - zapytała ostro Jane, nie ukrywając zdenerwowania.

- Zaprowadziłem ją do karety. Czeka tam na was.

- Nie było jej tam pół godziny temu.

- To prawda. Bo... panna Isabel zemdlała i upadła w tłumie. Chwyciłem ją wtedy i zaniósłem ponownie do środka. Gdy odzyskała przytomność, zaprowadziłem ją do karety.

- Skoro tak, to chodźmy tam natychmiast. Zawieziemy ją jak najszybciej do domu - oświadczył Mark, zatroskany faktem, że jego narzeczona już po raz drugi jednego dnia źle się poczuła.

Gdy znaleźli się na Mount Street, ciotka Emmeline chciała zaraz wezwać domowego lekarza, jednak Isabel zaprotestowała.

- Czuję się już zupełnie dobrze - zapewniła. - Zemdlałam, bo tam, w tłumie, było gorąco i duszno. Pójdę teraz się położyć. Chcę odzyskać siły, bo jutro będziemy jeź-

dzić konno w Hyde Parku. Za nic na świecie nie zgodzę się tego odwołać.

Jane również udała się do swojej sypialni, ale nie mogła zasnąć. Dręczyły ją podejrzenia, których nijak nie była w stanie rozwiązać. Isabel była okazem zdrowia i nigdy dotąd nie zdarzały się jej omdlenia. Więc co się z nią dzieje teraz? – zadawała sobie pytanie. Czyżby umyślnie rzucała się w ramiona Ashtona? Czy naprawdę żałuje, że przyjęła oświadczenia? Gdyby teraz je zerwała, wybuchłby okropny skandal, złamałaby serce Markowi, a na dodatek zaszkodziłaby jego reputacji. A Mark... jest przecież takim dobrym człowiekiem... i... w najmniejszym stopniu nie zasługuje na takie traktowanie...

Na drugi dzień rankiem Mark załatwiał sprawy z prawnikiem, Jane pisała listy, a Isabel udała się na zakupy z ciotką. Wróciły obie na krótko przed pojawieniem się obu dżentelmenów. Isabel wystarczyło jednak czasu na to, żeby włożyć swoją elegancką, liliową aksamitną suknię do konnej jazdy.

– Jak wyglądam, panowie? – zapytała Drew i Marka, stojąc u szczytu schodów.

– Jak zwykle pięknie – odrzekł Mark.

– Wspaniale – zawtórował mu Drew.

Zaraz też przyłączyła się do nich Jane w prostym, ale wygodnym ciemnozielonym stroju, i wszyscy czworo, dosiadłszy koni, ruszyli do Hyde Parku.

Zażywali niespiesznej przejażdżki od jakichś dwóch kwadransów, gdy na ich drodze pojawił się nieznany dziewczętom jeździec – rosły, elegancki, o ciemnych kędzierzawych włosach i ciemnych oczach.

– Dzień dobry, Wyndham – rzucił krótko, mierzając spojrzeniem Isabel, a potem Jane. – Witam, Ashton. A więc znowu się spotykamy.

– W samej rzeczy – przyznał Drew.

– Wyndham, nie przedstawiś mnie damom?

Mark z ociąganiem zwrócił się najpierw do narzeczonej.

– Isabel – powiedział. – Pozwól sobie przedstawić lorda Bolsover. Milordzie, oto panna Isabel Cavenhurst, moja przyszła żona.

– Moje najgłębsze uszanowanie, panno Cavenhurst – odrzekł Bolsover z ukłonem.

– Mój przyjaciel Mark jest prawdziwym szczęściarzem.

– Miło mi poznać pana, milordzie.

Isabel skłoniła głowę z uśmiechem. Mark zwrócił się teraz ku Jane.

– A to jest panna Jane Cavenhurst – oznajmił.

Jego lordowska mość ukłonił się ponownie, jednak Jane się nie uśmiechnęła. Pochyliła tylko w milczeniu głowę.

– Córki sir Edwarda, jak sądzę? – zagadnął Bolsover. – I siostry Teddy’ego? Cieszę się, że panie poznałem.

– Jest pan przyjacielem Teddy’ego? – zapytała uprzejmym tonem Isabel, która dotychczas nie słyszała o istnieniu jego lordowskiej mości.

– Znam go dobrze – odrzekł jej na to Bolsover. – Ale dawno go nie widziałem. Mam nadzieję, że nie jest chory.

– O nie! – zaprzeczyła Isabel. – Teddy pojechał do Indii, by zdobyć fortunę.

Bolsover roześmiał się w głos.

– A więc tam się ukrył – zakrzyknął z pozornym rozbawieniem. – Ale to nic. Są

inne sposoby na obdarcie kota ze skóry.

- Isabel, nie powinniśmy zatrzymywać jego lordowskiej mości - odezwała się pośpiesznie Jane. - Musimy już jechać.

- Bez wątpienia jeszcze się spotkamy - stwierdził Bolsover, dotykając brzegu kapelusza. - Mam sprawę do sir Edwarda.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Jane do Marka, kiedy już ruszyli. - Jego słowa zabrzmiały jak groźba.

- Nie martw się. Nic nie może zrobić, dopóki Teddy jest za granicą.

- Mógłby zacząć grozić papie.

- Wątpię, by Bolsover zamierzał pojechać do hrabstwa Norfolk w środku sezonu.

W tym czasie w Londynie ma mnóstwo okazji do ogrywania w karty młodzików, którzy przybyli tu by się zabawić.

- Czy ty, Marku, naprawdę jesteś jego przyjacielem?

- Oczywiście, że nie. Szczerze go nie znoszę.

- Dlaczego? - zapytała Isabel. - Mnie wydał się człowiekiem bardzo dobrze wychowanym.

- To jemu Teddy jest winien pieniądze - poinformowała siostrę Jane. - To on sprawił, że nasz brat udał się na emigrację.

- Moim zdaniem - odrzekła Isabel - Teddy jest sam sobie winien. Przecież nikt go nie zmuszał do uprawiania hazardu.

- Masz rację. Ale... ja się obawiam, że lord Bolsover jeszcze z nami nie skończył.

- A co może nam zrobić?

- Nic - powiedział Mark. - Zapomnijmy o nim i cieszymy się przejażdżką.

- Dobrze. Ścigajmy się do tamtego drzewa! - zawołała Isabel, podrywając swego konia do szaleńczego galopu.

Wszyscy troje popatrzyli na nią z przerażeniem i ruszyli za nią. Najpierw Drew, który jako jedyny dosiadał własnego, a nie wypożyczonego wierzchowca i miał dzięki temu nad pozostałymi przewagę, a potem Mark. A na końcu jechała Jane, która w następnej chwili zobaczyła, że Isabel, próbując zatrzymać swą klacz, zderzyła się z nisko wiszącą gałęzią tak mocno, że spadła na ziemię.

Drew w mgnieniu oka zeskoczył ze swojego konia i przykląkł przy niej, starając się podtrzymać jej głowę. Mark i Jane, którzy zaraz potem znaleźli się przy nich, zobaczyli, że Isabel jest nieprzytomna i bardzo blada.

- Chyba poważnie się zraniła - powiedział Drew, wyraźnie zaniepokojony, dziwnie drżącym głosem. - Musimy ją natychmiast przewieźć na Mount Street i wezwać lekarza.

Wyraz jego twarzy zatrwożył Jane. Wyczytała z niego najszczerze uczucie, wykraczające poza przyjacielską troskę. Nie wahałaby się nazwać tego nawet miłością.

Tak, Drew kochał Isabel. Jane była tego pewna. Spojrzała na Marka, żeby się przekonać, czy i on to zauważył, lecz nic na to nie wskazywało albo nie zdradzał swoich uczuć. Po prostu wstał, dosiadł konia i udał się po pomoc.

Bardzo szybko powrócił wynajętym powozem, a Drew zaniósł do niego Isabel. W międzyczasie zdążyła się obudzić i słabym głosem powiedzieć, że bardzo boli ją głowa. Do powozu wsiadła także Jane, a panowie - przykazawszy jej, by po dojecha-

niu na miejsce nie wysiadały same, dopóki oni obaj się nie pojawią inie pospieszą z pomocą – ruszyli za powozem.

– Wkrótce będziemy w domu, Issie – zapewniła ją Jane. – Połóż mi głowę na kolana. Tak będzie ci wygodniej.

Gdy Isabel poszła za jej radą, Jane zauważyła na jej głowie paskudnego siniaka, który się w oczach powiększał i robił coraz bardziej fioletowy. Patrząc na niego, nabierała pewności, że Isabel tym razem niczego nie udaje. Choć z drugiej strony... musiała przyznać, że ruszyła tak nagle galopem, by skupić na sobie uwagę...

Co za głuptaska z tej mojej ślicznej siostry, dodała w myślach Jane i zaczęła modlić się o to, żeby nie stało się nic poważnego.

Gdy zajechali przed dom na Mount Street, Mark zsiadł zaraz z konia i podbiegł do powozu. Następnie wziął słaniającą się na nogach Isabel na ręce i zaniósł na górę do jej sypialni – postępując zgodnie z poleceniem lady Cartrose, która, zaalarmowana przez lokaja, zjawiała się natychmiast i z zadziwiającą przytomnością umysłu zapanowała nad sytuacją. Posłała też zaraz na górę Jane, by ta pomogła pokojówce położyć Isabel do łóżka. Tymczasem wysłała też lokaja po doktora, a sama, w salonie na dole, zaczęła wypytywać obu dżentelmenów, co się stało. Gdy Mark – ukrywając prawdę o tym, że Isabel sama ruszyła galopem – powiedział, że spadła ona z konia, bo ten poniósł, zapytała:

– Koń poniósł? Ale dlaczego?

– Naprawdę nie wiem – odrzekł Mark. – Żałuję, że nie czuwaliśmy nad nią bardziej uważnie.

– Ja też tego żałuję. Gdyby pannie Isabel stało się coś poważnego, nigdy bym sobie tego nie darował – powiedział gorąco Drew, ale nikt tego nie zauważył, bo w tej samej chwili w holu pojawił się lekarz.

Lady Cartrose wyszła, by zaprowadzić go do rannej, a zaraz w jej ślady poszedł Drew, który zaproponował, że zajmie się wynajętymi końmi.

Tymczasem Mark został sam ze swoimi myślami. Niepokoił się bardzo o Isabel i pragnął z całego serca, by nic poważnego jej się nie stało. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że gdyby nie była taka nieostrożna i nie ruszyła galopem, nie doszłoby do tego wypadku.

Dlaczego więc to zrobiła? – zadawał sobie pytanie. I dlaczego ja muszę znowu wymyślać dla niej usprawiedliwienia? Dlaczego muszę kłamać, że winien był jej koń? Czy moje życie u jej boku takie właśnie będzie? Co ten wypadek wróży nam obojgu na przyszłość? Czy... możemy być razem szczęśliwi?

Po jakimś czasie do salonu wróciła lady Cartrose i oznajmiła, że lekarz dał Isabel lek uśmierzający ból głowy i stwierdził, że powinna poleżeć przez tydzień w łóżku. Nie widział jednak żadnego zagrożenia dla jej życia lub zdrowia.

Mark odetchnął z ulgą.

– Bogu niech będą dzięki.

– Jane siedzi przy chorej – mówiła dalej lady Cartrose. – I się obwinia.

– Obwinia się? Ale o co?

– Nie wiem. Mówiła coś o tym... że nie potrafiła poskromić żywiołowości siostry.

– Żywiołowości? To tak to się nazywa? Ja bym raczej był skłonny nazwać to...

choćby uporem czy niesfornością... Isabel nagle poderwała klacz do galopu i zwierzę ją poniosło. To nie miało nic wspólnego z Jane.

- Pan, milordzie, bardzo lubi Jane, prawda?

- Nie przeczę. Podziwiam ją bardzo za to, że tak dba o rodzinę i poświęca się dla rodzeństwa... czego oni właściwie nie zauważają... A ona zawsze ich usprawiedliwia... Jeżeli nie Teddy'ego, to Isabel...

- A pan, milordzie, wydaje się jej doskonałym orędownikiem.

- Jane nie ma nikogo innego, kto by się za nią wstawiał.

- Nie robi tego nawet pan Ashton?

- Drew? - zapytał Mark zaskoczony. - Nie. Nie sędzę. Ona zawsze traktuje go grzecznie, ale chłodno. Co panią, milady, skłoniło do takiego przypuszczenia?

- Pan Ashton tak często znajduje się w waszym towarzystwie. Tak często przebywacie we czworo, że...

- A dlaczego nie mielibyśmy przebywać razem? Drew jest moim przyjacielem.

- Aha, rozumiem... Widzę, że się pomyliłam.

Mark nie miał w zwyczaju szczegółowo analizować własnych uczuć, ale wydarzenia ostatnich paru dni i częste przebywanie w towarzystwie Jane sprawiły, że otworzyły mu się oczy na różnice między siostrami... A to, co w ciągu tych dni zauważył, obudziło jego wątpliwości, napełniło jego serce jakimś dziwnym niepokojem i wahaniem. Teraz jednak nie mógł się nad tym dłużej zastanawiać, bo wrócił Drew i natychmiast zaczął wypytywać lady Cartrose o stan Isabel.

- Jest przytomna - odrzekła mu na to milady. - Dojdzie do siebie najdłużej w tydzień.

- Dzięki Bogu, że nie stało się nic gorszego - odetchnął Drew, po czym opowiedział, że spotkał na ulicy Bolsovera. Twierdził, że lord widział, co się stało w Hyde Parku i szedł właśnie dowiedzieć się o stan córki sir Edwarda.

- Co ten człowiek knuje? - zastanowił się Mark.

- Nie wiem - odrzekł Drew. - Ale zaproponował mi pomoc, z której chętnie skorzystałem. Nie było mi łatwo zapanować nad czterema końmi na ruchliwej ulicy - dodał i zaraz zwrócił się z pytaniem do lady Cartrose: - Kiedy będziemy mogli odwiedzić pannę Isabel?

- Sędzę, że Mark może ją odwiedzić już jutro - powiedziała milady, dając do zrozumienia, że nie wypada, by Drew odwiedzał młodą damę w sypialni.

Wkrótce obaj dżentelmeni pożegnali się i wyszli.

- Nie zamierzałem pozostać w mieście dłużej niż cztery dni - wyznał Mark, gdy szli obaj w stronę South Audley Street. - A poza tym powinienem pojechać do Haddlea i poinformować sir Edwarda o tym, co się wydarzyło. Jane bez wątplenia będzie chciała zostać z siostrą. Wrócę, gdy Isabel wydobrzeje na tyle, by znieść podróż.

Rozstali się na rogu Mount Street, umówiwszy się uprzednio na kolację u White'a.

Znalazłszy się w domu, Mark nie mógł się skupić na dokumentach, które miał do przejścia, bo jego myśli krążyły wokół Jane i Isabel. Zdał sobie sprawę niedawno, że Isabel jest piękna i czarująca, ale często zachowuje się nad wyraz egoistycznie.

Natomiast Jane wcale taka nie jest, choć nie dorównuje siostrze urodą. Mark jednak dostrzegał w niej piękno, promieniejące z jej wnętrza i objawiające się w jej każdym, choćby najdrobniejszym uczynku.

Dlaczego tego dawniej nie zauważyłem? – zapytał Mark sam siebie. Czy dlatego że wszyscy traktują ją tak, jakby się wcale nie liczyła? Niczym... mebel? On sam także nie był pod tym względem bez winy. I dotarło to do niego dopiero teraz. Jane jednak nie brakowało pewności siebie i nie z tego brał się taki właśnie stosunek otoczenia. Przeciwnie: cechowała ją większa niezależność niż kogokolwiek innego, kogo znał. Tak, Jane potrafiła bronić swego zdania, zwłaszcza gdy na czymś jej naprawdę zależało. Wtedy podchodziła do sprawy z pasją, tak jak do kwestii funduszy na prowadzenie domu dziecka.

Owszem, nie była zalotna ani skłonna do flirtowania... Ale nie każda młoda kobieta musi być zalotna. Czasami to jest całkiem niepotrzebne... – Mark pokręcił głową i ciężko westchnął. – Znowu je porównuję. A czy to znaczy, że dokonałem błędnego wyboru?

Wieczorem zaszedł na Mount Street, gdzie się dowiedział od lady Cartrose, że chora odpoczywa po zażyciu lekarstwa, a Jane czuwa przy jej łóżku. Poinformował więc, że nazajutrz jedzie do Hadlea i że powiadomi lordostwo Cavenhurstów o tym, co się zdarzyło, a jednocześnie zapewni, że ich córka ma najtroskliwszą opiekę. Powiedział też, że wróci po obie panny, gdy Isabel już dojdzie do siebie. Następnie przekazawszy dla narzeczonej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia udał się do klubu.

Od razu przekonał się, że jego nadzieję na spokojną kolację, po której mógłby udać się zaraz do domu na spoczynek, zniweczyło pojawienie się lorda Bolsover.

– Czy mogę się przyłączyć? – zapytał jego lordowska mość i, nie czekając na odpowiedź, przysiadł się do stolika, przy którym czekał na Drew. – Jak się czuje panna Cavenhurst?

– Wraca do zdrowia w domu ciotki – odpowiedział krótko Mark.

Bolsover nie pozwolił tak łatwo się zbyć. Stwierdziwszy, że Isabel jest dziewczyną upartą, lecz odważną, i napomknąwszy, że pomógł Andrew Ashtonowi odprowadzić konie do stajni, dodał:

– Ten pański przyjaciel... No cóż, radziłbym na niego uważać.

Kiedy Mark spytał, co ma na myśli, Bolsover odpowiedział bez ogródek:

– Ano to, że o ile się nie mylę, może pan stracić narzeczoną.

Mark poczuł złość, ale niemal od razu się opanował.

– Nie mogę pańskich słów potraktować inaczej niż impertynencję, Bolsover – powiedział spokojnie.

– Jedyne stwierdzam fakt – odrzekł. – I powiem panu, Wyndham, że moim zdaniem nikt z Cavenhurstów nie jest godzien zaufania.

– A dlaczego pana tak interesuje moja narzeczoną?

– Interesuje mnie wszystko, co jest związane z tą rodziną. Brat pańskiej narzeczonej pozbawił mnie znacznej sumy i na pewno nie puszcę tego płazem.

– Co pan zamierza w związku z tym zrobić? Przecież ani sir Edward, ani żadna z panien Cavenhurst nie odpowiada za długi Teddy'ego.

- Z punktu widzenia prawa... być może nie. Jednakże... jestem pewien, że sir Edward wolałby uniknąć skandalu.

- Sir Edward sądzi, że pobyt w Indiach będzie dla jego syna życiową szkołą.

- Hm, być może sir Edward żywi takie przekonanie, ale... moim zdaniem jedynie dlatego, że nie ma pieniędzy na spłacenie długów swego syna. Żałuję, że o tym nie wiedziałem, zanim je wszystkie kupiłem. Zamierzam jednak ponownie przemyśleć swoją strategię.

- Nie wiem, kto panu naopowiadał takich rzeczy, ale się mylił.

- A moim zdaniem to pan jest w błędzie... Ale oto i pański przyjaciel, pan Ashton. - Bolsover wstał. - Zostawię panów teraz. Dodam tylko, że z pewnością znajdę sposób, by odzyskać dług... W ten czy w inny sposób.

- Czego on chciał? - zapytał Drew, siadając i dając znak kelnerowi.

- Udawał, że interesuje go zdrowie Isabel. Tak naprawdę chciał zdobyć informacje o Teddym.

- Nie dziw mu się. Teddy jest mu winien dużo pieniędzy.

- Skoro tak, to dlaczego kupił resztę jego długów? Sądzę, że on ma jakieś pretensje do sir Edwarda i zamierza mu zaszkodzić.

- Nie rozumiem, jak mógłby to zrobić.

- Ja też tego nie rozumiem, ale zanim się pojawiłeś, zapewnił mnie, że zamierza się zemścić. A przecież Teddy ani nikt z rodziny nie uczynił mu nic złego. Tu idzie o coś więcej niż pieniądze.

Drew zaproponował, że postara się dowiedzieć, o co chodzi, od kompanów Bolsovera, którzy nie wiedzą, że się przyjaźni z Markiem. Podczas kolacji rozmawiali o sposobach na zdobycie i spożytkowanie tych informacji, jednak Mark nie wspomniał ani słowem o aluzji, jaką Bolsover uczynił na temat Isabel. Wiedział, że Drew to człowiek honoru, i miał go za wiernego przyjaciela, który nie był zdolny do zdrady.

Ziarenko wątpliwości, zasiane przez Bolsovera, zaczęło jednak kiełkować. Mark nie mógł przed sobą nie przyznać, jak bardzo zmieniło się zachowanie Isabel od momentu, kiedy poznała Ashtona. Co za pech, że zdarzył się ten wypadek, pomyślał. Gdyby nie on, już jutro znajdowałibyśmy się bezpiecznie w drodze do Hadlea.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mark zjawił się na Mount Street na drugi dzień przed samym wyjazdem i ciotka Emmeline pozwoliła mu na krótką wizytę w pokoju chorej. Jane, która siedziała przy łóżku, wstała natychmiast i podeszła do okna, żeby nie przeszkadzać narzeczonym w rozmowie. Słyszała, jak Mark pyta Isabel o zdrowie i jak ona mu cicho odpowiada. Na tym ich rozmowa zakończyła się. Cisza przedłużała się tak, że Jane zaryzykowała i obejrzała się. Zobaczyła, że siedzą naprzeciwko siebie i, nie mając sobie nic do powiedzenia, milczą. Wyglądali na nieszczęśliwych i przygnębionych.

- Wyjeżdżam zaraz do Hadlea - powiedział w końcu Mark. - Czy chciałabyś coś przekazać rodzicom?

- Powiedz, proszę, że czuję się dobrze. Niech się nie martwią. Jane doskonale się mną opiekuje.

- Nieoceniona Jane - odrzekł Mark i zwrócił się do niej: - Wyglądasz na zmęczoną. Czy nikt nie pomyślał, jak ty się czujesz?

- Czuję się świetnie - oparła. - Nie martw się o mnie. I powiedz rodzicom, że zostanę tutaj, dopóki Issie nie będzie na tyle silna, żeby podróżować.

Mark obiecał, że wróci do Londynu, a potem odwiezie je swoją kareta do Hadlea, po czym pożegnał się i wyszedł. W chwilę po jego odjeździe na Mount Street zjawił się Drew, którego lady Cartrose przyjęła na dole w salonie. Stwierdziła bowiem, że to nie wypada, by odwiedzał chorą w jej sypialni.

Dni upływały, Isabel dochodziła do zdrowia, a Drew zjawiał się codziennie, pytając o jej samopoczucie. Isabel go nie widywała, natomiast widywała go Jane, która była zdania, że Ashton okazuje zbyt wielką i zbyt jawną troskę. Nie niepokoiłoby to jej, gdyby nie pamiętała, z jakim wyrazem twarzy trzymał Isabel w ramionach w chwilę po jej upadku z konia. Zastanawiała się, czy z nim o tym nie porozmawiać, jednak postanowiła, że tego nie robi. Kiedy wrócimy do Hadlea, pocieszała się, cała sprawa umrze śmiercią naturalną.

W chwilach, gdy nie zajmowała się siostrą, Jane pisała zaproszenia na wieczór, który z myślą o jej sierocińcu zamierzała urządzić ciotka i którego termin ze względu na chorą, został przesunięty o tydzień. Tymczasem Isabel czuła się coraz lepiej i po sześciu dniach spędzonych w łóżku zeszła na dół. Siedziała w salonie, gdy zjawił się Drew ze swoją codzienną wizytą. Zapytała go zaraz, czy da się zaprosić na ten wieczór. Odrzekł jej, że za nic w świecie nie chciałby zrezygnować z takiej towarzyskiej okazji. Gdy oboje wdali się w dalszą rozmowę, Jane zostawiła ich z ciotką, a sama poszła do ogrodu, by poćwiczyć przemowę, którą zamierzała wygłosić do gości podczas uroczystego wieczoru. Tam zastał ją Mark.

- Jane, jak się czujesz? - spytał po przywitaniu, patrząc na nią uważnie. - Jesteś blada. Czyżbyś źle sypiała?

- Czuję się doskonale - odparła, ukrywając wzruszenie, które ją ogarnęło na jego widok. - A ty powinieneś pytać o zdrowie Isabel, a nie moje.

- Moim zdaniem Isabel jest już całkiem zdrowa - powiedział sucho. - Pokojówka

poinformowała mnie przed chwilą, że pojechała do miasta w towarzystwie lady Cartrose i Drew.

- Pojechała do miasta? - zdumiała się Jane. - A ja myślałam, że poszła do siebie, żeby odpocząć, zanim zmieni suknię przed zejściem na kolację.

Mark postanowił poczekać na powrót Isabel, a czekając, wysłuchać, jak Jane zamierza na drugi dzień, podczas wieczornego przyjęcia, zachęcać zamożnych gości do ofiarności. Usiedli więc razem na ławce w cieniu i pogrążyli się w rozmowie. Gdy Jane powiedziała, że starała się ustalić, ile pieniędzy pochłonie zakup domu i umeblowania oraz zatrudnienie personelu, a także jak duże będą bieżące wydatki na wyżywienie, ubrania i ogrzewanie, Mark zaproponował, że sprawdzi te rachunki. Poszli następnie do pokoju porannego, gdzie zostały notatki dotyczące charytatywnego przedsięwzięcia Jane. Wciąż siedzieli pochłonięci rozmową i szacunkami, gdy do domu wróciły lady Cartrose i Isabel w towarzystwie Drew.

- Mark - zakrzyknęła Isabel na widok narzeczonego. - Nie spodziewałam się, że wrócisz tak prędko.

- Przyjechałem specjalnie na jutrzejsze przyjęcie. Obiecałem też twoim rodzicom, że zabiorę cię do domu. Wszyscy bardzo za tobą tęsknią.

- Nie jestem pewna, czy już całkiem wydobrzałam...

- Byłaś jednak na tyle zdrowa, by wyjść z domu - zauważyła Jane.

- Nie oddaliliśmy się za bardzo. Poza tym pojechaliśmy kareta.

Lady Cartrose wezwała pokojówkę, a potem, przy herbacie i ciasteczkach, rozmowa potoczyła się dalej. W pewnym momencie Isabel powiedziała, że jedząc lody w herbaciarni Guntera, zobaczyli księcia regenta, który właśnie tamtędy przejeżdżał.

- Uśmiechnął się do nas i podniósł rękę w geście pozdrowienia, ale na ulicy rozległo się buczenie. Jest strasznie otyły.

- Znany jest z tego, że bardzo dużo je - wyjaśniła lady Cartrose.

- A połowa jego poddanych przymiera głodem - dodała Jane. - Nic zatem dziwnego, że ludzie na jego widok buczą.

- Krążą plotki, że chce się rozwieść z żoną - mówiła dalej milady. - Pragnie mieć spadkobiercę. Może wkrótce go zobaczymy, jeżeli księżna Charlotte donosi ciążę.

- Zamierzam do niego napisać i przedstawić mu sytuację, w jakiej znajdują się sieroty po żołnierzach - wyznała Jane.

- Nie sądzę, że taki list dojdzie do regenta. Z pewnością utknie na biurku jego drugiego lub trzeciego sekretarza - stwierdził Mark z uśmiechem. - Lepiej zrobisz, pisząc do ludzi o nieco niższej pozycji.

- Takich jak księżę Wellington! - zaśmiała się Isabel. - Czy wiesz, Marku, że Jane dostała odpowiedź od jego sekretarza?

- Naprawdę, Jane?

- Tak. Sekretarz napisał, że księżę zna problem i będzie współdziałał z władzami, gdy te się nim zajmą - odrzekła Jane. - Ponadto sądzi, że nie byłoby sprawiedliwe, gdyby pomagał jakiemuś pojedynczemu sierocińcowi, a innym nie. Zwłaszcza że ten sierociniec będzie się znajdował w okolicy, która nie jest mu znana. Innymi słowy, odmówił.

- Sprytny unik - skwitował Mark.

Wkrótce Mark i Drew pożegnali się i ruszyli razem w stronę South Audley Street.

- Przyjdiesz jutro na wieczorne przyjęcie? - zapytał Mark przyjaciela.

- Mam taki zamiar. Panna Jane potrzebuje każdego wsparcia. Obawiam się jednak, że się rozczaruje, bo bardzo wielu ludzi jest podobnych do księcia. Uważają, że problem powinni rozwiązać inni.

- Jego wysokość zapewne nawet tego listu nie widział.

- Pewnie masz rację, ale chodzi nie tylko o to. Krążą plotki...

- Jakie plotki? - przerwał mu Mark.

- Ktoś powtarza, że panna Cavenhurst zebrane przez siebie pieniądze oddaje ojcu, który popadł w finansowe tarapaty.

- Dobry Boże! Kto opowiada takie rzeczy?! Zaraz... pozwól, że zgadnę. Hector Bolsover.

- Owszem. Bolsover rozpowiada, że nikomu z rodziny Cavenhurstów nie można ufać, gdy w grę wchodzi pieniądze.

- A więc miałem rację. Tu nie chodzi jedynie o Teddy'ego i jego długi. Udało ci się odkryć, co się za tym wszystkim kryje?

- Nie. Ale sądzę, że Toby Moore może coś na ten temat wiedzieć. Grywam z nim w karty, a marny z niego gracz. Przyszedł mi do głowy taki plan: ogram go na dużą sumę i daruję mu dług w zamian za informacje. Idę grać dziś wieczorem. Przyjdiesz także?

- Nie. Obiecałem sprawdzić rachunki Jane dotyczące kosztów związanych z sierocińcem. Aby to przedsięwzięcie odniosło sukces, musimy przewidzieć wszelkie trudności. Przyda jej się to, zwłaszcza w obliczu tych podłych wrogich działań Bolsovera.

Rozstali się na rogu ulicy. Mark szedł w stronę domu głęboko zamyślony. Zastanawiał się nad przyjaźnią Isabel i Drew oraz nad tym, czy przypadkiem Bolsover nie miał racji. Dowiedział się dzisiaj, że Drew był w domu ciotki panien Cavenhurst codziennym gościem i że między nim a Isabel wytworzyła się niezbyt stosowna poufałość. Powinien był być z tego powodu zły i zazdrosny, ale wcale nie był. Niepokoiło go tylko to, że zerwane zaręczyny mogłyby zaszkodzić obu rodzinom. Sam nie chciał tego zrobić ze względu na honor. Postanowił więc, że pozostanie bierny i pozwoli rozwijać się sytuacji. Mógł oczywiście wyzwać Drew na pojedynek, ale uznał to rozwiązanie za ostateczność. A zresztą, pomyślał, może przesadzam? Może widzę więcej niż rzeczywiście się za tym wszystkim kryje?

Wzruszył ramionami i wszedł do domu.

Nazajutrz wieczorem Jane, ubrana w prostą suknię z jedwabiu w kolorze morskim przyozdobioną aksamitnymi ciemnozielonymi wstążkami, ze sznurem pereł, który dostała od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny, na szyi, zbierała siły przed swoim publicznym występem. Zamierzała przemawiać krótko, by potem poświęcić więcej czasu na indywidualne rozmowy. Goście zaczęli się schodzić o ósmej, a o dziewiątej wielki salon w domu lady Cartrose był już pełen. Wtedy nastąpiło wielkie wejście Isabel, odzianej w sari. Na jej widok przez tłum gości przeszedł szmer, ona tymczasem podeszła do Drew i zapytała, czy mu się w tym stroju podoba. Ani Mark, ani Jane nie usłyszeli, co Drew odpowiedział.

- Zaczynamy - zaproponował Mark, odwracając wzrok od narzeczonej flirtującej z jego przyjacielem.

Następnie wyjaśnił gościom powód, dla którego się tego wieczoru zebrali, i przedstawił im Jane. Choć czuła ogromną treść, mówiła silnym, pewnym głosem, a pasja, z jaką przekonywała o konieczności niesienia pomocy, zdawała się odnosić widoczne efekty. W salonie z początku panowała cisza, ale pod koniec przemówienia w sali zaczął narastać szum.

- Na wszelkie pytania chętnie odpowiem później - powiedziała Jane na koniec.

- Prosimy o odpowiedź już teraz - odezwał się z tłumu męski głos.

- Zgoda. Zatem kto pierwszy?

- Ja - oświadczył ten sam dżentelmen. - Skąd mamy mieć pewność, że pieniądze, które pani zbiera, zostaną przeznaczone właśnie na ten cel? Ponoć pani ojciec jest bliski bankructwa, a te pieniądze mają pomóc spłacić jego długi.

- To... to niecna... podła kalumnia - odrzekła z gniewem Jane. - Nawet gdyby mój ojciec był bankrutem, co jest kłamstwem, za które wyzwałabym pana na pojedynek, gdybym była mężczyzną, nie miałoby to wpływu na Dom Dziecka w Hadlea.

- Słyszałem coś zupełnie innego.

- Toby Moore. - Drew zostawił Isabel rozmawiającą z ciotką i stanął u boku Marka. - Z pewnością przysłał go Bolsover. Wyrzucimy go.

Ruszyli obaj w stronę pytającego, a ten, dostrzegłszy ich, wycofał się ku frontowym drzwiom i opuścił zgromadzenie. Zło zostało już jednak wyrządzone. Nikogo nie interesował już dom dziecka, tylko sytuacja finansowa jej ojca i brata. Wtedy z pomocą pospieszył Mark. Zajął jej miejsce i zwrócił się do zgromadzonych.

- Skoro nie chcecie państwo słuchać panny Cavenhurst, wysłuchajcie mnie - zawołał. - Większość z was wie, kim jestem, a tym, którzy mnie nie znają, zaraz się przedstawię. Jestem lord Wyndham z Broadacres, a moja posiadłość leży tuż obok wioski Hadlea. Moja rodzina mieszka tam od wieków i jest szanowana zarówno w Norfolku, jak i w Londynie. Mój niedawno zmarły ojciec wspierał Dom Dziecka w Hadlea. Wspieram go także i ja. I gwarantuję, że panna Cavenhurst to osoba uczciwa.

- Nie jest pan bezstronny. Jest pan zaręczony z jej siostrą - powiedział ktoś spośród gości.

- To prawda, jestem zaręczony z panną Isabel Cavenhurst. I to jest dodatkowy powód, dla którego muszę dbać o swoje dobre imię. Oświadczam zatem, że zatrudnię własnego prawnika, który będzie czuwać nad funduszami. Dom dziecka to bardzo ważna sprawa. Potrzebują go właśnie dzieci, nie panna Jane. To przedsięwzięcie powstało ze szlachetnych pobudek i nie mam zamiaru nikogo dłużej do tego przekonywać. Jeżeli ktoś z państwa chce zaproponować datek, panna Jane Cavenhurst go przyjmie. Pozostałym życzę dobrej nocy.

Po słowach Marka kilka pojedynczych osób wyszło. Znakomita większość pozostała na przyjęciu, chętna do pomocy i ciekawa dalszych planów Jane.

Jane popatrzyła na niewielki stosik biżuterii, do którego dodała własne perły, i kolumnę liczb, reprezentującą datki, i odetchnęła z ulgą. Mogła uznać wieczór za udany, ale przede wszystkim dzięki pomocy Marka.

- Byłeś wspaniały - powiedziała. - Bez ciebie bym sobie nie poradziła.

- Obiecałem, że będę wspierał cię w twoich wysiłkach... I zrobiłem to z przyjemnością.

- Ale powiedz mi... co znaczą te zarzuty... jakoby mój ojciec był bankrutem? Skąd wzięły się te plotki?

- Moim zdaniem rozsiewa je lord Bolsover, Jane - odrzekł Mark, po czym zapytał:

- Czy ktoś z twojej rodziny miał z nim dawniej jakiś zatarg?

- To znaczy... ktoś inny prócz Teddy'ego?

- Tak. Może przypominasz sobie coś, o co może mieć pretensję?

- A czy nie wystarczy to, że Teddy jest mu winien pieniądze i zniknął, nie spłaciwszy długu?

- Jestem pewien, że Bolsoverowi nie chodzi o dług Teddy'ego. Dla niego to tylko środek do celu.

- Do jakiego celu? Co twoim zdaniem jest celem Bolsovera?

- Tego jeszcze nie wiem, ale niebawem to się zmieni - obiecał Mark, po czym poradził Jane, by udała się do swojej sypialni i odpoczęła.

- A czy mogłabym prosić cię o jeszcze jedno? Weźmiesz ze sobą to, co udało mi się zebrać? - zapytała, wskazując biżuterię oraz pieniądze. - Wolę unikać powodów do kolejnych oskarżeń.

Mark zgodził się i chwycił płócienną torbę, po czym obiecawszy, że nazajutrz rano uda się wraz z nią do kancelarii prawniczej, by ustanowić powiernictwo i otworzyć rachunek bankowy, pożegnał się i pojechał do siebie. Jane uściskała ciotkę i siostrę na dobranoc, a następnie udała się do sypialni. Mimo że wciąż nękały ją myśli o kłopotach finansowych ojca oraz o knowaniach lorda Bolsover - położyła się zaraz do łóżka i zmęczona zasnęła.

Nazajutrz rano zjawił się Mark w niewielkim powoziku i, wraz z pokojówką Bessie w roli przyzwoitki, zabrał Jane do kancelarii Hallidayów. Gdy ją przedstawił młodszemu ze współników, panu Cecilowi Hallidayowi, ten, nieco skonsternowany, oznajmił, że sprawami sir Edwarda zajmuje się jego ojciec, i chciał ich skierować do niego. Dopiero kiedy Mark wyjaśnił, o co chodzi, Cecil uspokoił się, a nawet żywo zainteresował przedsięwzięciem Jane. Następnie ustanowił powiernictwo i zgodził się również zostać, obok Jane, Marka oraz bankiera, czwartym z powierników.

Wszystko to zajęło około godziny, po którym to czasie Mark i Jane wyszli z kancelarii z odpowiednimi dokumentami, a bez płóciennej torby z pieniędzmi i biżuterią, zebranych podczas wczorajszego przyjęcia. Biżuteria miała zostać zlicytowana, a uzyskana w ten sposób suma wpłacona na konto.

Mark pomógł Jane wsiąść do powoziku, po czym oznajmił, że ma jeszcze drobną sprawę do pana Cecila Hallidaya, i poprosił, żeby wraz z Bessie zaczekała na niego. Wszedł do środka, a Jane zaczęła obserwować wszystko, co dzieje się naokoło na ruchliwej ulicy. Była tak pochłonięta tym zajęciami, że nie zauważyła mężczyzny, który przystanął tuż przy powoziku.

- I oto, droga panno Cavenhurst, spotykamy się ponownie.

Na dźwięk tych słów Jane odwróciła głowę i zobaczyła, że stoi przed nią lord Bolsover, uchylając kapelusza.

- Witam, milordzie.

- Pani jest sama? Bez żadnego rycerza, który by pani bronił?

- Jest ze mną lord Wyndham.

- Czyżby? Nie widzę go.

- Musiał na moment wrócić do kancelarii. Ale... ja naprawdę cieszę się z naszego spotkania.

- Jakże mi to pochlebia!

- Nie zamierzałam panu pochlebiać, milordzie. Chcę z panem mówić o plotce, jakoby ojciec był bankrutem. Czy słyszał pan coś na ten temat?

- Plotka?! O drogim sir Edwardzie?! O mój Boże! Ludzie potrafią być tacy niezyczliwi!

- Sądzę, że to pan rozpuszcza tę plotkę, chcąc mnie zdyskredytować i uniemożliwić mi zbieranie funduszy na sierociniec.

- Ależ, panno Cavenhurst, dlaczego miałbym to robić? Współczuję sierotom tak jak każdy. Jednak... wątpię, czy pani uda się odmienić ich los.

- Dlaczego? Ktoś musi się zająć tymi dziećmi i nie dopuścić, by wyrosły na złodziei. Chcę stworzyć tym dzieciom szansę...

- Powód jest oczywisty, panno Cavenhurst: jest pani kobietą, która weszła do męskiego świata. Kobiety nie są stworzone do tego, by walczyć, kierując się rozumem. One walczą, kierując się emocjami.

- A co w tym złego?

- To, że emocje skłaniają panie do podejmowania błędnych decyzji. Przekona się pani, że mam rację.

- To zabrzmiało jak groźba. Nie rozumiem, dlaczego pała pan do mnie taką niechęcią. Poznaliśmy się bardzo niedawno, a ja do tego czasu nawet o panu nie słyszałam.

- Naprawdę? Nie słyszała pani? To zaskakujące.

- Gdyby mój brat nie był na tyle nierozsądny, by grać z panem w karty, do dzisiejszego dnia nie miałabym pojęcia, jakim pan jest człowiekiem.

- I teraz nie ma pani o tym pojęcia, proszę mi wierzyć. W każdym sporze są dwie strony, a jak na razie zna pani wersję tylko jednej.

- Być może. Jednak pan musi się przyznać do pomyłki, jeżeli ceni prawdę i sprawiedliwość. Mój ojciec nie jest bankrutem, a ja jestem osobą prawą i uczciwą. Nie ma pan żadnych podstaw do tego, żeby sądzić, że źle poprowadzę sierociniec.

- Nie rozumiem, dlaczego pani sądzi, że to ja rozpuściłem te plotki. Przecież nie ma pani dowodu. - Bolsover uśmiechnął się szyderczo i dodał: - Jeżeli jednak plotka mówi prawdę, byłbym głupcem, gdybym jej zaprzeczał.

- Oczywiście, że plotka nie mówi prawdy.

- Ja, panno Cavenhurst, na pani miejscu zapytałbym o jej prawdziwość ojca. Albo też wróciłbym do kancelarii i spytał o to pana Hallidaya seniora, który zajmuje się sprawami Cavenhurstów.

- Nie mam zamiaru tego zrobić!

- Wie pani - odparł, wciąż się uśmiechając - w złości pani oczy błyszczą i jest pani nawet piękniejsza niż zwykle. Zacząłem odczuwać w stosunku do pani dziwne współczucie. A jest to słabość, na którą nie mogę sobie pozwolić.

Po tych słowach Bolsover uklonił się, włożył kapelusz i się oddalił. A gdy Jane ze

łzami bezsilności i gniewu w oczach odprowadzała go wzrokiem, zjawił się Mark.

- Mam nadzieję, że nie kazałem ci czekać zbyt długo - powiedział. - Wstąpimy na lody do Guntera? Dzień jest taki ciepły... - Urwał nagle i przyjrzał się twarzy Jane: - Ty płaczesz?

- Jestem zła.

- Ale dlaczego? Zbyt długo kazałem ci na siebie czekać? Przepraszam cię, ale chyba nie było mnie tylko parę minut.

- Nie, nie. To nie o to chodzi. Miałam sprzeczkę z lordem Bolsover. Ten okropny człowiek nie chce przyznać, że to on rozpuścił plotkę o moim ojcu. A poza tym powiedział, że nie uda mi się założyć sierocińca, bo jako kobieta kieruję się emocjami.

- Tu zaśmiała się przez łzy. - No i proszę... Oto sama daję dowód na to, że to prawda.

- Och, Jane, po co w ogóle z nim rozmawiałaś? Nie powinnaś była wdawać się z nim w dyskusję.

- Chciałam go skłonić, żeby przestał powtarzać kłamstwa o papie.

- Szkoda czasu na ludzi jego pokroju, żadne prośby nie poskutkują. Co więcej, odbierze je jako dowód słabości. A teraz jedźmy na lody i zapomnijmy o Bolsoverze.

W herbaciarni nie zabawili długo. Zjedli lody i pojechali na Mount Street, gdzie okazało się, że lady Cartrose i Isabel udały się na przejażdżkę w towarzystwie Drew. Mark postanowił na nich nie czekać. Zanim się z nią pożegnał, wyjął z kieszeni perły.

- Proszę bardzo - powiedział, podając jej biżuterię. - Są twoje. Pomyślałem, że wystawienie ich na licytację zabolaloby twojego papę. Twoja ofiarność dobrze o tobie świadczy, ale powiernictwo doskonale obejdzie się i bez tych pereł. Zatrzymaj je.

- Dziękuję - zakrzyknęła spontanicznie Jane, po czym w odruchowym geście wdzięczności wspięła się na palce i pocałowała Marka w policzek.

Następnie umówili się, że nazajutrz, o dziewiątej rano, Mark przyjedzie na Mount Street, po czym we troje wyruszą jego kareta w drogę powrotną do domu. Gdy wyszedł, Jane poszła na górę, do swojej sypialni, gdzie pokojówka pakowała już jej rzeczy.

- Rzeczami panny Isabel zajmę się po południu - oznajmiła. - Ale nie wiem, czy wszystkie się zmieszczą w tym kufrze, do którego obie panienki spakowały swoje ubrania, jadąc do Londynu. Panienska Isabel kupiła mnóstwo nowych rzeczy.

- Sądzę, że lady Cartrose użyczy jej swojego - odrzekła Jane.

Lady Cartrose, Isabel i Drew wrócili wkrótce na Mount Street i Drew zaraz zaczął się żegnać, wyjaśniając, że musi porozmawiać z Markiem przed jego wyjazdem do Hadlea. Ukłonił się lady Cartrose i Jane, a potem Isabel, która wyglądała na bardzo zgnębioną.

- Do widzenia, panno Isabel - powiedział. - I proszę przyjąć powinszowania z okazji zbliżających się zaślubin.

- Jego słowa zabrzmiały tak dziwnie - zauważyła Jane, gdy już wyszedł. - Wyglądało to tak, jakby miał nie być na ślubie.

- Bo go nie będzie. - Isabel zapłakała, wcale nie ukrywając smutku. - Wyjeżdża i już nigdy więcej go nie zobaczę. Powiedział, że tak będzie najlepiej.

Jane miała ochotę się z tym zgodzić, jednak widząc rozpacz malującą się na twarzy Isabel, milczała. Nie wiedziała, jak głębokim i trwałym uczuciem Isabel darzy Ashtona, ale im szybciej obie znajdą się na powrót w domu, tym lepiej.

Później zajęła się rzeczami praktycznymi: poinformowała siostrę, że Mark zajdzie po nie karetą nazajutrz o dziewiątej rano, i poprosiła ciotkę o pożyczenie kufra na rzeczy Isabel. Gdy ciotka wyszła, żeby wydać lokajowi stosowne polecenia, Isabel wybuchnęła płaczem.

- Nie chcę jechać do domu - łkała, zalewając się łzami.

- Ależ... dlaczego?

- Bo wszyscy tam będą mówili o ślubie... a ja tego nie zniosę...

- Jak to? Przecież zaledwie przed miesiącem nie mówiłaś o niczym innym. I nie mogłaś się doczekać dnia ślubu!

- Tak... Wtedy powiedziałaś, że ślub to nie wszystko... I miałaś rację... Teraz rozumiem. Ja... po prostu chciałam być panną młodą... u boku Marka, który jest taki przystojny i bogaty. Ale tak naprawdę to... popełniłam błąd. Nie chcę za niego wyjść.

- Jednak przyjęłaś oświadczyzny. Przykro mi, że masz wątpliwości. Ja... miałam na myśli tylko to, że ślub jest jedynie początkiem i odgrywa w małżeństwie niewielką rolę.

- Wiem, co miałaś na myśli... Po twoich słowach zaczęłam się jednak zastanawiać... Nie wyobrażam sobie, bym mogła być z Markiem związana do końca życia. I... proszę cię, nie mów mi, że to tylko nerwy, bo ja wiem, że tak nie jest. Ja po prostu... nie mogę wyjść za Marka. On nie jest miłością mojego życia!

Słowa siostry sprawiały Jane ból. Ból trudny do zniesienia. Oto Isabel nie mogła sobie wyobrazić życia z Markiem, a ona, Jane, nie wyobrażała sobie życia bez niego...

- Issie - powiedziała z namysłem. - Czy jest ktoś inny?

Isabel popatrzyła na nią rozpaczliwie smutnym wzrokiem.

- Domyśliłaś się?

- Pan Ashton?

- Tak. Zakochałam się w nim, Jane. Myślę o nim bez przerwy. Moje serce raduje się na jego widok i wypełnia się smutkiem, kiedy on odchodzi. Dotknięcie jego ręki sprawia, że moje ciało płonie. Pragnę tulić się do niego... zatrzymać go przy sobie na zawsze... nie pozwolić mu odejść...

Jane знаła te uczucia i współczuła siostrze. Współczuła jej tym bardziej, że wiedziała, że zerwanie przez nią zaręczyn z Markiem dla innego mężczyzny wywołałoby okropny skandal.

- Czy pan Ashton odwzajemnia twoje uczucia, Issie? Powiedział ci o tym?

- Nie wprost. Ale... wiem, że on je odwzajemnia. Wyczuwam to... wiem to... ze sposobu, w jaki na mnie patrzy i w jaki do mnie mówi. Problem w tym, że jest przecież przyjacielem Marka. Nie chce zawieść jego zaufania. Dlatego wyjeżdża. A ja... och, Jane... jestem taka nieszczęśliwa. Jeżeli poślubię Marka, to... staniemy się nieszczęśliwi we troje. Ja, pan Ashton i Mark. Nie kochając Marka, nigdy nie zdołam

go uszczęśliwić.

Jane pomyślała, że we czworo będą nieszczęśliwi, ale postanowiła nie zdradzać swoich uczuć.

- Nie wiem, co mogłabym ci doradzić, Issie - odezwała się po chwili. - Może... kiedy wrócimy do domu, do zwykłego, codziennego życia... może wtedy zapomnisz o panu Ashtonie i przypomnisz sobie, dlaczego chciałaś wyjść za Marka.

- Nie, Jane... Ty nie rozumiesz...

- Rozumiem. Wierz mi, że rozumiem. - Jane wstała. - A teraz idź i pomóż Bessie pakować rzeczy. Potem zjemy wczesną kolację i pójdziemy spać, bo jutro musimy wstać skoro świt.

Drew zastał Marka w trakcie wydawania poleceń dotyczących przygotowania karety oraz pakowania.

- Jak było u prawnika? - zapytał.

- Bardzo dobrze - odrzekł Mark. - Powiernictwo zostało ustanowione, a precjoza będą sprzedane na licytacji. Wszystkie z wyjątkiem pereł, które Jane dostała od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Wykupiłem je. Właśnie po to wróciłem na parę minut do kancelarii, zostawiając Jane w powoziku przed wejściem. Wyobraź sobie, że pod moją nieobecność zjawił się Bolsover, z którym wdała się w dyskusję na temat tych okropnych plotek. Skutek był taki, że po wyjściu z kancelarii zastałem ją we łzach. Teraz także i ona jest przekonana, że Bolsoverowi chodzi o coś więcej niż tylko o dług Teddy'ego.

- To prawda. Chodzi mu o coś więcej. Wiem to od Toby'ego Moore'a, którego ograłem i od którego w zamian za darowanie długu uzyskałem interesujące cię informacje. Ponoć cała ta sprawa wiąże się z faktem, że przodkowie Bolsovera byli przed wiekami właścicielami Greystone, a posiadłość odebrał im jeden z przodków sir Edwarda w nieuczciwy sposób. Bolsover poprzysiągł, że odzyska majątek. W tym celu nie tylko kupił długi Teddy'ego, ale także skupuje długi sir Edwarda. Jest prawie gotów do decydującej akcji.

- A więc jest gorzej, niż myślałem.

- Zastanawiam się, czy sir Edward wie, co się szykuje.

- Nie sądzę. I myślę, że... wkrótce wybuchnie wielki skandal, jeżeli go nie powstrzymamy...

- Wygląda niestety na to, że Bolsoverowi się powiedzie.

- Biedna Jane. Nie wiem, jak jej sierociniec przetrwa taki skandal.

- A poza tym zbliża się twój ślub.

- No właśnie. Musimy jakoś temu zaradzić. Jestem co prawda bogaty, ale nie mogę spłacić wszystkich długów Cavenhurstów. Tak wielki wydatek zagroziłby mi ruiną. Trzeba wymyślić coś innego.

- Pieniądze to nie problem, ja dysponuję odpowiednim majątkiem. Rzecz w tym, że Bolsover nie przyjmie pieniędzy. Jest bogaty jak Krezus i nie zamierza wypuścić Greystone z rąk.

- Jak sądzisz, w jaki sposób się wzbogacił? Jego posiadłość jest przecież niewielka.

- Przede wszystkim z hazardu, choć nie wiadomo, czy gra nieuczciwie.... Nikt go

dotychczas nie przyłapał na oszustwie.

- Może gdybyśmy potrafili tego dowieść...

- Czy mówiąc „my”, masz także na myśli mnie, Marku?

- Tylko pod warunkiem że sobie tego życzysz.

- Wkrótce wyjeżdżam. Nic mnie nie trzyma w Anglii. Przyszedłem, żeby się z tobą pożegnać.

- Czy to z powodu Jane chcesz opuścić Anglię?

- Z powodu Jane?

- No tak. Jane dała ci przed laty kosza?

- Ona ci to powiedziała?

- Nie. Sam się tego domyśliłem. Czy wróciłeś, by ponownie starać się o jej rękę?

- Nie byłem tego tak do końca pewien. Ale przyznam, że chciałem dowieść sir Edwardowi, że potrafiłem sobie w życiu poradzić i że popełnił kiedyś błąd, nie pozwalając nam się pobrać.

- Czy Jane odwzajemniała twoje uczucia?

- Sądzę, że wtedy, przed laty, je odwzajemniała. Teraz jednak jest całkiem inaczej.

- Zatem wyjeżdżasz ponownie rozczarowany.

- Nie z powodu Jane.

- Kto tym razem złamał ci serce?

- Nikt. To nie ma znaczenia, bo... i tak nie moglibyśmy się pobrać. Wyjeżdżam ze względu na... inną kobietę... i na siebie.

- A więc chodzi o Isabel?!

- Opiekuj się nią, Mark. Bardzo cię proszę. I bądźcie szczęśliwi.

Po tych słowach Drew odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Mark został sam i przez długą chwilę nie mógł zebrać myśli. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, wybiegł za swoim przyjacielem przed dom, ale ulica była już pusta.

Dzień minął, jednak Jane leżała w łóżku i nie mogła zasnąć. Dręczyły ją słowa siostry. Nie wiedziała, jak przekonać Isabel, żeby nie zrywała zaręczyn. Nie dość, że zraniłaby w ten sposób człowieka, którego Jane kochała, i zasmuciłaby rodziców, to jeszcze wywołałaby ogromny skandal. To przypomniało jej rozmowę z Bolsoverem.

Co ten człowiek knuje, jaką prowadzi grę i co zamierza zdobyć? – zadawała sobie pytanie. Och, gdybyż Teddy nie oddawał się hazardowi... Isabel nie flirtowała z Andrew Ashtonem... a ona sama nie zakochała się w Marku...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podróż powrotna trwała dwa dni i przebiegała przeważnie w milczeniu. Ani wycofana, skupiona na sobie Isabel, ani pogrążona w myślach Jane, ani podejrzanie cichy Mark nie kwapili się, żeby prowadzić konwersację. Pierwszego dnia dojechali do Scole, gdzie w starej gospodzie Pod Białym Jeleniem zatrzymali się na nocleg, a drugiego dnia wczesnym wieczorem zajechali przed Greystone. Mark, dopilnowawszy wyładunku kufrów obu sióstr i złożony wyrazy uszanowania ich rodzicom, pospieszył zaraz do Broadacres.

Siostry tymczasem wpadły w objęcia matki.

- Och, jak to dobrze, że jesteście już w domu! Tak się za wami stęskniłam - mówiła lady Cavenhurst wśród pocałunków i uścisków. - Czekamy na was z kolacją! Opowiedzcie nam o wszystkim, coście w Londynie przeżyły. Isabel, czy wróciłaś już do zdrowia po tym niefortunnym upadku z konia?

- Tak, mam, nic mi nie jest - odrzekła Isabel i odwróciła się ku Sophie, która właśnie wpadła do holu, spiesząc, by obie siostry przywitać.

- Okropnie mi was brakowało! - wołała. - Strasznie się bez was nudziłam. I nie mogę się wprost doczekać waszych opowieści. Chcę jak najprędzej usłyszeć, jak spędzałyście czas w Londynie.

- Idźcie teraz do swoich pokoi i przebierzcie się do kolacji - poleciła lady Cavenhurst starszym córkom. - Kolacja zostanie podana, gdy tylko zejdziecie na dół.

Podczas kolacji przy stole toczyła się ożywiona rozmowa. Sophie opowiadała siostrze, co działo się pod ich nieobecność w domu, w wiosce i w okolicy, a Isabel nie pozostawała jej dłużna, opowiadając o wszystkim, co widziała i robiła w Londynie, jednak unikając jakiegokolwiek wzmianki o Ashtonie. Jane natomiast opisała wizytę w Szpitalu Podrzutków.

- Słyszeliśmy też od Marka, gdy tu zajechał, by powiedzieć nam o wypadku Isabel, że ciotka Emmeline urządziła dla ciebie, Jane, specjalny wieczór - powiedział sir Edward. - Poznałaś podczas tego przyjęcia jakichś interesujących ludzi?

- Tak. Salon w domu cioci był pełen gości. Wszyscy wiedzieli, że będę mówiła o domu dziecka, który zamierzam otworzyć w Hadlea, i byli ciekawi moich słów. Z początku bardzo się denerwowałam, jednak w miarę, jak rozwijałam temat, całkiem zapomniałam o nerwach.

- Przybyli tam bardzo różni ludzie - dodała Isabel. - Niektórzy zachowywali się bardzo głośno. A pewien mężczyzna powiedział...

- Isabel - przerwała siostrze pospiesznie Jane - mama i papa nie chcą tego słyszeć.

- Czego nie chcemy słyszeć? - zdziwiła się lady Cavenhurst.

- Ten człowiek... chciał tylko... wywołać zamieszanie - wyjaśniła Jane. - Mark i pan Ashton szybko się go pozbyli.

- Zamieszanie? - zapytał sir Edward. - Jakiego rodzaju?

- On... - wyjaśniła Jane - zakwestionował moją uczciwość. Bo... widzisz, papo, są

na świecie ludzie, którzy uważają, że kobieta nie potrafi zarządzać pieniędzmi. Na szczęście Mark wyjaśnił, że nad finansami domu dziecka będą czuwali powiernicy, z których jednym jest on sam. To wyjaśnienie zadowoliło większość gości.

- Ten człowiek powiedział coś jeszcze. - Isabel zignorowała fakt, że Jane patrzy na nią gniewnie. - Powiedział, papo, że stoisz na skraju bankructwa i że pieniądze, które Jane zbiera na sierociniec, zostaną przeznaczone na spłatę twoich długów.

- Issie! - zawołała Jane, widząc, że twarz ojca robi się purpurowa, a matka wstrzymuje oddech. - Nie ma potrzeby zawracać papie głowy słowami tego człowieka. One nie mają żadnego znaczenia.

- Wydaje mi się, że obracałyście się w Londynie w niewłaściwym towarzystwie - powiedziała matka, odzyskawszy głos. - Dziwię się, że Emmeline na to pozwoliła.

- Nie, mam, nie wiń o to cioci - poprosiła Jane. - Ten człowiek zjawił się na przyjęciu nieproszony.

- Słyszałam od D... to znaczy od pana Ashtona, że nadszedł go lord Bolsover - mówiła dalej Isabel. - To ten dżentelmen, któremu Teddy jest winien pieniądze. I który najwyraźniej jest wściekły, że Teddy wyjechał.

- No cóż, Bogu dzięki, że jesteście już w domu, z dala od takich spraw - oznajmiła matka. - Pomówmy o czym innym. Odwiedziłam kilka razy lady Wyndham. Trzyma się zadziwiająco dobrze i z radością mówi o ślubie. A propos, Jane, skoro już wróciłaś, musisz skończyć ślubną suknię Issie.

- Wezmę się do tego, mam, po powrocie z wizyty na plebanii. Złożę ją z samego rana, bo pastorstwo na pewno chcą wiedzieć, jak poszła zbiórka pieniędzy.

Na drugi dzień rano Jane zastała panią Caulder w ogrodzie. Pastorowa ścinała właśnie wczesne róże w pękach z krzewu pnącego się po łuku bramy.

- Dzień dobry, Jane! - zawołała. - Więc już wróciłaś! Jak poszło w Londynie?
- Bardzo dobrze. Mam w torebce notatki, które chcę pokazać pani i wielebniemu.
- Wielebny jest chyba w kościele. A ja zamierzałam ustroić ołtarz tymi różami. Chodźmy i poszukajmy go. Ma dla ciebie nowiny.

- Nowiny? Jakie?
- Wygląda na to, że znalazł dom, który nada się na nasz dom dziecka.
- To bardzo dobra wiadomość. Mam nadzieję, że uda nam się skończyć przed nastaniem zimy.

Zastały pastora w zakrystii. Zajmował się uzupełnianiem parafialnych rejestrów.
- Dajcie mi chwilę. Już kończę - powiedział do Jane, przywitawszy się z nią. - Zanim pójdziemy do domu i omówimy wszystko przy herbacie i ciasteczkach.

Nie chcąc przeszkadzać, przeszły do kościoła. Pastorowa zajęła się ustawianiem róż na ołtarzu, a Jane, rozejrzawszy się po dobrze znanym sobie wnętrzu, wyszła na zewnątrz, na przykościelny cmentarz. Przechadzała się, odczytując inskrypcje na nagrobkach. Pochowano tu jej dziadków, a także ich rodziców. Dalej znajdowały się mogiły Wyndhamów, całych ich pokoleń, oraz Stangate'ów, Pagetów i Finchów. Wreszcie, w odległym zakątku na starym nagrobku, porośniętym mchem, zarosłym trawą i jeżynami i oddzielonym od reszty cmentarza niskim murem, znajdowało się nazwisko, na którego widok stanęła jak wryta.

- „Colin Bolsover Paget – przeczytała – ukochany syn lorda i lady Paget, zmarł, zadawszy sobie śmierć własną ręką, w maju roku 1649, w wieku lat dwudziestu siedmiu. Niech Bóg mu wybaczy i da mu wieczne odpoczywanie”.

Jane pochyliła się i usunęła dłonią mech, aby się upewnić, że odczytała napis poprawnie, a potem zaczęła chodzić po cmentarzu. Szukała innych kamieni nagrobnych z nazwiskami Bolsover i Paget. Nazwisko Paget znalazła na dwóch nie tak starych grobach. Wiedziała też, że widnieje ono na jednej z tablic pamiątkowych znajdujących się we wnętrzu kościoła. Nazwiska Bolsover jednak nie znalazła. Czy to, co odkryła, miało jakieś istotne znaczenie? Może to przeznaczenie sprawiło, że znalazła ten grób? Przypomniała sobie słowa lorda Bolsover o zemście i stwierdzenie, że nie ma ona pojęcia, jakim on jest człowiekiem. Czy Bolsover, zadała sobie pytanie, jest przekonany, że ktoś z moich przodków skrzywdził młodego człowieka pochowanego w tej starej mogile?

- Aha, to tutaj jesteś, Jane.

Serdeczny głos pastora wyrwał ją z zamyślenia. Obejrzała się i zobaczyła, że wielebny i jego żona idą w jej stronę.

- Zastanawialiśmy się, gdzie zniknęłaś.

- Czytałam inskrypcje na grobach. Niektóre są bardzo wzruszające, zwłaszcza te na mogiłach dzieci. No i... wzruszył mnie ten nagrobek... całkowicie ukryty przed ludzkim wzrokiem.

- A tak – powiedział pastor. – Samobójstwo. To jest przyczyna, dla której ten człowiek leży w niepoświęconej ziemi.

- Zna pan jego historię?

- Nie. Ale być może jest coś na ten temat w księgach parafialnych. Chodźmy jednak teraz do domu, ciekaw jestem, jak było w Londynie. Chciałbym też opowiedzieć ci, co załatwiłem tu, na miejscu.

Weszli na plebanię, gdzie przy herbacie i miodowych ciasteczkach pastrowej poczyła się dalej rozmowa. Jane opowiedziała o wszystkim, co się zdarzyło w Londynie, pomijając jedynie oskarżenia pod swoim adresem, które padły podczas wieczornego przyjęcia u ciotki Emmeline.

- Po powrocie – zakończyła – znalazłam w domu nieco korespondencji i kilka niewielkich datków, które przysły w odpowiedzi na listy, które wysłałam przed wyjazdem. Patrząc w przyszłość optymistycznie. Sądzę, że możemy z powodzeniem działać dalej.

Pastor, pochwaliwszy ją za to, że tak dobrze się spisała, oznajmił, że odkrył w pobliskiej osadzie Witherington odpowiedni dom na sierociniec.

- Właściciel, stary człowiek mieszkający samotnie jedynie z jednym sługą i gospodynią, zmarł jakiś czas temu – wyjaśnił. – Ponieważ trudno było odnaleźć jego spadkobierców, dom stał przez dłuższy czas pusty i po prostu niszczał. Ostatnio jednak spadkobiercy znaleźli się i chcą go sprzedać. Dom jest duży, zdewastowany i tani.

Witherington było położone pięć mil od Hadlea i nie miało nawet własnego kościoła.

- Muszę tam pojechać i obejrzeć dom jak najprędzej – powiedziała Jane. – Najlepiej z lordem Wyndham, który jako powiernik powinien zaaprobować nasz wybór.

Po tych słowach pożegnała się i ruszyła w drogę powrotną. Zamierzała też wstą-

pić do Broadacres, żeby porozmawiać z Markiem.

Zastała go w stajniach. Wydawał polecenia dotyczące zwrotu ostatniej czwórki rozstawnych koni, a także czyszczenia karety. Miał na sobie bryczesy do konnej jazdy i koszulę – strój uwydatniający jego piękną męską sylwetkę, która wzbudziła jej zachwyty.

- Dzień dobry, Jane, powitał ją z uśmiechem, sięgając po kurtkę wiszącą na haku koło drzwi. - Doszłaś już do siebie po podróży?

- Oczywiście. Czuję się doskonale. Jedna noc we własnym łóżku działała cuda. Podobnie jak wieść o tym, że wielebny Caulder znalazł dom nadający się na nasz sierociniec. Wracam właśnie z plebanii i wstąpiłam tutaj poprosić, żebyś go wraz ze mną obejrzał.

- Bardzo chętnie. Wejdę zaraz do gabinetu i sprawdzę, kiedy znajdę na to czas. Postaram się, by to było jak najprędzej. Może i Isabel zechce nam towarzyszyć?

By zapytać o to Isabel, nie musieli czekać zbyt długo. Okazało się, że wraz z matką składa właśnie wizytę lady Wyndham. Wszystkie trzy przebywały w pokoju porannym, gdzie dwie starsze panie prowadziły ożywioną rozmowę o planach związanych ze ślubem. Isabel siedziała w milczeniu i ze smutną miną, co bardzo zmartwiło Jane. Kiedyż ona zapomni o Andrew Ashtonie? - pomyślała, mając pewność, że wkrótce wszyscy zauważą jej smutek. Z drugiej jednak strony nie mogła siostry potępiać. Dobrze wiedziała, co znaczy pragnąć kogoś, z kim nie można być.

- Nie wiedziałam, że będziesz dzisiaj w Broadacres - powiedziała matka. - Mogłaś nas przywieźć dwukółką. Wiesz, jak nie znoszę nią powozić. Zawsze się boję, że się wywrócimy i wylądujemy w rowie. A papa stanowczo zabronił nam na tak krótką przejażdżkę wziąć karete.

- Udałam się na plebanie, mamó - wyjaśniła Jane - a potem postanowiłam wstąpić tutaj. Wielebny Caulder znalazł dom nadający się na nasz sierociniec i chciałam o tym porozmawiać z Markiem.

- Naprawdę, Jane - włączyła się do rozmowy Isabel - czy ty nigdy nie myślisz o niczym innym? Wciąż tylko ten sierociniec. Jestem pewna, że Mark jest tym śmiertelnie znudzony. Ja w każdym razie nie mogę już o tym słuchać.

- Przykro mi, że tak myślisz - odrzekła Jane. - Zamierzałam cię właśnie zapytać, czy nie zechciałabyś razem z nami obejrzeć tego domu. Znajduje się w Witherington.

- Nie, nie. Nie chcę. Mam ciekawsze zajęcia. A ty oczywiście nie potrzebujesz przyzwoitki. Jesteś przecież w wieku, w którym nic ci nie grozi. Wszyscy o tym wiedzą.

- Ależ, Isabel - powiedziała lady Wyndham. - Stajesz się zbyt nerwowa. Czyżby to myśl o ślubie tak na ciebie działała?

- Tak, pewnie tak - zgodziła się Isabel i zamilkła.

Na kilka chwil zapanowała cisza, którą przerwała lady Cavenhurst, wstając i dziękując za wizytę.

- Przyjadę do Greystone później - oznajmił Mark. - I wtedy umówimy się na wizytę w Witherington.

Jane poszła za matką i siostrą do dwukółki, nękana złymi przeczuciami. Jeżeli Isa-

bel się nie zmieni, myślała, to zburzy spokój Marka. Czuła zbliżające się nieszczęście oraz niemoc, by mu zapobiec. Pozostało jej tylko bezradnie przypatrywać się rozwojowi wypadków.

- Isabel, co się z tobą dzieje? - zapytała lady Cavenhurst, gdy wróciły do domu po krótkiej przejażdżce, podczas której Isabel nie wypowiedziała ani słowa. - Co cię tak rozstroiło?

- Nic - odrzekła Isabel cicho, wbijając wzrok w posadzkę holu.

- Jak to nic? Od powrotu z Londynu nie opuszcza cię zły nastrój. Zaczynam podejrzewać, że nie cieszysz się, że wróciłaś do domu... i... że wolałabyś zostać u ciotki Emmeline.

Isabel podniosła na matkę oczy pełne łez.

- To nie o to chodzi - powiedziała.

- Issie - zwróciła się do niej Jane, obejmując ją ramieniem. - Lepiej opowiedz wszystko mamie.

- Skoro tak, wejdźmy do salonu i tam porozmawiajmy - zaproponowała matka i poszła przodem.

Isabel obejrzała się na siostrę.

- Chodź z nami, Jane - poprosiła.

Lady Cavenhurst usiadła na sofie i wskazała Isabel miejsce obok siebie.

- Usiądź, córko, i powiedz mi, co sprawia, że jesteś taka nieszczęśliwa.

Isabel zawahała się.

- Mów otwarcie - zachęciła ją Jane.

- Ja... - Westchnęła i kontynuowała: - nie mogę wyjść za Marka, mamó.

- Nie możesz za niego wyjść? Ależ... dlaczego?

- Bo go nie kocham i nie widzę siebie w roli pani domu w Broadacres.

- Nonsens! Skąd ten pomysł? Wasze małżeństwo zostało zaaranżowane już dawno temu. Mówimy o tym od czasu, gdy oboje byliście dziećmi. Przecież jeszcze nie tak dawno nie mogłaś się doczekać ślubu!

- Wiem... pamiętam... Ale... byłam wtedy młoda i głupia.

Lady Cavenhurst omal się nie uśmiechnęła.

- Chcesz powiedzieć, że już nie jesteś młoda i głupia? W ciągu dwóch tygodni stałaś się dojrzała i zmądrzałaś? Zaczynam żałować, że pozwoliłam ci pojechać z Jane do Londynu. Wielki świat zawrócił ci w głowie.

- To nie ma nic wspólnego z Londynem ani z wielkim światem. Ja... czułam to już przed wyjazdem. Jane może to potwierdzić.

Lady Cavenhurst spojrzała na najstarszą córkę.

- Jane?

- Issie mówiła mi, że boi się roli lady Wyndham i pani domu w Broadacres, mamó. Ale nie powiedziała, że nie kocha Marka.

- To tylko nerwy, Isabel - stwierdziła lady Cavenhurst. - Po ślubie zapomnisz o wątpliwościach.

- To nie żadne nerwy, mamó. Jeżeli wyjdę za Marka, nigdy nie będę szczęśliwa. Ani nie będę mogła jego uszczęśliwić.

- No cóż, przykro mi, tym bardziej że jest już za późno, żeby się wycofać. Jesteś

zaręczona od roku, a zaręczyny to poważne zobowiązanie. Jeżeli je zerwiesz, Mark może nas pozwać.

- Nigdy by tego nie zrobił - powiedziała szybko Jane.

- Być może. Ale byłyby to bolesny cios... Zadany nie tylko jemu, ale także jego matce. A teraz, gdy tak nagle straciła męża, żyje jedynie myślą o ślubie. To dlatego skróciła okres żałoby.

- Mamo, proszę! Nie mogę wyjść za Marka. Po prostu nie mogę - upierała się Isabel, zalewając się łzami.

- W dniu ślubu inaczej na to spojrzysz - przekonywała dalej lady Cavenhurst. - Mark nie jest potworem. Będzie łagodnym i opiekuńczym mężem. A to ważniejsze niż chwilowe zauroczenie. A poza tym miłość przyjdzie później.

- Nie przyjdzie - załkała Isabel.

Jane usiadła przy siostrze i ją objęła. Milczała jednak, bo po słowach matki nie miała nic do dodania. Kiedy Isabel uspokoiła się, poszły na górę do jej pokoju.

- Issie, obmyj twarz - powiedziała Jane, kiedy siostra usiadła na łóżku i ciężko westchnęła. - Masz opuchnięte i zaczerwienione oczy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zresztą to nawet lepiej, bo może dzięki temu Mark mnie znienawidzi...

- Jednej rzeczy możesz być pewna: Mark nie zerwie zaręczyn. Jest zbyt honorowy... A poza tym... wie, że skandal zaszkodziłby obu rodzinom.

- Ty nie rozumiesz...

- Zapewniam cię, że rozumiem. I bardzo ci współczuję. Z czasem to zadurzenie w panu Ashtonie ci przejdzie. Sama będziesz się dziwiła, co w nim widziałaś... - Tu Jane zawahała się, ale zaraz dodała: - Mnie w każdym razie przeszło.

- Tobie?

Isabel spojrzała na siostrę zdumiona.

- Tak, mnie... Kiedy pan Ashton gościł przed laty w Broadacres, polubiliśmy się, ale papa nie chciał się zgodzić na nasze małżeństwo. Pan Ashton nie miał rodziny ani widoków na przyszłość... I... papa był zdania, że zasługuję na kogoś lepszego. No a potem pan Ashton wyjechał do Indii i bardzo szybko zapomnieliśmy o sobie.

- Nie wiedziałam o tym.

- Nie było powodu, by ci o tym mówić.

- To nie mogła być prawdziwa miłość.

- Masz rację. To nie była prawdziwa miłość, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Teraz wiem, że papa miał rację. To znaczy... nie miał, twierdząc, że pan Ashton nie nadaje się na męża z powodu braku pozycji i majątku... lecz miał rację, wyczuwając, że byłam jedynie zauroczona.

- I w tym się różnimy - stwierdziła Isabel. - Moja miłość do Drew jest prawdziwa i będzie trwała do końca mojego życia.

- Nie powiedziałaś tego mamie.

- A po co miałabym o tym mówić? Drew zniknął. Nie wiem nawet, dokąd się udał. Pewnie wrócił do Indii... A ja zostanę starą panną tak jak ty.

- Złamiesz serce Markowi.

- Wątpię. Mark spędza więcej czasu z tobą niż ze mną.

- Tylko dlatego, że pomaga mi w sprawach związanych z domem dziecka. A ty

gdybyś chciała, też mogłabyś mi pomóc.

- Ale nie chcę.

Przerwała im Bessie, pokojówka, która oznajmiła, że sir Edward czeka na Isabel w gabinecie.

- Jane? - Isabel spojrzała na siostrę pytającym wzrokiem.

- Nie, Issie. Musisz iść sama. Papa zapewne będzie chciał, żebyś powtórzyła to, co powiedziałaś mamie.

Isabel poszła na dół, a Jane wróciła do siebie. Spróbowała skupić się na naszywaniu koralików na spódnicę sukni ślubnej, ale przychodziło jej to z trudem. Odłożyła więc przybory do szycia i pogrążyła się w myślach. Bardzo pragnęła pomóc siostrze i ustrzec Marka przed skandalem, lecz nie wiedziała, co mogłaby zrobić. Wyglądało na to, że Isabel nie zmieni zdania, a po ucieczce Teddy'ego, plotkach Bolsovera i kolejnym skandalu, który wydawał się nieunikniony, cała rodzina zostanie wykluczona z towarzystwa.

Tak rozmyślając, Jane usłyszała nagle trzaśnięcie drzwiami i odgłos szybkich, oddalających się kroków. Wiedziała, że to Isabel, ale nie poszła jej szukać. Zdawała sobie sprawę z tego, że siostra nie zechce z nią rozmawiać.

Mark nie potrafił zrozumieć, skąd się wziął zły humor Isabel, która zwykle była pogodna i po każdym zdenerwowaniu odzyskiwała prędko równowagę. Tymczasem teraz wyglądało na to, że to on powodował jej rozdrażnienie. Oburzyło go to, że zachowała się tak niegrzecznie w stosunku do siostry, raniąc ją z pewnością głęboko, choć Jane nie pokazała tego po sobie. Miał nadzieję, że gdy zjawi się w Greystone, między siostrami będzie panowała zgoda, a Isabel zechce pojechać z nim i Jane do Witherington.

Wybrał drogę przez las - jakże piękny o tej porze roku. Idąc, wsłuchiwał się z rozkoszą w jego przepięknie łagodnym spokojem odgłosy - śpiew ptaków i szum drzew poruszanych lekkim wiatrem. Naraz do jego uszu dobiegł dźwięk, który zakłócił tę harmonię. Usłyszał rozpaczliwy, dziewczęcy płacz. Mark przyspieszył kroku, pragnąc odnaleźć pogrążoną w smutku istotę i nagle zobaczył swoją narzeczoną. Leżała pod starym dębem zwinięta w kłębek.

- Isabel, co się stało? - zapytał, gdy podbiegłszy do niej, przyklęknął, objął ją i pomógł jej usiąść. - Dlaczego płaczesz?

- Ach! To ty - odrzekła Isabel nieobecny głosem, jakby wyrwana ze snu.

- Upadłaś? - zapytał, podając jej chusteczkę do nosa. - Zraniłaś się?

- Nie, nic mi nie jest.

- A więc co się stało?

- Nic.

- Jak to nic? - zapytał znowu, biorąc ją pod brodę i zmuszając, by na niego spojrzała. - Nie masz zwyczaju płakać bez powodu, więc, proszę, powiedz mi, o co chodzi. Przecież wkrótce będę twoim mężem. Będę miał obowiązek i przywilej rozwiązywać wszystkie twoje problemy.

- Moim problemem jesteś ty! - wybuchnęła Isabel i ponownie się rozszlochała.

- Ja? Nie rozumiem... Jeżeli cię zraniłem, to, proszę, uwierz mi, zrobiłem to niechcący. Jesteś zła o to, że poświęcam tak dużo czasu sierocińcowi Jane? Jeżeli tak,

to obiecuję, że ci to wynagrodzę.

- Nie obchodzi mnie, ile czasu spędzasz z Jane ani ile go poświęcasz sierocińcowi...

- Mów dalej...

- Nie mogę za ciebie wyjść, Marku. Nie chcę zostać lady Wyndham. Ja cię unieszczęśliwię!

- Cóż... pozwól, że sam to ocenię.

- I ja sama także będę nieszczęśliwa.

- Skoro tak, to... proszę, wyznaj mi wszystko.

- Rodzice twierdzą, że nie mogę zerwać zaręczyn, bo wywołam wielki skandal.

- Ale nie taki, jaki by powstał, gdybym ja to zrobił. Nawet w połowie nie tak wielki.

- A chcesz to zrobić?

- Isabel, moja kochana, nie chcę cię do niczego przymuszać. Ale, proszę, powiedz, dlaczego nie chcesz za mnie wyjść...

- Nie kocham cię. Nie mogę...

- No cóż - uśmiechnął się smutno - uraziło to moją dumę...

- Przepraszam cię za to. Ja... ja cię bardzo lubię. Jesteś dla mnie jak starszy brat.

Ale... prawda jest taka...

Nie dokończyła i zamilkła.

- Kochasz kogoś innego? Czy tak?

Kiwnęła głową.

Mark zastanawiał się przez chwilę i zaraz doznał olśnienia. Isabel flirtowała przecież z Drew. Gdy Drew znajdował się w pobliżu, była ożywiona i szczęśliwa. I nie chciała wracać z Londynu do domu. Ależ byłem ślepy! - pomyślał Mark, po czym zwrócił się do Isabel:

- Chodzi o mojego przyjaciela Drew, prawda?

- Tak... - potwierdziła Isabel. - Ale... ale Drew uważał, że nie może zdradzić waszej przyjaźni. Dlatego wyjechał.

- Boże...

- Jane mówi, że... z czasem przestanę go kochać. Że mi przejdzie. Tak jak jej przeszło. Drew... kiedyś... prosił papę o jej rękę, ale papa nie chciał się zgodzić, bo Drew był kawalerem bez majątku i pozycji. Dlatego właśnie Jane nie wyszła za mąż. Twierdzi, że szybko o nim zapomniała, ale ja wcale nie jestem tego pewna... Niemożliwe, by nikt od tamtej pory się o nią nie starał.

- Być może Jane ma rację.

- Ona jest zazdrosna. Drew powiedział mi, że był ktoś w jego życiu... dawno temu, ale on już zapomniął o tej osobie... To znaczy, że zapomniął o niej, o Jane, rozumiesz? - zakończyła Isabel.

Mark wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź - poprosił - pójdziemy do twego papy i wszystko mu powiemy.

Isabel przyjęła dłoń, wstała i niecierpliwym gestem strzepnęła suche liście z muślinowej sukienki.

- Nie musisz ze mną iść...

- Ależ szedłem do was, żeby umówić się na wizytę w Witherington, zapomniałaś?

- Oj, znowu ten uprzykrzony sierociniec. Tak, zapomniałam o tym...

Sir Edward i lady Cavenhurst siedzieli w salonie i rozmawiali z Jane o zachowaniu Isabel. Zamilkli jednak w chwili, gdy zjawiła się w drzwiach wraz z Markiem.

- Wejdz i usiądź, mój chłopcze - zwrócił się do Marka sir Edward. - Widzę po twojej minie, że moja nieroztropna córka powiedziała ci o swoim głupim pomysle.

- Moim zdaniem nieodpowiednie określenie - odrzekł Mark.

- Zgoda. Bądź jednak pewien, że chodzi jedynie o chwilowy kaprys. To tylko nerwy... Przeraza ją myśl, że będzie już niebawem nosiła tytuł lady i będzie musiała czuwać nad wszystkimi sprawami waszej ogromnej rezydencji. Ale... szybko się tego nauczy. A my jej w tym pomożemy. I... pomoże jej w tym zapewne także twoja matka.

- Sądzę, sir, że nie chodzi tylko o to - powiedział Mark. - Nie będę wywierał na Isabel presji. Nie zmuszę jej, by dotrzymała obietnicy.

- Ale to przecież wywoła skandal! - zaprotestowała lady Cavenhurst.

- Możemy unieważnić zaręczyny za obopólną zgodą... - oznajmił Mark. - Decyzję w tej sprawie podejmie oczywiście panna Isabel. Chętnie ją jednak zaakceptuję.

- Ale dlaczego miałbyś to zrobić? - zapytał sir Edward. - Przecież gdyby nie śmierć twojego ojca, byłibyście już po ślubie. Niecały miesiąc temu Isabel nie mogła się wprost ślubu doczekać.

- Tak było, zanim poznała mojego przyjaciela, Andrew Ashtona.

- Co takiego?! - sir Edward zwrócił się teraz do Isabel. - Ten oszust zawrócił w głowie także i tobie? Tak jak kiedyś twojej siostrze?

- On nie jest żadnym oszustem! - zawołała Isabel. - Jest człowiekiem honoru. I... ja go kocham, a on kocha mnie.

- Nie chcę tego słuchać - stwierdził stanowczo sir Edward. - Raz już go odprawiłem, dziesięć lat temu, i zrobię to po raz drugi. Nigdy nie zgodzę się na wasz ślub!

- Sądzę, że on o tym wie. I właśnie dlatego wyjechał - powiedziała Isabel zgnębiona.

Teraz lady Cavenhurst zwróciła się do Marka.

- Przykro mi, milordzie - powiedziała - że był pan zmuszony to usłyszeć. Isabel, jak pan wie, zwykle nie okazuje rozdrażnienia ani złości. Jutro z pewnością będzie w lepszym nastroju.

- Przyszedłem, żeby się umówić na wizytę w Witherington - zmienił temat Mark.

- Jestem wolny jutro po południu, jeżeli to odpowiada Jane...

- Tak. Odpowiada mi - zapewniła od razu.

- Zatem zjawię się tutaj o drugiej.

Z tymi słowami Mark wstał, skłonił się i wyszedł, pozostawiając rodzinę Cavenhurstów pogrążoną w ciężkiej ciszy. Nie miał wątpliwości, że po jego wyjściu rodzice będą nadal karcili Isabel. Nie chciał jednak za żonę kobiety, która nie pragnęła z nim ślubu, a na myśl, że zwolnił ją z danego słowa, poczuł nieklamana ulgę.

Tak, a na dodatek bardziej niż sytuacja Isabel interesowało go to, czy Jane wciąż darzy Drew uczuciem. I czy jest o Isabel zazdrosna? A może kłóciły się tak często właśnie z tego powodu? Jane była przed chwilą wyjątkowo milcząca, podczas gdy wszyscy mieli tak wiele do powiedzenia...

Wrócił do domu i od razu udał się do buduaru matki, aby powiadomić ją o zmianie planów. Lady Wyndham siedziała w fotelu przy oknie i patrzyła na park. Na jej kolanach leżała książka. Mark przysunął sobie drugi fotel, usiadł i zapytał:

- Jak się czujesz, mamó?

- Nie martw się, Marku. Jestem tylko trochę zmęczona. Lubię wizyty Grace, przynoszą mi pocieszenie. Ale ten dzisiejszy wybuch Isabel mnie zdenerwował. Nie powinna była tak mówić do siostry. Nie rozumiem, co w nią wstąpiło.

- Ona się boi, mamó. Wracam właśnie z Greystone...

Mark przerwał, niepewny, czy ma kontynuować.

- Lepiej powiedz mi wszystko od razu - poprosiła matka.

- Isabel oznajmiła... mnie i swojej rodzinie... że już nie pragnie wyjść za mnie.

- Nie chce za ciebie wyjść?! Ależ, Marku, co ty mówisz?!

- Isabel zmieniła zdanie. Twierdzi, że mnie nie kocha. - Mark uśmiechnął się szeroko. - Ucierpiała tylko moja duma, ale szybko dojdę do siebie.

- Co za głupia dziewczyna! Przecież od lat chciała zostać twoją żoną... Nie mogła przecież tak nagle się zmienić?

- Ale się zmieniła.

- I co w tej sprawie zrobisz?

- Nic, mamó. Przecież nic na to nie poradzę.

- Musisz z nią pomówić. Przedstawić jej wszystkie za i...

- Och, sądzę, że ona zna wszystkie za. Ale i wszystkie przeciw, które zdecydowanie przeważają. Nie kocha mnie i dlatego nie widzi siebie w roli pani tego domu. - Mark znowu się uśmiechnął. - Tak więc, mamó, będziesz tu panią trochę dłużej.

- Chcesz powiedzieć, że tak po prostu pozwolisz jej wszystko odwołać? Staniesz się przecież pośmiewiskiem.

- To lepsze niż niekochająca żona.

- Jeszcze zmieni zdanie. Do ślubu zostało sporo czasu.

- Mamó, ja nie chcę, żeby zmieniła zdanie. A po anulowaniu zaręczyn udamy się w podróż... To znaczy... zrobimy to wtedy, gdy poczujesz się silniejsza. Plotki prędko ucichną...

- Więc nie masz nic przeciwko temu?

- Uwierz mi, mamó. Naprawdę nie mam.

- Ale, Marku, ty musisz się ożenić. To twój obowiązek... jako dziedzica fortuny.

- Rozumiem. Zrobię to, gdy tylko ucichną plotki.

- Nie tak łatwo znajdziesz chętną kandydatkę. Każda młoda dama będzie się zastanawiała, co jest z tobą nie w porządku.

- Mam nadzieję, że nie każda, mamó.

Lady Wyndham westchnęła i położyła dłoń na dłoni syna.

- No dobrze... - powiedziała. - Skoro nie masz nic przeciwko temu, to... przyznam, że i ja jestem zadowolona z takiego obrotu sprawy. Zaczynałam zmieniać zdanie na temat panny Isabel.

Mark roześmiał się i pocałował matkę w policzek.

- Zatem się zgadzamy - odrzekł, po czym zostawił ją w buduarze, a sam udał się na plebanię, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o domu wystawionym na sprzedaż w Witherington.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mark nazajutrz po południu zajechał przed Greystone dwukółką, którą sam powoził, i zabrał do Witherington tylko Jane. Isabel nie miała ochoty im towarzyszyć. Dzień był piękny, słoneczny. Droga mijała im w przyjemnej atmosferze. Rozmawiali o sierocińcu i ustalali plan działania. Mark dowiedział się od pastora, że dom stoi na niewielkiej działce, otoczony jednoakrowym ogrodem. Jane ucieszyła się na myśl, że dzięki temu chłopcy będą mogli wprawiać się w pracach ogrodniczych, które nauczą ich odpowiedzialności i obowiązkowości.

- Trzeba będzie zatrudnić personel - powiedział Mark. - Dyrektorke, nauczycieli, gospodynię oraz ze dwie służące i majstra.

- Wiem. Do prostych prac znajdziemy ludzi w okolicy, którzy nie mają zajęcia - odrzekła Jane.

Fakt, że rozmawiają o sierocińcu, przyjmowała z ulgą. Woliała nie mówić o tym, co zaszło poprzedniego dnia i co - Jane była tego pewna - bardzo zraniło Marka. Zwłaszcza wyznanie Isabel, że kocha Drew. Nie wypadało jej jednak spytać go wprost ani tym bardziej pocieszyć.

Minąwszy kilka chat wieśniaków, gospodę i niewielki skwerek, gdzie dwie kobiety plotkowały przy pompie, skręcili w drogę prowadzącą prosto do celu ich podróży. A potem przez otwartą i tonącą w wysokiej trawie bramę wjechali na zarośnięty podjazd i zobaczyli niewiele mniejsze niż Greystone domostwo, którego ściany całe obrośnięte były bluszczem. Na dachu brakowało tu i ówdzie dachówek, a zwieńczenie jednego z kominów było uszkodzone. Mark zajechał przed front domu, pomógł wysiąść Jane z dwukółki, po czym poszedł przodem i zastukał zardzewiałą kołatką w kształcie lwiej głowy do poczerniałych ze starości dębowych drzwi.

- Jestem pewna, że nikt tu nie mieszka - odezwała się Jane.

- Pastor mówił, że jest tu dozorca.

Mark zastukał po raz drugi, lecz nikt się nie zjawił.

- Spróbujmy od tyłu - zaproponował Mark.

Na podwórzu za domem zastali starego człowieka, który rąbał drzewo. Okazał się dozorcą noszącym nazwisko Silas Godfrey.

- Jeżeli państwo spodziewają się, że ten dom to pałac - powiedział, gdy Mark poinformował go, kim są i po co przyjechali - to się państwo rozczarują. Tu się po prostu nie da mieszkać.

Z tymi słowami wprowadził ich do kuchni, gdzie zastali kobietę, która przygotowywała właśnie potrawę z zająca.

- Moja żona, Dotty - poinformował ich stary człowiek, po czym zwrócił się do niej: - Ci państwo przyjechali obejrzeć dom.

Kobieta dygnęła, po czym wróciła do swego zajęcia, a Silas poprowadził ich z kuchni do wąskiego korytarza, z którego przeszli do frontowego holu o posadzce z czarno-białych kafelków. Stamtąd weszli do pomieszczenia, które dawniej służyło zapewne za jadalnię. Ściany wyłożone były dębową boazerią, a duże balkonowe drzwi wychodziły na taras. Silas, który, jak się okazało, służył w tym domu od czasu,

gdy był młodym chłopcem, oprowadzał ich, opowiadając o okresie świetności majątku. Ponoć dom niegdyś odwiedzali liczni goście z Londynu, dla których milady wydała wspaniałe przyjęcia. Wszystko zmieniło się, kiedy zachorowała i zmarła, a sir Jasper, zrozpaczony po jej śmierci, zamknął się w sobie i całkowicie odciął od ludzi. Spędzał całe dni w małej bawialni na dole, do której wkrótce kazał sobie wstawić łóżko. Na parterze, prócz tej bawialni znajdował się też wielki salon – wysoki pokój o oknach wychodzących z jednej strony na taras, a z drugiej na zarośnięty teraz chwastami i wysoką trawą ogród różany.

Zanim weszli na pierwsze piętro, dozorca ostrzegł ich, że schody są zmurszałe i w kilku miejscach uszkodzone, a poręcz się chwieje. Potem opowiadał dalej o tym, jak cała służba z czasem odeszła, a przy sir Jasperze zostali jedynie oni dwoje z Dotty. I tylko oni dwoje dotrwali przy nim aż do jego śmierci. Teraz opiekowali się domem w oczekiwaniu na spadkobierców, których zobowiązał się odnaleźć londyński prawnik.

Tymczasem doszli do sypialni. Okazały się one równie zaniedbane, co reszta domu, ponadto przez okna zarośnięte bluszczem wpadało do nich bardzo niewiele światła. Pokoje były rozmieszczone wzdłuż szerokiego korytarza. Na jego końcu znajdowały się schody prowadzące na drugie piętro, do pomieszczeń, w których kiedyś mieszkała służba.

- Tam damy sobie radę sami – powiedział Mark, widząc, że staruszek jest już zmęczony. Nie chciał zmuszać go do wspinania się na kolejne piętro. - Proszę zejść na dół. Wrócimy do was, kiedy obejrzymy już wszystko do końca.

- Dom jest w opłakanym stanie – odezwała się Jane, gdy zostali sami. - Zaczynam się zastanawiać, czy warto w niego inwestować, bo przecież remont pochłonie mnóstwo pieniędzy.

- Moim zdaniem konstrukcja budynku jest solidna, a zniszczenia tylko powierzchowne – odrzekł jej na to Mark. - Niewielka armia robotników bardzo szybko doprowadzi go do porządku.

- A skąd ja wezmę armię robotników? – roześmiała się Jane.

- To nie będzie trudne, uwierz mi. Jeżeli chcesz, to chętnie ci w tym pomogę. Zbiorę odpowiednią grupę i będę nadzorował prace. Jeżeli zaczniemy je niezwłocznie, skończymy przed zimą.

- Ależ, Marku, ty przecież i bez tego masz wiele zajęć. Ja... nie chcę cię wykorzystywać i obarczać swoimi problemami. Jesteś taki życzliwy i gotowy do pomocy, a przecież... zostałeś tak okropnie potraktowany...

- Co masz na myśli, Jane? Czy mówisz o decyzji Isabel?

- No tak. Tak bardzo mi przykro z tego powodu. Żałuję, że Isabel pojechała z nami do Londynu. Bo cała ta podróż... no... to wszystko... zawróciło jej w głowie.

- Moim zdaniem to dobrze, że wyznała prawdę teraz, a nie po ślubie. Zgodzisz się chyba ze mną? Jako dama może zerwać zaręczyny... bez poważnych konsekwencji. A ja z całą pewnością nie mógłbym tego zrobić.

Jane spojrzała na Marka zaskoczona.

- A chciałbyś? – zapytała.

- Ja nie pragnę żony, która mnie nie chce, Jane.

- Ach, rozumiem...

Czy mówi szczerze? Czy naprawdę chciał unieważnić zaręczyny? – zadała sobie w duchu pytanie i pomyślała, że byłoby to dziwne, bo przecież jego ślub z Isabel został zaplanowany wiele lat temu, gdy tylko przestała być ona pensjonarką. Jane pamiętała to dobrze, bo z tego powodu bardzo cierpiała...

– Pomówię z sir Edwardem. Poproszę go, żeby nie zmuszał Isabel do dotrzymania słowa – wyznał Mark ze smutnym uśmiechem.

– Ale... papa nie pozwoli jej wyjść za pana Ashtona. Tego jestem pewna.

– Drew nie jest tym samym człowiekiem, którym był dziesięć lat temu... A czy ty, Jane... Czy ty wciąż...

Mark przerwał nagle, nie kończąc pytania.

– Czy wciąż go kocham? Nie, Marku. I tak naprawdę nigdy go nie kochałam. Z początku trochę za nim tęskniłam, ale potem wrócił mi rozsądek i byłam zadowolona, że nic z tego nie wyszło. On jest bogaty i pewny siebie. I zawrócił Issie w głowie... jestem przekonana, że wkrótce jej też to przejdzie, tak jak przeszło i mnie.

– Może tak, a może nie... – powiedział na to Mark i zmienił temat. – No chodźmy obejrzyć pozostałe zabudowania. A potem, przed powrotem do domu, urządzimy sobie mały piknik. Gospodyni, pani Blandish, przygotowała dla nas kosz ze smakołykami i butelkę wina.

To powiedziawszy, Mark ruszył przodem. A Jane, idąc za nim, zapatrzyła się na jego ciemne, wijące się na karku włosy i nagle bardzo zapragnęła wyciągnąć rękę i zanurzyć w nich palce... Pragnienie to pochłonęło ją tak bardzo, że przestała uważać na schodach i w pewnej chwili potknęła się na uszkodzonym stopniu. Poleciała by w dół, gdyby nie to, że wpadła na Marka, który utrzymał równowagę, a w następnej chwili odwrócił się, pomógł jej usiąść na niższym stopniu i sam usiadł obok niej.

– Wszystko w porządku, Jane? – zapytał, obejmując ją troskliwym gestem. – Nic ci się nie stało?

– Moja kostka... Chyba ją skręciłam... To wszystko przez ten uszkodzony stopień.

Spojrzał na jej nogę, która zaczynała widocznie puchnąć.

– Zejdiesz na dół, jeżeli cię podtrzymam?

– Spróbuję.

Wstała, ale kiedy tylko oparła się na skręconej nodze, skrzywiła się i wydała okrzyk bólu.

– Zniosę cię – powiedział Mark. – Obejmij mnie za szyję.

Nie czekając na jej odpowiedź, wziął ją na ręce i zniósł na parter. Na dole nie postawił jej na podłodze, tylko udał się do kuchni. Jane nie protestowała, wreszcie mogła poczuć, jak miękkie w dotyku są jego włosy, które tak ją zafascynowały.

Gdy ukazali się w drzwiach kuchni, pani Godfrey podniosła na nich wzrok i zawołała:

– Boże miłosierny, co się stało?!

Mark ostrożnie posadził Jane na krześle.

– Panna Cavenhurst skręciła kostkę na schodach. Trzeba jej schłodzić nogę zimną wodą i zabandażować – powiedział.

– Na tych schodach ktoś się w końcu zabije – skomentowała to pani Godfrey, po czym naląła wody z wiadra do miednicy i poleciła Jane zdjąć pończochę i zanurzyć

w niej nogę.

- Zaczekam na zewnątrz, Jane - powiedział szybko Mark. - Gdy pani Godfrey cię opatrzy, zaniosę cię do dwukółki.

W drodze powrotnej rozmawiali o tym, co zobaczyli w Witherington. Okazało się, że podczas gdy pani Godfrey opatrywała nogę Jane, Mark zdążył obejrzyć wszystkie przyległe zabudowania - stajnię, wozownię i szopę, a także niewielki domek przeznaczony niegdyś dla owdowiałej matki właściciela posiadłości. Uznał, że jeżeli cena okaże się dobra, warto będzie posiadłość kupić, a Jane oczami wyobraźni zobaczyła dom pięknie odremontowany i pełen szczęśliwych dzieci.

- Pokoje na pierwszym piętrze - mówiła z entuzjazmem i radością - są wystarczająco duże, by nadać się na sypialnie; na drugim piętrze będą pokoje dla służących i mała izolatka na wypadek, gdyby któreś z dzieci zachorowało. Na parterze z kolei urządzimy jadalnię i klasy.

Planowanie najwyraźniej sprawiło, że zapomniała o bólu nogi, pomyślał Mark i spytał, czy jest głodna, ponieważ nie było jeszcze za późno na piknik, który zaplanował. Jane przyjęła chętnie jego propozycję, więc zjechali z drogi, żeby zatrzymać dwukółkę w pięknym miejscu na łące pod drzewami. Mark wysiadł i rozpostarł na ziemi swój frak, następnie przeniósł Jane na rękach i bardzo delikatnie posadził ją na nim, a sam usiadł tak blisko, że mogła poczuć ciepło jego ciała. Wiedziała, że powinna się odsunąć, lecz nie zrobiła tego. Siedziała, wyobrażając sobie, że są małżeństwem i że wolno im obejmować się i dotykać bez naruszania zasad przyzwoitości.

- Wygodnie ci? - zapytał.

- Tak, dziękuję.

Mark uśmiechnął się, przyciągnął do siebie kosz i zaczął go rozpakowywać. Wyjmował po kolei szynkę, udka kurczaka, chleb i ciasteczka, dwa talerze, butelkę wina i dwa kieliszki.

- To prawdziwa uczta... i szampan! - wykrzyknęła Jane zaskoczona.

- Doskonałe wino na letni piknik, nie sądzisz?

- Jest cudowne.

- Cieszy mnie, że tak mówisz. Bo zasługujesz na wszystko, co najlepsze - powiedział poważnym głosem, patrząc jej w oczy.

- Takie słowa - odparła nieco zmieszana - powinieneś kierować do Isabel, nie do mnie. Może zmieniałaby decyzję...

- A jeżeli nie chcę, żeby ją zmieniła?

- Mówisz tak, bo cię zraniła... Potraktowała cię bardzo okrutnie...

- Nie powiedziałbym... była po prostu szczerą. I jestem jej za to wdzięczny... Ale wiedząc, że mnie nie kocha, nie zamierzam jej adorować, Jane. A teraz jedz i pij... i nie mówmy więcej o Isabel. Nie chcę już nawet słyszeć jej imienia.

Jane usłuchała i przez parę minut siedzieli w milczeniu. Słońce grzało, ptaki śpiewały, wokoło panował błogi spokój i wszystko to wraz z bliskością Marka i pulsującym bólem w kostce sprawiło, że poczuła się jakby odurzona. Chcąc się jakoś otrząsnąć, zagadnęła ponownie o sprawy związane z sierocińcem.

- Jak sądzisz - zapytała - od czego trzeba będzie zacząć naprawy?

- Od dachu - odpowiedział bez wahania i zamilkł, by po chwili dodać: - Potem należałoby naprawić schody.

- No tak - odparła i roześmiała się. - Koniecznie...

Kontynuowali przez kolejne minuty, ale kiedy lista szybko rozszerzała się o nowe pozycje, doszli do wniosku, że będą im potrzebne dodatkowe pieniądze.

- Muszę napisać jeszcze mnóstwo listów - stwierdziła Jane. - No i zorganizować ten kiermasz, o którym mówiłam.

- Skacząc na jednej nodze? - zapytał Mark, unosząc pytająco jedną brew.

- Moja noga szybko wydobrzeje.

Mark spojrział na jej nogę. Nie miał wątpliwości, że jest teraz bardziej spuchnięta.

- Moim zdaniem trzeba ją jeszcze schłodzić - oznajmił i ostrożnie odwinął bandaż.

Stopa Jane zaczynała się robić sina.

- Gdy tylko znajdziesz się w domu, wezwij lekarza. A teraz nie ruszaj się. Pójdę zmoczyć bandaż w strumieniu.

Niechętnie, ale posłuchała Marka. Zjadła trochę chleba z szynką i napiła się wina, które zaraz uderzyło jej do głowy.

Tymczasem Mark wrócił z nad strumienia z mokrym bandażem.

- To powinno pomóc - powiedział, po czym ukląkł obok niej i zaczął bandażować jej nogę.

W pewnej chwili wydała okrzyk bólu, choć Mark był bardzo delikatny. Jane pomyślała, że jest pełna sprzeczności, bowiem jego dotyk sprawiał jej także ogromną przyjemność.

- Masz ze mną tyle kłopotu - zauważyła smutnym głosem, gdy on, skończywszy bandażowanie i spakowawszy kosz, wziął ją pod ramię i pomógł stanąć na zdrowej nodze.

- To żaden kłopot - zapewnił ją. - Nieczęsto mi się zdarza trzymać w ramionach piękną kobietę... Pomagam ci z prawdziwą przyjemnością i zapewniam cię, poczytuję to sobie za prawdziwy przywilej.

Czy powiedział, że jestem piękna? - Jane spytała samą siebie w duchu. Nie wierzyła własnym uszom. Była przecież brzydka i taka miała pozostać. Na zawsze. Ale tak cudownie było słyszeć takie jego słowa. Cały dzień był cudowny, pomimo że skręciła kostkę. Miała Marka tylko dla siebie... Wiedziała, że nie zapomni tego dnia przez długie lata.

Mark powoził uważnie, starając się unikać wybojów na drodze, a Jane walczyła z przymykającymi się powiekami. Nie była pewna, czy to z powodu szampana, czy pod wpływem narastającego bólu nogi. W pewnym momencie głowa opadła jej na pierś i Jane zasnęła.

Mark spojrział na nią z uśmiechem i przełożył lejce do drugiej ręki, tak żeby było jej wygodniej. Dlaczego - zadawał sobie pytanie - dopiero tak niedawno zauważyłem, jaka ona jest piękna? A przy tym ma tak wspaniały charakter. Jest tak spokojna, opiekuńcza i życzliwa dla ludzi. Dbą o innych, często zaniedbując siebie... I... ja ją przecież kocham...

Doznał olśnienia i poczuł przyływ ekscytacji, ale zaraz przywołał się do porządku.

ku. Nie mógł wyznać jej swoich uczuć, wciąż będąc zaręczony z Isabel. Obiecał sobie jednak, że gdy tylko stanie się wolny, powie jej o tym. Na tę myśl uśmiechnął się do siebie i popatrzył na nią. Bez trudu potrafił ją sobie wyobrazić jako lady Wyndham, doskonałą panią domu, stojącą u jego boku podczas przyjęć. Widział ją też jako cudowną matkę, kochającą szczerze i na zawsze, zarówno jego, jak i ich dzieci.

Czy to się może ziścić? – zadał sobie pytanie i naraz poczuł złość na myśl, że jego szczęście zależy od kaprysu Isabel. Co za szkoda, że sir Edward jest tak bardzo przeciwny jej związkowi z Drew...

Pogrążony w myślach, Mark zajechał przed Greystone. Zatrzymał dwukólkę i delikatnie dotknął dłoni Jane, by ją obudzić.

– Jesteś w domu, Jane – szepnął.

Ocknęła się, zaskoczona.

– Czy... Czy ja spałam?

– Tak. I sądzę, że dobrze ci to zrobiło. Zapewne dostanę od twoich rodziców nie lada reprimendę.

– Ależ nie. Nie obawiaj się tego!

W chwilę później lady Cavenhurst zaalarmowana przez pokojówkę przybiegła i stanęła jak wryta, widząc Jane podtrzymywaną przez Marka. Zaraz zjawiły się też Isabel i Sophie, a wkrótce sir Edward, który po wysłuchaniu krótkich wyjaśnień posłał natychmiast po lekarza. Mark zaniósł Jane na górę, do jej sypialni, po czym pożegnał się, obiecując, że wróci nazajutrz.

Tymczasem w sypialni Jane zjawiły się obie siostry.

– Czy twoja noga to poważna sprawa, Jane? – zapytała Sophie. – Jak się czułaś, kiedy niósł cię na rękach taki przystojny mężczyzna? Założę się, że Issie jest zazdrosna.

– Wcale nie – zaprotestowała Isabel.

Jednak gdy w trakcie dalszej rozmowy Jane wspomniała, że jedynie Markowi zawdzięcza to, że nie spadła ze schodów, a potem powiedziała, co Mark sądzi na temat remontu domu w Witherington, nie powstrzymała się od uszczypliwości.

– Mark to, Mark tamto – przedrzeźniała ją. – Wciąż o nim mówisz.

– Ćśśś, Isabel – upomniała ją matka. – Nie ma powodu, byś była zazdrosna o Jane.

– Nie jestem zazdrosna. Nie jestem zazdrosna ani odrobinę.

W ciszy, która zapadła, usłyszały dźwięk kołatki. Lady Cavenhurst poszła przywitać lekarza, a zaraz za nią sypialnię opuściła Isabel.

– Nie zwracaj uwagi na Issie – powiedziała do siostry Sophie, kiedy tylko zostały same. – Od powrotu z Londynu jest po prostu nieznośna.

– Bo jest nieszczęśliwa, Sophie. I nic nie może na to poradzić.

– To takie do ciebie podobne, Jane. Zawsze wszystkich bronisz. Jesteś zbyt dobra i wszyscy cię wykorzystują. A problem z Issie polega na tym, że ona nie potrafi się zdecydować. Zwłaszcza kiedy rodzice tak jej suszą głowę.

Zanim Jane zdążyła odpowiedzieć, w pokoju zjawiła się matka z lekarzem, który zaraz poprosił, by pozostawiono go z pacjentką samego, i przystąpił do oględzin.

Znalazłszy się w Broadacres, Mark zostawił konia i dwukólkę pod opieką jednego ze stajennych, a sam wszedł do domu przez drzwi prowadzące do kuchni. Oddał kosz piknikowy pani Blandish i pochwalił jedzenie – w imieniu własnym, a także Jane.

– Dziękuję, milordzie – odrzekła mu na to gospodyni. – Człowiekowi się miło robi, gdy się go doceni. Milady czeka w salonie.

No tak, Mark musiał przyznać kucharce rację. Lubił świadomość, że Jane jest mu wdzięczna, ale nie uważał, że ona sama była doceniana. Wszyscy członkowie rodziny korzystali z jej pomocy i miał nadzieję, że wreszcie to dostrzegą, kiedy zacznie ona więcej czasu poświęcać sierocińcowi, a nie im. Postanowił też z całą mocą i zaangażowaniem wspierać ją we wszystkim, co przedsięweźmie.

Wszedł do salonu, przywitał się z matką, całując ją w czoło, po czym opowiedział jej wszystko ze szczegółami – o tym, co wraz z Jane widział i robił, a także o tym, że skręciła kostkę.

– Czy Isabel wciąż się upiera przy swoim głupim postanowieniu? – zapytała w pewnej chwili matka.

– Sądzę, że tak. Nie rozmawiałem z nią dzisiaj. Sprawy sierocińca ją nudzą. Nie pojechała z nami do Witherington.

– Szkoda... Tym bardziej że pokazując się sam na sam z Jane, możesz wywołać plotki – zmartwiła się matka.

– Plotki powstaną, kiedy odwołamy zaręczyny.

– Więc tym bardziej powinienesz być ostrożny.

– Ale Jane potrzebuje mojej pomocy.

– Pewnie tak. Jednak radzę ci większą ostrożność do chwili, aż sir Edward zawiadomi cię, że zaręczyny zostają oficjalnie zerwane. Mógłbyś też trochę więcej uwagi poświęcać Isabel. – Tu matka z uśmiechem poklepała dłoń Marka. – No a teraz już idź – dodała. – Muszę odpocząć.

Mark poszedł do gabinetu, żeby napisać do Cecila Hallidaya w sprawie zakupu posiadłości w Witherington. Następnie zrobił spis kolejnych spraw do załatwienia. Wszystko to czynił, byle tylko nie myśleć o Jane. Podczas rozmowy z matką był opamiętany i pogodny, ale tak naprawdę czuł niepokój. Miał wrażenie, że nadciąga burza, która zmieni zarówno jego życie, jak i losy rodziny Cavenhurstów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jane leżała na sofie, rozmawiając z matką i Isabel o sposobach pozyskiwania pieniędzy na sierociniec, kiedy do pokoju porannego, gdzie się znajdowały, weszła lady Wyndham w towarzystwie Marka. Isabel natychmiast wstała, dygnęła i powiedziawszy cicho, że musi znaleźć Sophie, prędko wyszła.

- Proszę cię, moje dziecko, nie próbuj wstawać - powiedziała lady Wyndham, kładąc dłoń na ramieniu Jane, po czym przywitała się serdecznie z jej matką.

Gdy panie już siedziały, Mark postawił sobie krzesło naprzeciwko Jane i zapytał, pochyliwszy się:

- Jak się czujesz? Udało ci się przespać noc?

- Tak, dziękuję. Doktor Trench zostawił mi miksturę nasenną i polecił przez kilka dni trzymać nogę w górze - odrzekła Jane.

Była świadoma, że to, co mówi, brzmi sztywno i oficjalnie. Czuła się jednak zawstydzona swoim zachowaniem poprzedniego dnia. Myśli o tym, że wypita zbyt dużo szampana i o tym, co przeżywała, obejmując Marka, gdy ją przenosił, wywoływały u niej poczucie winy.

Szczęśliwie dla Jane wkrótce podano herbatę i rozmowa zeszła na dom dziecka.

- Moim zdaniem prowadzenie sierocińca to wielka odpowiedzialność dla niezamężnej damy - stwierdziła w pewnej chwili lady Wyndham.

- Ciężar odpowiedzialności jest podzielony pomiędzy powierników, z których jednym jestem ja - odpowiedział na to Mark. - Zapewniłem Jane, że będę jej pomagał we wszystkim, w czym tylko zdołam.

- A ja jestem ci za to niezmiernie wdzięczna - oznajmiła Jane. - I spróbuję absorbować cię tylko w takim stopniu, w jakim to będzie konieczne.

- Absorbuj mnie, kiedy tylko zechcesz.

- Moim zdaniem to szkoda, że Isabel nie interesuje się tym przedsięwzięciem - zauważyła lady Wyndham. - Mężczyźnie potrzebna jest żona, która dzieli z nim jego zainteresowania. W przeciwnym razie każde żyje swoim własnym życiem...

- No tak... rzeczywiście... - zaczęła lady Cavenhurst i przerwała, patrząc na Marka.

- Mama wie - pospieszył z wyjaśnieniem Mark. - Sądzi, że Isabel zmieni zdanie.

- Oczywiście, że zmieni - potwierdziła szybko lady Cavenhurst. - I nauczy się prowadzić dom, z pomocą naszą i twojej matki, Marku.

- Naturalnie. Ja ją we wszystko wprowadzę - obiecała lady Wyndham. - Tak jak moja teściowa wprowadziła mnie, gdy zaraz po ślubie przytłoczył mnie ogrom i powaga obowiązków.

Jane spojrzała ukradkiem na Marka, który przestał brać udział w rozmowie. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Pił herbatę i unikał jej wzroku. Dlatego z ulgą przyjęła koniec tej krótkiej wizyty. Kiedy została sama, skupiła myśli na dalszych krokach w sprawie sierocińca. Postanowiła, że z pomocą pastorostwa zajmie się organizacją kiermaszu.

Kostka już jutro na pewno przestanie boleć, myślała, i będę mogła bryczką poje-

chać do wioski. A poza tym znajdę w domu na strychu kulę, którą posługiwał się Teddy, kiedy złamał nogę.

Na drugi dzień po południu, wróciwszy ze swej wizyty w wiosce, zobaczyła na podwórzu nieznaną sobie karetę.

- Kto to przyjechał? - zapytała stajennego, który pomógł jej wysiąść z bryczki i dojść do drzwi kuchennych, bo pokonanie stopni od frontu było ponad jej siły.

- Pan Halliday - zabrzmiała odpowiedź.

Zaniepokojona Jane pokuśtykała z kuchni do salonu, gdzie zastała siostry i matkę, która zaraz poinformowała ją, że gość, starszy z panów Hallidayów, i ojciec od dłuższego czasu konferują za zamkniętymi drzwiami w gabinecie.

- A dlaczego pan Halliday przyjechał? Czy papa go wezwał? - zapytała.

- Nie - odrzekła matka, z pozoru spokojnie, choć Jane zauważyła jej zaniepokojenie. - Obaj byli bardzo poważni. Podejrzewam, że mówią o konieczności oszczędzania.

- Oszczędzanie - powtórzyła z obrzydzeniem Isabel. - Nie znoszę tego słowa.

- Papa nas przecież ostrzegął - przypomniała Jane.

- No tak. Ale ja sądzę, że nie mówił wtedy poważnie. Bo przecież... ludzie tacy jak my... po prostu tego nie robią.

- Ludzie tacy jak my? To znaczy jacy? - zapytała Jane.

- No... szlachetnie urodzeni.

- Ależ, Issie, to wcale nie oznacza, że możemy żyć ponad stan.

- Nie gadaj głupstw, siostró - odparła niezrażona Isabel.

- Jak ci upłynął dzień, Jane? - zapytała lady Cavenhurst, zmieniając nagle temat. - Jak poszło?

- Bardzo dobrze. Wielebny Caulder i jego żona są mi bardzo życzliwi. Wielebny w niedzielę po kazaniu opowie parafianom o naszym domu dziecka. Poprosi ich o włączanie się do pomocy w organizowaniu kiermaszu, a także o datki i dary. Postanowiliśmy, że kiermasz odbędzie się w ostatnią niedzielę sierpnia na Dziesięcioakrowej Łące.

- A czy to wszystko nie okaże się ponad twoje siły? Nie za wiele obowiązków na siebie nałożyłaś?

- Ależ, mamó, moja noga z pewnością lada dzień wydobrzeje...

Jane urwała, bo w tym momencie usłyszały, że otwierają się i zamykają drzwi gabinetu, a w następnej chwili w salonie zjawił się sir Edward w towarzystwie starszego pana Hallidaya.

- Moja droga - zwrócił się do żony, gdy już obaj usiedli - sytuacja jest znacznie gorsza, niż sądziłem. Obawiam się, że będziemy musieli pogodzić się ze zmianami. Bardzo znacznymi zmianami.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się milady. - Przecież nie jesteś hazardzistą tak jak Teddy?

- Nie gram w karty, to prawda. Ale źle zainwestowałem... Na domiar złego od kilku lat zbiory są bardzo marne. Dzierżawców nie stać było na regularne opłacanie dzierżaw, a nasze gospodarstwo zamiast zysku przynosiło straty. Mój kapitał topniał, więc zacząłem kupować akcje. Miałem przy tym, niestety, złych doradców i...

wszystko straciłem. Nie chciałem jednak rezygnować z naszego dotychczasowego stylu życia i zacząłem pożyczać. Dług urósł, a teraz... wierzyciel żąda jego spłaty... A ja spłacić nie mam z czego.

- Co teraz zrobimy? - zapytała lady Cavenhurst, podczas gdy córki patrzyły po sobie zszokowane. - Czy mamy naprawdę pozbyć się karety i koni, a także zwolnić służbę?

- Milady - włączył się teraz do rozmowy Theodore Halliday. - Obawiam się, że to nie wystarczy. Rzeczą bardzo niefortunną jest fakt, że wszystkie długi sir Edwarda znalazły się w rękach jednego człowieka.

- W rękach lorda Bolsover! - powiedziała przerażona Jane.

- Obawiam się, że tak. Jego lordowska mość nie czyni z tego faktu sekretu.

- Co ten człowiek ma przeciwko nam? - zapytała Jane. - Czy dowiedział się pan czegoś, panie mecenasie? Czegoś, co mogłoby nam pomóc?

- Obawiam się, że nie.

- A ty, papo? Wiesz coś na ten temat?

Sir Edward milcząc, pokręcił głową. Twarz miał białą jak chusta, ledwie panował nad drżeniem dłoni.

- Czy żądania jego lordowskiej mości są uprawnione? - spytała Jane.

- Obawiam się, że tak - odrzekł prawnik i zaraz dodał: - Jeżeli nie poczynimy odpowiednich kroków, lord Bolsover zażąda całej posiadłości.

- Naszej posiadłości?! Możemy stracić Greystone?! - zawołała lady Cavenhurst. - Ależ... on nie może tego zrobić!

- Może, milady, jeżeli małżonek pani nie spłaci długu.

- Ale... ale posiadłość to przecież nasz dom. Cavenhurstowie mieszkają tutaj od pokoleń. Od czasów bezkrólewia.

- Jestem skłonna sądzić, że lord Bolsover kieruje się motywami sięgającymi w przeszłość właśnie tak dawnych czasów - włączyła się Jane. - Na przykościelnym cmentarzu, właściwie tuż za jego murem, odkryłam nagrobek syna lorda i lady Paget, Colina Bolsovera Pageta, który zmarł, targnąwszy się na własne życie, w maju roku 1649, w wieku lat dwudziestu siedmiu. Czy sądzi pan, panie mecenasie, że to może odgrywać pewną rolę?

- Być może. Jednakże w obecnej sytuacji jest to bez znaczenia.

- Więc co mogłoby nam pomóc?

- Sprzedaż Greystone i przeprowadzka do mniejszego domu, gdzie będziemy mogli żyć oszczędniej - powiedział sir Edward stłumionym głosem. - Nie mamy innego wyboru.

- A zatem Bolsover wygrał - stwierdziła Jane.

- Niezupełnie - zauważył pan Halliday. - Jeżeli jemu zależy na Greystone, to przegra, jeżeli państwo go sprzedadzą i spłacą swoje długi. Wciąż pozostanie suma wystarczająca na godne, choć skromniejsze życie.

- A gdzie będziemy wtedy mieszkali? - zapytała Isabel. - Przecież w Hadlea nie będziemy mogli się pokazać ze wstydu.

- A dlaczego? - zaoponował ojciec. - Ty wyjdiesz za Marka Wyndhama i opuścisz dom, Teddy już wyjechał, a Sophie wkrótce stanie na ślubnym kobiercu. Mama, ja oraz Jane nie będziemy potrzebowali tak dużego domu.

- Greystone należy się w spadku Teddy'emu - zauważyła Sophie.

- Teddy sam się go pozbawił - odrzekł gniewnie ojciec. - Gdyby nie dostał się w szpony Bolsovera, to Bolsover nie wpadłby na pomysł wykupienia wszystkich naszych długów.

- Moim zdaniem - wtrąciła się Jane - sprawa Teddy'ego stanowiła dla Bolsovera tylko środek do celu. Jego lordowska mość realizuje swoistą wendetę. Tak myślę i zamierzam poznać całą tę historię.

- To nic nie pomoże - stwierdził ojciec zgnębiony, a Jane ogarnęło ogromne współczucie.

- No to - powiedziała ze sztucznym ożywieniem - musimy zaplanować naszą przyszłość. Dokąd, papo, chciałbyś się przeprowadzić? Do Bath? To dobre miejsce na emeryturę...

- Ale zbyt drogie - wtrącił prawnik.

- Już wiem - odezwała się nagle matka. - Musimy pojechać do Szkocji. Tam, w Cartrose, rezydencji moich rodziców, wicehrabiostwa Cartrose, znajdzie się miejsce dla wszystkich.

- Ale to jest na drugim końcu świata! - zaprotestowała Isabel.

- Przecież i tak nie zamieszkaż z nami - odrzekła jej na to matka. - Zostaniesz tutaj jako lady Wyndham.

- No to nie zobaczę was nigdy więcej.

Wyglądało na to, że Isabel jednak zdecydowała się wyjść za Marka, a Jane zaczęła się zastanawiać, jak on to przyjmie.

- Nonsens - zaoponowała matka. - Jestem pewna, że Mark nieraz przywiezie cię do nas w odwiedziny.

- Ja także nie przeprowadzę się do Szkocji - oznajmiła spokojnie Jane. - Wprowadzę się do domu w Witherington.

- Sama? - zapytał sir Edward i zaraz dodał kategorycznie: - To wykluczone.

- Nie będę tam sama. Będę miała do towarzystwa cały personel. Muszę tu zostać i prowadzić sierociniec, a także gromadzić fundusze.

- Może to robić ktoś inny.

- Ale ten dom dziecka to moje przedsięwzięcie. Jest dla mnie naprawdę bardzo ważny.

Lady Cavenhurst dłużej nie wytrzymała i zaczęła płakać, a pan Halliday, zmieszany, wstał i się pożegnał, po czym udał się do gospody Pod Lisem i Chartami, skąd bardzo wczesnym rankiem zamierzał wyruszyć w podróż powrotną do Londynu. Jane odprowadziła go do drzwi, a gdy wróciła do salonu, okazało się, że rodzina ustaliła, że trzeba o wszystkim powiedzieć lady Wyndham i Markowi.

W tym właśnie celu Jane nazajutrz zawiozła matkę bryczką do Broadacres. Tam na podjeździe przed rezydencją powitał je Mark. Na pytanie lady Cavenhurst o lady Wyndham, zaproponował, że zaprowadzi do niej obie panie. Gdy jednak Jane oznajmiła, że chce porozmawiać właśnie z nim, w cztery oczy, poprosił, by zaczekała na niego w ogrodowej altanie.

- A zatem, Jane - zagadnął Mark, gdy po kilku minutach do niej dołączył i usiadł obok - czym mogę ci służyć?

- Mama zamierza przekazać twojej matce smutne nowiny, a mnie powierzyła za-

danie przedstawienia naszej sytuacji tobie. Isabel nie chce tego zrobić.

- To brzmi poważnie... wręcz złowrogo.
- Tak... bo to jest bardzo poważna sprawa.
- Zatem mów.
- O Boże... to takie trudne...

- Kochana Jane - powiedział Mark, kładąc dłoń na jej dłoni, co zamiast ukoić jej nerwy, sprawiło tylko, że poczuła się bardziej zdenerwowana. - Możesz mi zaufać... i powierzyć mi każdą sprawę. Wiesz o tym, prawda? A więc: co znowu zrobiła twoja siostra?

- Ależ nie... - zaprzeczyła Jane. - Nie chodzi o Isabel. Chodzi o naszego ojca. Otóż znalazł się w wielkich kłopotach finansowych i musi sprzedać Greystone wraz z całą posiadłością. A potem rodzice, pod pozorem, że niepotrzebny im tak duży dom i że jest to konieczne ze względu na zdrowie mamy, zamierzają przenieść się do Szkocji.

- Boże miłosierny! - zawołał Mark. - Wiedziałem, że sir Edward ma kłopoty, ale nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle. Jak do tego doszło?

Jane powtórzyła Markowi wszystko, co poprzedniego dnia usłyszała od ojca. Sądziła bowiem, że zasługuje on na to, by znać całą prawdę. Na zakończenie dodała, że Isabel zamierza dotrzymać obietnicy i wyjść za niego, a ona sama chce zamieszkać w Witherington, być może podejmując się w sierocińcu roli gospodyni.

Mark nie skomentował postanowienia Isabel, stwierdził natomiast, że jej pomysł na życie stanowczo mu się nie podoba.

- Ja, Marku - odrzekła mu na to - wybrałam swoją drogę życiową. I pójdę nią bez wahania.

Potem wyjaśniła, że wszystkie długi ojca, podobnie jak długi Teddy'ego, kupił lord Bolsover i że ten okropny człowiek ma jakieś związki z Hadlea.

- Niedawno - mówiła dalej - odkryłam na cmentarzu parafialnym, a właściwie tuż za jego murem, nagrobek syna lordostwa Pagetów, Colina Bolsovera Pageta, który zmarł, targnąwszy się na własne życie, w maju roku 1649. Miał zaledwie dwadzieścia siedem lat. Na cmentarzu są jeszcze inne nagrobki Pagetów, ale ani jednego z nazwiskiem Bolsover.

- Było to prawdopodobnie panieńskie nazwisko jego matki - stwierdził Mark.

- To z pewnością oznacza, że lord Bolsover jest jakoś z Hadlea powiązany...

- Niekoniecznie, to może być tylko zwykły zbieg okoliczności.

- Nie sądzę. Lord Bolsover mówił przecież o Greystone i o zemście. Pamiętasz?

- Tak, pamiętam - przyznał Mark, po czym obiecał, że postara się znaleźć więcej informacji o tym samobójstwie w starych księgach w Broadacres.

- A teraz - powiedział, wstając i podając Jane ramię - chodźmy do domu. Twoja matka z pewnością już na ciebie czeka.

I rzeczywiście, lady Cavenhurst była już gotowa do drogi.

- Powiedziałaś Markowi? - zapytała, gdy bryczka ciągnięta przez małego konika wiozła je do domu.

- Tak, mamo. Powiedziałam o wszystkim... Mark zasługuje na to, by znać prawdę

- odrzekła Jane, a po chwili milczenia zapytała: - Jak te straszne wieści przyjęła lady Wyndham?

- Była wstrząśnięta. Płakałyśmy razem. Będzie mi jej bardzo brakowało. Zapraszała nas oczywiście; powiedziała, że możemy do Broadacres przyjeżdżać, kiedy tylko zechcemy. W końcu Mark będzie naszym zięciem.

Ta ostatnia uwaga sprawiła, że Jane poczuła się bezgranicznie nieszczęśliwa. Muszę, naprawdę muszę przestać o nim myśleć - powiedziała sobie. Najlepiej byłoby odciąć się od niego całkowicie... Jednak jak to zrobić, skoro oboje jesteście zaangażowani w sprawy sierocińca? No cóż, nie ma rady, musi zostać tak, jak jest, a ja muszę kroczyć dalej swoją życiową drogą. I nie zbaczać z niej, mimo że tak cierpię.

- Wolałabym, Jane, żebyś nie była taka uparta - odezwała się matka - i żebyś jednak przeprowadziła się z nami do Szkocji. Przecież nie wypada, żeby niezamężna młoda dama mieszkała sama.

- Nie będę wcale sama. Będę miała personel. Może nawet ktoś ze służby z Grey-stone zamieszka ze mną w Witherington. A poza tym jestem już w wieku, w którym nie potrzebuję przyzwoitki.

- No cóż, skoro tak zdecydowałaś, to trudno - lady Cavenhurst z westchnieniem zakończyła temat. - Pociesza mnie tylko myśl, że będziesz przynajmniej blisko Isabel i Marka - dokończyła, a Jane nie powiedziała na to ani słowa.

Kolejne dni upłynęły całej rodzinie w ponurym nastroju. Wszyscy snuli się po domu ze smutnymi minami, a często i ze łzami w oczach. Zaczynali też myśleć o pakowaniu rzeczy przed długą podróżą. Było to zadanie trudne, zwłaszcza dla lady Cavenhurst, która rada by była zabrać ze sobą wszystko: sofy, obrazy, drobne ozdoby, porcelanę, sztucce i komplety pościeli. Ponieważ jednak sir Edward oświadczył, że zamierza wynająć tylko jeden furgon, w którym musi się zmieścić cały ich dobytek, wiedziała, że to niemożliwe. Sophie robiła przegląd swoich sukienek, nie mogąc pogodzić się z faktem, że nie będzie mogła zabrać swojego kucyka. Podobnie Isabel, która się już ostatecznie zdecydowała poślubić Marka, przeglądała całą swoją garderobę. Wiedziała jednak że jako lady Wyndham z łatwością ją odnowi, bo będzie mogła sobie kupić wszystko, co tylko zechce. Ta myśl o tym jakoś jej jednak nie uszczęśliwiała.

Jane, która już chodziła bez kuli, postanowiła któregoś dnia pojechać bryczką do Witherington, by porozmawiać z państwem Godfreyami o swoich planach na przyszłość, a także by poprosić ich, żeby nie odchodzili ze służby.

- Chętnie zostaniemy, panienko - zapewnił ją Silas.

- Miło będzie - dodała jego żona - zobaczyć tutaj znowu dzieci. Dawniej dzieci było tu zawsze pełno. A z nimi pełno śmiechu. Sir Jasper pozwalał im dokazywać i broić, a lady Paget karmiła je różnymi przysmakami.

- Paget? - zapytała Jane. - Powiedziała pani: Paget?

- Tak nasi państwo się nazywali. Panienska o tym nie wiedziała?

- Nie. Opowiadając o sir Jasperze, nie wymieniliście jego nazwiska.

- Myśleliśmy, że wszyscy je znają.

- Mówiliście, że były tu dzieci. A ja zrozumiałam, że sir Jasper nie miał bliskiej rodziny i dlatego tak trudno było odszukać jego spadkobierców.

- To były dzieci kuzynów. Kiedy dorosły, przestały tu przyjeżdżać.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. To nie moja sprawa. A poza tym to było tak dawno temu...

- A... znacie może nazwisko Bolsover? Słyszeliście o tym, by ktoś o tym nazwisku był spokrewniony z rodziną?

- Nie. A dlaczego panienka pyta?

- Cóż... bez powodu...

Jane poszła na piętro, by wymierzyć znajdujące się tam pokoje i zorientować się, ile będzie można wstawić do nich łóżek. Nie mogła jednak skupić się na tym zajęciu. Udała się więc do stajni, gdzie Silas karmił właśnie jej konia.

- To silny konik - powiedział z uznaniem.

- To prawda. I łatwo się nim powozi - odpowiedziała Jane, po czym wysłuchała opowieści o koniach i karetach sir Jaspera, których ten pozbył się po śmierci żony.

Pomyślała o tym starym, tak samotnym pod koniec życia człowieku ze współczuciem. I zaraz zaczęła się zastanawiać, czy był on jakoś spokrewniony z lordem Bolsover. A jeżeli tak, zadała sobie pytanie, to czy to powinno jakoś wpłynąć na moje plany? Postanowiła jak najszybciej podzielić się tymi wątpliwościami z Markiem, zapomniawszy o tym, że obiecała absorbować go jak najrzadziej.

Lokaj, który wszedł do biblioteki, by oznajmić, że przybyła panna Cavenhurst i pyta o niego, zastał Marka z głową w dłoniach, pochylonego nad starymi księgami. Pospieszył do salonu z uśmiechem, pewien, że ją zainteresuje to, co wyczytał o Colinie Bolsoverze.

Ale w salonie czekała na niego nie Jane, lecz Isabel. Mark zmusił się, żeby uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Isabel - powitał ją oficjalnym tonem, kłaniając się. - Usiądź. Nie spodziewałem się ciebie. Czym przyjechałaś? Widziałas się z moją matką? Napijesz się herbaty?

- Dzień dobry, Marku. - Isabel usiadła wygodnie i wygładziła jedwabną zieloną spódnicę. - Przyszłam pieszo i... nie, nie widziałam się z twoją matką. Dziękuję za herbatę, ale piliśmy ją w domu przez cały ranek. Tak jakby to był lek na wszelkie zło.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co przytrafiło się waszej rodzinie. Jeżeli mógłbym się do czegoś przydać... bardzo chętnie pomogę.

- Dziękuję. - Isabel uśmiechnęła się do niego czarująco. - Byłam bardzo głupia i proszę cię, żebyś mi to wybaczył.

- Nie muszę ci niczego wybaczać.

- Ależ... Powiedziałam, że nie chcę wyjść za ciebie, a ty byłeś skłonny zwolnić mnie z danego słowa.

- To prawda.

- Ale ja... Zaślepiły mnie złudzenia... No tak... miałam złudzenia co do własnych uczuć... No i po zastanowieniu chcę to od...

- Pragniesz powiedzieć, że już nie chcesz zerwać naszych zaręczyn?

Rozczarowanie i bezradność, które poczuł na dźwięk tych słów, zaraz przerodziły się w złość. Och, jakże chciałby jej oświadczyć, że jest za późno na zmianę zdania... Jednak było to niemożliwe. Jako dżentelmen nie mógł tego zrobić. Ściągnąłby na siebie potępienie przyzwoitych ludzi, a jego znajomi zaczęliby go unikać, uważając za człowieka niehonorowego.

- Nie, nie chcę - odrzekła Isabel na jego pytanie. - I przepraszam cię bardzo za swoje zachowanie.

- A co z Drew?

- Jak to co? On mnie przecież zostawił tobie.

- Ale co z twoimi uczuciami? Czy nie były szczere? Czy go nie kochasz?

- Nie zamierzam z powodu swoich uczuć żyć w nędzy.

- Hm... najzupełniej otwarcie nakreśliłaś, jaka w tym wszystkim przypada mi w udziale rola.

- Przepraszam cię. Nie chciałam cię urazić. Naprawdę bardzo cię lubię, Marku. Dorastaliśmy razem... Jestem pewna, że stworzymy harmonijny, zgodny związek. Mam nadzieję, że nie będziesz o te słowa chował do mnie urazy.

- Oczywiście, że nie - odrzekł.

Cóż innego mógł powiedzieć? Zadzwoił na służącego, a gdy ten się zjawił, polecił mu zawiadomić lady Wyndham, że przyszła panna Isabel. Po kilku chwilach jego matka weszła do salonu.

- Isabel - powitała ją - jak miło cię widzieć. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Twoja matka nie przybyła z tobą?

- Nie, milady. Przyszłam sama. Musiałam porozmawiać z Markiem.

- Bez przyzwoitki? O mój Boże!

- Nie pomyślałam o tym. Jane nigdy tym sobie nie zawraca głowy.

- Jane się nie liczy. - Milady uśmiechnęła się. - Ale mniejsza z tym. Wciąż jesteś zaręczona z moim synem, prawda?

- Tak, milady.

Mark nie był w stanie tego dłużej znosić. Przeprosił i wrócił do biblioteki, gdzie usiadł z jękiem na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Słowa matki brzmiały mu wciąż w uszach. „Jane się nie liczy”. Jak oni wszyscy mogli traktować ją tak lekceważąco, z taką pogardą? Jak mogli brać od niej tyle, nie dając nic w zamian? A on, Mark, przecież ją kochał. Tak, kochał jej spokój, jej brak egoizmu, opiekuńczość i skłonność do poświęcania własnego szczęścia dla innych. Kochał jej serdeczne spojrzenie, słodki uśmiech, rozsądek i szczerłość, a także jej odwagę. Ten, kto się z nią ożeni, zdobędzie prawdziwy skarb - pomyślał. - I jaka szkoda, że tym kimś nie będę ja...

Po pewnym czasie usłyszał, że matka, rozstawszy się z Isabel, opuszcza salon i że Isabel w towarzystwie lokaja wychodzi z domu. A w chwilę później matka odnalazła go w bibliotece.

- Opuściłeś nas tak pośpiesznie, Marku - powiedziała.

- Nie mogłem słuchać, jak mówisz o Jane z takim lekceważeniem, mamó. Jane się nie liczy?! Z całą pewnością się liczy.

- Boże drogi - odrzekła matka, siadając. - A więc chodzi o Jane...

- Wiesz dobrze, mamó, że przyjąłem z ulgą fakt, że Isabel chce zerwać zaręczyny. Mówiłem ci o tym.

- Owszem, ale nie wspomniałaś nic o Jane! Sądziłam, że robisz dobrą minę do złej gry...

- Mówiłem szczerze. Jednak nie mogłem zaraz po anulowaniu zaręczyn z Isabel, prosić o rękę Jane. A teraz jest już za późno.

- Czy Jane wie?

- Oczywiście, że nie.

- I najlepiej będzie, jeżeli nigdy się nie dowie. Nie zmienisz faktu, że jesteś zaręczony z jej siostrą. I byłoby lepiej, gdybyś przestał widywać Jane tak często.

- To by wyglądało dziwnie. Przecież oboje jesteśmy zaangażowani w sprawy sierocińca. Ludzie by pomyśleli, że się pokłóciliśmy.

- Isabel chce, żeby ślub się odbył przed wyjazdem jej rodziców do Szkocji, a ja zgodziłam się, że tak będzie najlepiej. Wyjeżdżają zapewne po zakończeniu żałoby.

- Isabel jest egoistką. Wychodzi za mnie tylko dlatego, że nie chce jechać do Szkocji z rodzicami. Nie kocha mnie. Kocha tylko mój majątek... Właściwie powiedziała mi to wprost.

- Boże, synku, jaka szkoda, że wcześniej mi się nie zwierzyłeś.

- Niczego by to nie zmieniło...

- Nie próbowałamby przynajmniej na nią wpłynąć i nie protestowałabym przeciwko zerwaniu zaręczyn...

- Wątpię, czy to by coś pomogło.

- Może i nie. - Lady Wyndham westchnęła i wstała. - A co to jest? - Wskazała zakurzone księgi. - Co robisz?

- Badam przeszłość rodziny Pagetów. Halliday powiedział mi, że sir Jasper Paget był poprzednim właścicielem posiadłości w Witherington. A mnie się zdawało, że znam jego nazwisko...

- Oczywiście, że je znasz. Na parafialnym cmentarzu są nagrobki Pagetów, a w kościele, tuż koło naszej ławki jest ich tablica.

- Wiesz coś o tej rodzinie, mamó?

- Nic. Zupełnie nic. Groby są bardzo stare. A czy to ma jakieś znaczenie?

- Żadnego.

- Odłóż zatem te księgi i chodź ze mną do ogrodu. Dzień jest taki piękny, a ja chcę ściąć kilka róż do wazonu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W chwili, gdy Jane znalazła się na skrzyżowaniu w wiosce i zamierzała skręcić do Broadacres, zobaczyła, że właśnie stamtąd idzie w jej kierunku Isabel. Zatrzymała bryczkę, a jej siostra wsiadła.

- Jak to dobrze, że nadjechałaś, Jane - powiedziała - te moje nowe buciki strasznie mnie uwierają.

Jane uderzyła lejcami i bryczka potoczyła się w stronę domu. Rozmowa z Markiem na temat sir Jaspiera musiała zaczekać.

- Czy to te buciki kupiłaś w Londynie?

- Te same. Nadają się doskonale na podróż kareta, ale nie do chodzenia.

- A gdzie byłaś?

- W Broadacres.

- Bez mamy?

- Tak, bez mamy. Musiałam porozmawiać z Markiem.

- Aha... I jak przebiegła rozmowa?

- Doszliśmy do porozumienia.

Choć Jane była na to przygotowana, poczuła, że słowa Isabel odbierają jej ostatnią nadzieję.

- A zatem wasze zaręczyny nie zostaną zerwane?

- Właśnie.

- A jak Mark to przyjął?

- Był oczywiście zachwycony. I wybaczył mi to, że miałam wątpliwości.

- I teraz już ich nie masz?

- Nie mam. Absolutnie żadnych. Pobierzemy się przed przeprowadzką rodziców do Szkocji. Mogłabyś zatem odłożyć na później obowiązki związane z sierocińcem i zająć się moją suknią ślubną?

- Ależ, naturalnie... Zresztą twoja suknia nie wymaga już wiele pracy.

Gdy tylko znalazły się w holu, na ich spotkanie wybiegł sir Edward.

- Jane, gdzie ty się podziewałaś? Szukałem cię wszędzie.

- Byłam w Witherington, papo. Czy coś się stało?

Okazało się, że za pół godziny mają zjawić się niejacy państwo Somertonowie, którzy pragną obejrzyć Greystone, a lady Cavenhurst nie chce się z nimi spotkać. Dlatego ojciec pragnie, by to Jane ją zastąpiła. Nie miała wyjścia - poszła na górę się przebrać i w pół godziny później była gotowa.

Gdy zainteresowani posiadłością przybyli, sir Edward wyjaśnił im, że żona źle się czuje i rodzina zamierza się przeprowadzić z uwagi na jej słabe zdrowie. Następnie zostawił ich z Jane.

Najpierw obejrzeliby salon, który - musiała to w duchu przyznać - wyglądał bardzo nieelegancko, gdyż zdjęto już ze ścian obrazy i usunięto ozdobne chińskie figurki z kilku półek w kredensie.

- Jak państwo widzą, zaczęliśmy się już pakować - wyjaśniła Jane, a pan Somer-

ton, rozglądając się z kwaśną miną, odrzekł, że spodziewał się, że dom będzie umeblowany.

Pozostała część domu również mu się nie podobała, po czym Somertonowie pożegnali się, dając jasno do zrozumienia, że domu nie kupią. Podobnie potoczyły się rozmowy z dwoma innymi zainteresowanymi, których przysłał pan Halliday. Nikt nie chciał nabyć domu. Sir Edward był bliski rozpaczy, bo wiedział, że wkrótce Bolsover zażąda spłaty długu, a lady Cavenhurst, Isabel i Sophie cieszyły się w tajemnicy z takiego obrotu spraw. Tylko Jane patrzyła na sytuację realistycznie.

Pewnego dnia przed domostwo zajechał wierzyciel sir Edwarda, lord Bolsover we własnej osobie. Wysiadł z poczwórnej karety i zaczął walić w drzwi frontowe swoją ozdobną laską.

Jane znajdowała się właśnie na galerii na pierwszym piętrze i zobaczyła stamtąd, że lokaj Saunders, jak zwykle z godnością, otwiera mu drzwi i prosi o podanie nazwiska.

- Powiedźcie, człowieku, waszemu panu, że przyjechał lord Bolsover i chce obejrzeć posiadłość.

Chce obejrzeć posiadłość? - zdziwiła się w duchu Jane. Ale dlaczego? Przecież z całą pewnością nie przysłał go pan Halliday. Zachowując pozory spokoju, zaczęła powoli, dostojnie, schodzić po schodach. Zobaczywszy ją, czekał, aż znajdzie się na dole.

- Witam, milordzie - rzuciła wyniośle.

Bolsover uklonił się.

- Panno Cavenhurst - powiedział - ufam, że znajduję panią w dobrym zdrowiu.

- W istocie, czuję się doskonale. Co pana do nas sprowadza?

- Wyjawię to pani ojcu, kiedy tylko łaskawie zechce się zjawić.

Jane odrzekła, że lokaj z pewnością udał się po sir Edwarda, który znajduje się gdzieś na terenie posiadłości, i wprowadziła gościa do salonu.

- Gdyby pan nas uprzedził, milordzie, że zamierza nas odwiedzić - powiedziała Jane, wskazując lordowi Bolsover krzesło - oczekiwalibyśmy pana.

- Wątpię! - Roześmiał się. - Wszyscy byście raczej przede mną pouciekali.

- Nie zrobilibyśmy tego, bo... nie mamy nic do ukrycia, milordzie.

- Czyżby? A nie ukrywacie przypadkiem faktu, że Greystone został przez pani ojca wystawiony na sprzedaż?

- A co innego mógł zrobić mój ojciec? Ma przecież długi do spłacenia, o czym pan, milordzie, wie doskonale.

- Wątpię, czy ze sprzedaży uzyska sumę pozwalającą spłacić je wszystkie. Ile żąda za posiadłość? Dziesięć tysięcy? Moim zdaniem to co najmniej o trzy tysiące za dużo.

- Skąd pan zna tę sumę?

- Mam swoich ludzi - odrzekł z uśmiechem. - Znam wielkość długów pani rodziny, zarówno sir Edwarda, jak i pani brata. I wiem, ile sir Edward ma nadzieję dostać za majątek. Z przykrością stwierdzam, że te sumy się nie bilansują.

Jane wciąż udawała obojętność, mimo że zaczęła ogarniać ją rozpacz. Czy ten okropny człowiek mówi prawdę? - zadawała sobie w duchu pytanie. W tej samej

chwili pojawił się jej ojciec i uwolnił ją od konieczności dalszej rozmowy z Bolsoverem.

- Papo - powiedziała - przedstawiam lorda Bolsover. Milordzie, oto sir Edward Cavenhurst.

Sir Edward zignorował wyciągniętą na powitanie dłoń Bolsovera i powiedział prosto z mostu.

- Czego pan chce? Moja żona czuje się bardzo źle, a pańska obecność pogorszy tylko jej stan. Proszę opuścić ten dom.

- Opuścę go, kiedy załatwię swoją sprawę - odpowiedział ostro. - Chcę obejrzeć posiadłość.

- Po co? - włączyła się do rozmowy Jane. - Przecież nie chce pan jej kupić?

- Nie muszę jej kupować. Pański dług - zwrócił się Bolsover do sir Edwarda - jest równy cenie, jaką pan za nią wyznaczył. Zresztą znacznie pan zawyżył wartość majątku. Jak miemam, nie udało się panu go sprzedać, prawda?

- Mam na to jeszcze mnóstwo czasu.

- Nie, proszę pana, wcale pan go nie ma. Żądam natychmiastowej spłaty długu.

Jane wstrzymała oddech, a sir Edward pobladł.

- Ale dlaczego? Dlaczego pan nam to robi? Przecież panu niczym nie zawiniliśmy.

- I w tym się państwo mylicie - odrzekł Bolsover z uśmiechem, który zmroził krew w żyłach Jane. - Potrzebuję domu, a Greystone doskonale mi odpowiada. Najpierw jednak muszę wszystko dokładnie obejrzeć, by się przekonać, czy posiadłość jest warta osiem tysięcy funtów, które pan, sir, jest mi winien.

- Nie jestem panu winien aż tak wielkiej sumy - zaprzeczył sir Edward.

- Jest pan mi winien właśnie taką sumę, jeżeli do pańskiego długu doda się dług pańskiego syna i dziesięcioprocentowe odsetki. A zatem... czy ktoś mnie oprowadzi, czy mam sam obejrzeć posiadłość?

- Jane będzie panu towarzyszyć. Bo... muszę zostać przy żonie - skapitulował sir Edward.

- A więc chodźmy - odezwała się na to Jane i ruszyła przodem.

Pokazała Bolsoverowi po kolei wszystkie pokoje na dole i na górze, z wyjątkiem buduaru matki, a także kuchnię i zabudowania gospodarcze.

- Posiadłość obejmuje trzysta akrów parku - zakończyła - oraz, las, trzy farmy i kilka małych gospodarstw. Jeżeli chce pan je obejrzeć, sugeruję, by zrobił to pan samodzielnie. Ufam jednak, że widział pan już dosyć.

- Miałem rację - stwierdził Bolsover, śmiejąc się z jej ostrego tonu. - Pani jest jedyną osobą w tej rodzinie, która ma w sobie ogień. I muszę przyznać, że bardzo mi się to podoba.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, milordzie, dlaczego pan tak bardzo pragnie nas zrujnować?

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce to pani powiem. A teraz chcę ponownie pomówić z sir Edwardem.

Jane zaprowadziła niechcianego gościa do salonu, a sama poszła do buduaru, żeby poprosić ojca. Gdy sir Edward zszedł na dół, matka i siostry zaczęły ją wypytywać, co zamierza lord Bolsover. Ich rozmowę przerwała pokojówka, która zapukała i stając w drzwiach, oznajmiła, że sir Edward prosi, by Jane zeszła do jego gabine-

tu. Choć nie miała na to najmniejszej ochoty, usłuchała. Zastała ojca siedzącego przy biurku, na którym leżały papiery wyglądające na dokumenty notarialne. Lord Bolsover stał przy oknie, patrząc na ogród. Odwrócił się, dopiero gdy Jane weszła do gabinetu.

- Moja droga - zaczął sir Edward drżącym głosem. - Jego lordowska mość podsunął wyjście z tej okropnej sytuacji, a jego propozycja dotyczy ciebie. Chcę, żebyś uważnie wysłuchała tego, co jego lordowska mość ma do powiedzenia. - Tu sir Edward wstał, zamierzając wyjść. - Możesz się nie zgodzić i nie będę miał ci tego za złe... Ale... błagam cię, pomyśl o swojej kochanej mamie i siostrach - dodał od progu i zamknął za sobą drzwi.

Jane stanęła twarzą w twarz z lordem Bolsover i dumnie uniosła głowę.

- Usiądziemy? - zapytał, po czym wziął ją za rękę i poprowadził ku sofie, na której usiedli obok siebie.

Uwolniła rękę i w milczeniu czekała.

- Nie pragnę, by pani rodzina popadła w nędzę - zaczął lord Bolsover.

- Skoro tak, to... okazuje to pan w osobliwy sposób.

- Miałem oko na Greystone od lat... właściwie przez całe moje życie. Zawsze uważałem tę posiadłość za należną mi z urodzenia.

- Z urodzenia? Proszę to, milordzie, wyjaśnić. Przecież Cavenhurstowie mieszkają tutaj od pokoleń.

- Wiem. Dokładnie od roku 1649.

Znała tę datę. Była wyryta na nagrobku.

- Colin Bolsover Paget - powiedziała cicho.

- A więc pani znalazła ten grób.

- Tak. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

- Colin Bolsover Paget był na tyle głupi, że zakochał się w pannie z rodziny okrągłogłowych. Pagetowie natomiast byli rojalistami. Nie pozwolili Colinowi ożenić się z jego ukochaną Gabrielle, a on, nie mogąc się z tym pogodzić, przeszedł na stronę okrągłogłowych. Wkrótce doszło do walki między nim a jego kuzynami - Pagetami i Bolsoverami. Gabrielle próbowała ich powstrzymać i wskutek tego straciła życie. Colin nie zginął, ale został odrzucony przez własną rodzinę. Jego okrągłogłowi teściowie, winiąc go za śmierć córki, zatruli mu życie tak długo, aż chłopak sam zadał sobie śmierć. Potem okrągłogłowi zajęli dom Pagetów.

- Greystone.

- Tak. Ostatni z Pagetów umarł w Witherington. Co pani, jak sądzę, niedawno odkryła.

- A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla pana, milordzie?

- Zaraz to wyjaśnię. Otóż matka Colina pochodziła z Bolsoverów, była córką przodka mojego ojca, pierwszego lorda Bolsover. A ja, jak każdy syn tego rodu, znam historię Colina od małego. I poprzysiągłem zemstę, do której okazja nadarzyła się dopiero teraz.

- A ja... Nigdy nie słyszałam tej opowieści.

- Nie było powodu, by pani ją słyszała. Nie mówi ona przecież o czymś, z czego Cavenhurstowie mogliby być dumni, prawda? Ci Pagetowie, którzy przeżyli wojnę domową, mieli nadzieję, że odzyskają majątek po restauracji monarchii. Ale tak się

nie stało. Colin najwyraźniej nie był jedynym człowiekiem, który przeszedł na stronę wroga.

- A pan, milordzie, sądzi, że opowiadając mi to, zyska moje względy?

- Mam nadzieję, że tak, bo zamierzam się pani oświadczyć.

- Oświadczyć?

- Tak. Musiała się pani przecież tego domyślić. A zatem: czy wyjdzie pani za mnie?

- Nigdy! - zawołała porywczo. - Przenigdy - dodała ciszej. - Skąd panu w ogóle przyszedł do głowy taki pomysł?

Bolsover roześmiał się.

- Przyszedł mi on do głowy, kiedy spotkałem panią po raz pierwszy, w Londynie - odpowiedział. - Od razu poczułem, że pani mnie pociąga. Moja owdowiała matka chce, żebym się przed jej śmiercią ustatkował, żebym się ożenił i miał własny dom. Tak, panno Cavenhurst, potrzebuję domu i żony. I jedno, i drugie znalazłem właśnie tutaj.

- A co panu zasugerowało, że zgodzę się za pana wyjść?

- Sir Edward o to panią prosił.

Jane nie odpowiedziała, więc Bolsover kontynuował:

- Zsumowane długi pani ojca i brata wynoszą prawie dziewięć tysięcy funtów. Przekraczają znacznie wartość posiadłości. Zatem gdy pani ojciec ją komuś sprzeda, będzie musiał się dodatkowo zadłużyć, by mnie spłacić. No tak... widzę, że panią to szokuje. Jednak jestem gotów wycenić wartość długów na tyle, ile za nie zapłaciłem. To znaczy znacznie mniej, niż wynosi ich wartość nominalna. Jeżeli dojdziemy szybko do porozumienia, pani rodzice, przekazawszy mi posiadłość wartą więcej niż suma długów, będą się mogli stąd wyprowadzić z niewielką sumą w kieszeni. Ratując przy tym swą godność, co dla pani ojca ma ogromne znaczenie. Pani oczywiście tutaj zostanie jako moja żona.

- Nie.

- Nie? Czyż pani ojciec nie prosił, żeby się pani dobrze nad tym zastanowiła? Przecież z pewnością widzi pani zalety takiego rozwiązania? Wszyscy dzięki niemu będą usatysfakcjonowani. Ja będę miał dom i wspomniałą żonę, którą będę traktował z kurtuazją i szacunkiem; moja matka będzie zadowolona; pani rodzice będą mieli dość pieniędzy, by dożyć swoich dni w umiarkowanym komforcie, a pani brat będzie mógł wrócić na łono rodziny. No a pani, moja droga, będzie mogła nadal opiekować się sierotami. W czym ja będę pani pomagał.

Jane milczała, walcząc z narastającym poczuciem obrzydzenia do człowieka, którego miała przed sobą. A najgorsze było to, że ojciec spodziewał się, że przyjmie Bolsovera. Jak mógł to zasugerować? Jak mógł ją o to prosić?

- Zaszokowałem panią najwidoczniej tak bardzo, że pani zaniemówiła - odezwał się Bolsover. - Dam pani tydzień do namysłu. Mam nadzieję, że pani przez ten czas rozważy wszystkie konsekwencje odmowy. Na koniec jeszcze wspomnę, że mogę przeszkodzić w zakupie Witherington.

Jane, usłyszawszy kolejną groźbę, zerwała się na równe nogi i wybiegła z salonu. Nie chciała pozwolić, aby ten człowiek zobaczył jej łzy rozpacz. Przez główny hol udała się do wyjścia. Nie wiedząc, jak to się stało, znalazła się w stajni, gdzie szło-

chając, wtuliła twarz w szyję konia, którego zawsze zaprzęgano do jej bryczki. Koń nigdy jej nie zawiódł, nigdy niczego od niej nie żądał, a jego błyszczące oczy zdawały się patrzeć na nią ze zrozumieniem...

Wciąż płacząc, znalazła siodło i uprzęż i – choć był koniem pociągowym – szybko go osiodłała. Następnie dosiadła go i nie zwracając uwagi na krzyk stajennego, galopem wyjechała z podwórza.

Nie miała pojęcia, dokąd zmierza. I nie obchodziło jej to. Nie zdawała sobie sprawy, że na drodze są różne pojazdy, że jakaś karetka musiała zjechać na bok, by ją przepuścić. Galopem minęła gospodę i mknęła dalej. Kiedy zbliżała się do rezydencji Broadacres, stwierdziła, że nie wypadało jej tu przyjeżdżać bez zapowiedzi i ściągnęła gwałtownie wodze. Koń stanął dęba i zrzucił ją ze swego grzbietu na ziemię.

W tej samej chwili nadjechała dwukółka, która z pewnością przejechałaby ją, gdyby nie zręczność powożącego nią Marka. Zaraz zeskoczył na ziemię i podbiegł do Jane. Leżała nieprzytomna i śmiertelnie blada. Ubrana w zwykłą codzienną suknię, nie miała też kapelusza, który mógłby choć trochę złagodzić uderzenie głowy o ziemię.

Przeczuwał, że stało się coś okropnego; coś, co spowodowało, że wyjechała konno z posiadłości.

– Boże miłosierny! – Mark padł obok niej na kolana. – Jane! Jane, ocknij się! Ocknij się, proszę...

Chciał nią potrząsnąć, ale się od tego powstrzymał. Zaczął badać dłonią jej twarz i głowę, a gdy cofnął dłoń, zobaczył na niej krew.

– Boże, Boże błagam! Nie daj jej umrzeć – modlił się głośno. – Pozwól jej żyć. Ja jej potrzebuję...

Jane leżała nieruchomo. Obejrzał się, a gdy stwierdził, że nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby pobiec po pomoc, wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Natychmiast kazał lokajowi zająć się końmi i bryczką, a przerażoną służącą posłał po swoją matkę.

– Mark, co się stało? – zapytała lady Wyndham, która zaraz zjawiła się na dole.

– Jane wjechała na podjazd na koniu i spadła z jego grzbietu. Omal jej nie przejechałem. Poślij po doktora Trencha, dobrze?

– Oczywiście. Zaraz po niego poślę. I po lady Cavenhurst.

Lady Wyndham wydała polecenie lokajowi, a następnie zwróciła się znów do Marka.

– Ale... Skoro jechała konno, dlaczego jest tak ubrana? – spytała.

– Nie wiem, mamu. Wiem tylko, że w Greystone musiało się stać coś okropnego. Możliwe, że Jane jechała do nas po pomoc.

– Grace nam powie, kiedy tylko się tu zjawi. Zanieś Jane do błękitnego pokoju. Zaraz przyślę Janet.

Janet była starą piastunką, która dożywała swych dni w Broadacres, a w razie potrzeby pielęgnowała chorych.

Znalazłszy się w sypialni, w której zasłony w oknach i narzuta na łóżku były błękitne niczym letnie niebo, Mark delikatnie położył wciąż nieprzytomną Jane na łóżku, a sam ukląkł obok i zaczął gładzić ją po białym jak papier policzku.

- Jane, musisz żyć - powiedział cicho. - Ja cię kocham. Bez ciebie stanę się nikim. Proszę cię, najdroższa, ocknij się!

Pochylił się i pocałował ją w policzek ale ona wciąż leżała nieruchomo i nic nie wskazywało na to, że go słyszy. Mark z ciężko bijącym sercem ujął ją za rękę.

Jakże wielkim był głupcem, pozwalając, by konwenanse dyktowały mu, jak ma postępować! Dlaczego nie zauważył, jak wspaniałą osobą jest Jane, zanim oświadczył się Isabel? Dlaczego tak jak wszyscy naokoło uważał ją za brzydką, gdy tymczasem ma po prostu oryginalną urodę, która zawsze mu się podobała. A ponad wszystko miała szlachetny charakter.

„Jane się nie liczy” - ponownie zadźwięczały mu w uszach słowa matki i poczuł silny sprzeciw. Dla niego Jane się liczyła bardziej niż cokolwiek innego, bardziej niż jego własne życie, niż bogactwa, a nade wszystko bardziej niż opinie ludzi z towarzystwa. Problem polegał na tym, że ona nigdy by się nie zgodziła wyjść za niego, nawet gdyby zmusił ją, by przyznała, że go kocha. Nigdy nie zdradziłaby swojej siostry, tak jak Drew nigdy nie zdradziłby jego. Ale... Właśnie! Musi odnaleźć przyjaciela!

Gorączkową gonitwę myśli Marka przerwała matka, wchodząc do sypialni z doktorem Trenchem i Janet.

- Czy odzyskała przytomność? - zapytała od progu.

- Nie - odrzekł Mark, po czym podniósł się z kolan i wyszedł, choć nie miał na to ochoty.

Jane otworzyła oczy, po czym zamknęła je i ponownie otworzyła. Gdzie jestem? - przemknęło jej przez myśl. Znajdowała się w łóżku, które nie należało do niej. Odwróciła głowę i zobaczyła Marka, siedzącego na krześle tuż obok. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale się uśmiechał.

- Obudziłaś się, Jane. Nareszcie.

- Gdzie jestem?

- W Broadacres. Spadłaś z konia na podjeździe. Nie pamiętasz?

- Nie. Ale... jak to się stało?

- Sądzę, że jechałaś do Broadacres, żeby się ze mną zobaczyć.

- Tak? - Spróbowała usiąść, ale była tak słaba, że zakręciło jej się w głowie. Dotknęła ręką głowy i poczuła, że jest zabandażowana. - A nie wiesz dlaczego?

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

- Sir Jasper - powiedziała cicho. - Odkryłam, że nosił nazwisko Paget i że był spokrewniony z tym młodym człowiekiem pochowanym za murem cmentarza.

- Wiem o tym. Ale nie sądzę, że właśnie w tej sprawie tutaj jechałaś. Nie opuściłaś domu w takim pośpiechu. I to na dodatek w sukni popołudniowej, a nie w stroju do konnej jazdy.

- A... wyjechałam z domu w pośpiechu...?

- Tak.

- Czy mama wie, że tu jestem?

- Tak. Przyjeżdżała do ciebie codziennie.

- Codziennie? - powtórzyła jak echo. - A jak długo tu leżę?

- Tydzień.

- Cały tydzień?

Mark uśmiechnął się.

- Tak, siedem dni - potwierdził. - I przez prawie cały czas majaczyłaś.

- Majaczyłam? A... co mówiłam?

- Nic sensownego. Zdołałem zrozumieć tylko twoje pojedyncze słowa: papa, okrągłogłowy, rojalista, ślub i coś, co brzmiało jak Bolsover. Sprawiałaś nam nie lada kłopot, kiedy przez pierwsze dni rzucałaś się na łóżku i próbowałaś zerwać bandażę...

- Nam? To znaczy komu?

- Mnie, mojej matce, Janet i twojej mamie, kiedy tu była. Bardzo się o ciebie niepokoi. Ale doktor Trench powiedział, że niedługo całkiem wyzdrowiejesz. Musi tylko upłynąć trochę czasu.

- Czas! - zawołała i wróciła jej pamięć. - Ja nie mam czasu! Muszę natychmiast wracać do domu!

- Nie musisz. - Przytrzymał ją delikatnie, sprawiając, że opadła na poduszki. - Nie ruszysz się stąd, dopóki nie wydobrzejesz. Tutaj jesteś bezpieczniejsza.

- Bezpieczniejsza? Jak to?

- Ano tak... Lord Bolsover nie może cię tknąć, dopóki jesteś tutaj, prawda? - powiedział Mark z uśmiechem.

- A więc... ty wiesz?

Twoja matka nam powiedziała. Cały ten pomysł jest nedorzeczny.

W domowej bibliotece Mark znalazł informacje o wojnie domowej i o drugim baronie Paget, który mieszkał w Greystone. Baron był zajadłym rojalistą, choć żył tutaj, we wschodniej Anglii, gdzie przeważająca część mieszkańców stała po stronie parlamentu. Gdy rojaliści zostali ostatecznie pokonani, stracił posiadłość, która dostała się w ręce Cavenhurstów. Kwerenda w dokumentach kościelnych zaowocowała natomiast historią samobójstwa. Mark znalazł w nich informację, że matka Colina Pageta pochodziła z Bolsoverów, rodu mieszkającego w Northamptonshire. Wszystko to wyjaśniać mogło, dlaczego Hector Bolsover tak bardzo chce dostać w swe ręce posiadłość. Nie wyjaśniało jednak, dlaczego zapragnął ożenić się z Jane. Mark był pewien, że nie skłaniała go do tego miłość.

- Ale ja nie mam wyboru. - Jane ciężko westchnęła.

- Im dłużej tutaj zostaniesz, tym więcej czasu będziemy mieli na obmyślenie jakiegoś rozwiązania.

- Nie ma żadnego rozwiązania, Marku. Proszę cię, nie próbuj obudzić we mnie nadziei, które potem okażą się płonne. Rozumiem swój obowiązek.

- Obowiązek! Dlaczego ty zawsze musisz być taką obowiązkową córką? - odrzekł Mark z gniewem. - Dlaczego chociaż czasami nie pomyślisz o sobie?

Jane westchnęła.

- Marku - powiedziała - moja miłość do rodziny jest zbyt wielka, bym mogła dopuścić do jej upadku. I to w sytuacji, gdy to właśnie ja, osobiście, jestem w stanie temu upadkowi zapobiec.

- A co ze mną?

- Nie rozumiem... Jesteś moim drogim przyjacielem, powiernikiem i wspierasz mnie w pracy dobroczynnej. Nie wyobrażam sobie, że to mogłoby się zmienić.

I mam nadzieję, że nasza przyjaźń będzie trwała.

- Oczywiście, że będzie. Bez względu na to, co się stanie. Ale ja...

- Proszę cię, Marku, dosyć. Przyślesz mi kogoś, kto mi pomoże się ubrać? Chcę wrócić do domu.

Nie wolno mi się poddawać, pomyślała. Muszę być silna i zdecydowana. Nie mogę wybierać łatwiejszej drogi... Tak, nie mogę opaść na poduszki i odgrywać inwalidki z nadzieją, że lord Bolsover zrezygnuje ze swoich planów i po prostu zniknie. A dobroć i troska ze strony Marka skłaniają mnie jedynie do płaczu.

- Skoro tak mówisz... dobrze - powiedział Mark, ucałował jej dłoń i wyszedł z pokoju.

Została sama i pogrążyła się w myślach. Wyglądał na zrozpaczonego z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła, a sposób, w jaki na nią patrzył i w jaki trzymał ją za rękę, mógł świadczyć...

Nie! - przywołała się do porządku. To był tylko sen. Jego głos dobiegał jakby z od-dali, niczym echo, ale dotarł do jej podświadomości i zapadł w nią głęboko... Jednak nie! Nie wolno jej o tym myśleć! Nie wolno jej pragnąć, by to była prawda... Isabel ma poślubić Marka już za kilka tygodni.

Z tą myślą Jane zamknęła oczy, a po jej policzku spłynęła jedna jedyna łza.

- Jane jest zdecydowana się ubrać i jechać do domu - powiedział Mark matce, którą zastał w salonie.

- Naprawdę? - zdziwiła się lady Wyndham. - Jest na to przecież za słaba. A poza tym Grace prosiła, żebyśmy ją tutaj zatrzymali, dając rodzinie więcej czasu na ob-myślenie jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Wiem o tym, mamó. Powiedziałem jej to, ale ona nie chce słuchać.

- Mój biedny synku...

- To nie ja jestem biedny, mamó. Biedna jest Jane. Proszę cię bardzo, spróbuj ją przekonać. Niech tu zostanie, a ja... pomówię z Bolsoverem.

- Nie, Marku, nie powinieneś się do tego mieszać, bo skończy się to pojedyńkiem. Mamy już dosyć plotek...

- Ale muszę... po prostu muszę coś zrobić. Co za szkoda, że wcześniej nie wie-działem, w jakiej sytuacji znajduje się rodzina Cavenhurstów. Pomógłbym im... pożyczylbym sir Edwardowi pieniądze...

- Nie mógłbyś tego zrobić. W chwili, gdy twój biedny ojciec zmarł, a ty odziedzi-czyłeś jego fortunę, było już za późno...

Mark wiedział, że matka ma rację. Nie tylko mówiąc o pożyczce, ale także o kon-frontacji z Bolsoverem. Nie mógł pojąć, dlaczego człowiek taki jak on, gustujący w wielkomijskim życiu i spędzający większość czasu przy karcianych stolikach, chce zamieszkać na wsi, w Hadlea. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie ma w tym żadnego sensu.

- Proszę cię, mamó, idź teraz do Jane - powiedział. - Tymczasem ja pojedę do Greystone i zawiadomię całą rodzinę, że odzyskała przytomność. Wrócę z lady Ca-venhurst, która z pewnością będzie chciała zobaczyć Jane i z nią porozmawiać.

Jadąc do Greystone, Mark spotkał wielebnego Cauldera, który ucieszył się, że

chora dochodzi już do siebie, i powiedział:

- Słyszałem, że panna Jane ma wyjść za mąż za dżentelmena, który zatrzymał się w gospodzie Pod Lisem i Chartami. Mieszkańcy wioski są tą wiadomością ucieszeni. Sądzą, że panna Jane zasługuje na szczęście.

- To prawda.

Mark przez zaciśnięte zęby zdołał wypowiedzieć tylko te dwa słowa. Tymczasem pastor mówił dalej:

- Ten dżentelmen, lord Bolsover, obszedł i obejrzał cały nasz parafialny cmentarz. Spotkałem go tam, a on przedstawił mi się i poprosił o usunięcie chwastów z grobu Colina Pageta i o oczyszczenie nagrobnej tablicy. Sądzę, że Colin Paget to jego przodek.

- Tak słyszałem - potwierdził krótko Mark.

- Może zatem - powiedział pastor - będziemy mieli podwójny ślub. Jego lordowska mość wydawał się ubawiony takim pomysłem, ale nie powiedział, że mu się on nie podoba.

Mark miał dość i zakończył rozmowę, obiecawszy pastorowi, że gdy będzie miał więcej czasu, omówi z nim dokładnie dalsze działania związane z sierocińcem. Zaraz potem pożegnał się i odjechał.

A więc to tego rodzaju wieści miała na myśli matka, mówiąc o plotkach! - powiedział sobie, zbliżając się do Greystone. Był przekonany, że rozpущcza je sam Bolsover. Rzeczywiście wyglądało na to, że szykuje się potężny skandal. A Mark nie miał pojęcia, jak mu zapobiec...

Gdy zajechał na miejsce, przekonał się, że nic nie wskazuje na to, by tutaj ktokolwiek wiedział coś o plotkach.

- Jane chce już wracać do domu - poinformował lady Cavenhurst, która z wielką radością przyjęła wiadomość, że córka odzyskała przytomność.

Usłyszał też, że jest na to stanowczo za wcześnie, bo lord Bolsover bywa w Greystone codziennym gościem i ma czelność insynuować, że Jane tylko udaje chorą, by odwlec decyzję dotyczącą ślubu.

- Musiałam prosić doktora Trencha - powiedziała lady Cavenhurst - by potwierdził, że Jane jest naprawdę nieprzytomna i nie może na razie podjąć żadnej decyzji.

- Zatem musi zostać tam, gdzie jest - zgodził się Mark. - Czy zechce pani pojechać teraz do niej i z nią porozmawiać?

- Tak, oczywiście. Pójdę tylko włożyć rękawiczki i kapelusz.

Milady udała się do siebie, a Mark został sam i czekając na nią, zaczął się rozglądać po salonie. Z pewnym zdziwieniem uświadomił sobie, że teraz - bez obrazów i innych ozdób - pokój wygląda po prostu biednie.

- O, to ty, Marku.

Słyszając te słowa, Mark odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Isabel.

- Usłyszałam, że przyjechałeś, więc zeszłam - mówiła dalej. - Jak Jane się czuje?

- Ocknęła się jakąś godzinę temu. Jest bardzo osłabiona, ale poza tym czuje się nie najgorzej.

- Doskonale. Bo w domu jest bez niej okropnie. Wszyscy są tacy smutni. Więc ja... bardzo się ucieszę, kiedy wreszcie wróci.

- Problem w tym, że wtedy Jane będzie musiała dać odpowiedź lordowi Bolsover.

- A dlaczego by nie miała tego zrobić? W końcu przecież będzie musiała się poddać i zgodzić na ślub.

Słyszając słowa narzeczonej, Mark zapalał gniewem.

- Ależ, Isabel - powiedział, ledwie panując nad głosem - nie chciałybyś chyba skazać własnej siostry na małżeństwo z tym okropnym człowiekiem?

- On nie jest wcale taki okropny. Przy bliższym poznaniu potrafi być czarujący. A poza tym... on jest naszą jedyną nadzieją. No a Jane... ma naprawdę szczęście, że w swoim wieku w ogóle znalazła chętnego kawalera. I to na dodatek takiego bogatego.

Markowi zabrakło słów. Milczał, nie pokazując jednak po sobie, jak bardzo jest wzburzony. W drodze do Broadacres wciąż gotował się ze złości i zastanawiał się, czy milady słyszała słowa Isabel i czy się z nią zgadza.

Stwierdził, że musi wycofać się ze ślubu i nie chce mieć za żonę egoistki. Nie wiedział jednak, jak to zrobić, nie wywołując skandalu i nie ściągając na siebie potępienia towarzystwa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dwie starsze damy, Mark oraz doktor Trench próbowali przekonać Jane, że powinna zostać w Broadacres jeszcze co najmniej przez tydzień. Zgodziła się, kiedy tego samego dnia spróbowała wstać z łóżka bez niczyjej pomocy i zaraz osunęła się na podłogę. Mark, który właśnie przechodził korytarzem, usłyszał jej krzyk, wpadł do sypialni i pomógł wstać, starając się przy tym nie widzieć, że ma ona na sobie tylko lekką koszulę nocną nieskrywającą kobiecych krągłości, a jej pełne piersi falują wraz z przyspieszonym rytmem oddechu. Gdy tak stał, obejmując ją i tuląc do siebie, poczuł, że pragnie jej całym sobą... całą duszą i ciałem.

To prawda, że już przedtem trzymał ją w ramionach, jednak przy każdej z tych okazji była kompletnie ubrana. Tymczasem teraz...

Obrócił ją w ramionach twarzą do siebie, po czym wziął ją pod brodę tak, by móc jej patrzeć prosto w twarz.

- Wygląda na to, że moim przeznaczeniem jest podnosić cię, kiedy upadniesz - spróbował żartować, a w następnej chwili, nie poczekawszy na jej odpowiedź, pocałował ją.

Miał to być delikatny pocałunek, wyrażający jedynie serdeczną przyjaźń i chęć służenia pomocą w potrzebie, lecz szybko przerodził się w coś więcej. Jane poddała się miękko pocałunkowi i pozwoliła zamknąć w objęciach ramion. Z jej piersi nie wyrwał się okrzyk protestu, gdy ich usta się spotkały, nie odepchnęła też Marka z oburzeniem, gdy pieszczota przeciągała się. Przeciwnie, przyłgnęła do niego całym ciałem, a on uświadomił sobie wtedy, że nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach nie poślubi żadnej innej kobiety.

- Jane? - powiedział cicho, cofając usta, lecz wciąż ją obejmując. - Och, Jane, co my teraz zrobimy? Nie mogę cię wypuścić...

- Nie możesz, bo wtedy znowu upadnę.

- Nie to miałem na myśli.

- Ja też nie.

- Kocham cię...

- To niemożliwe - powiedziała, a po jej policzku spłynęła łza.

- Tak jest... I nic ani nikt tego nie zmieni - odpowiedział i scałował łzę.

- Marku, przestań. Proszę cię, przestań...

- Dlaczego? Czy nie kochasz mnie?

- Ja... - zaczęła i przerwała zmieszana.

- Bądź ze mną szczerą, Jane.

- Zawsze jestem z tobą szczerą.

- A więc?

- Jakiegokolwiek są moje uczucia... to... jest niemożliwe - odrzekła cicho. - Bo jest przecież Isabel... i... lord Bolsover - dodała i się wzdrygnęła.

- Do diabła z Bolsoverem.

Wziął ją na rękę, pocałował po raz drugi i położył w pościeli. A potem, przykrywając ją, usiadł na krawędzi łóżka i ujął za rękę.

- Moglibyśmy razem uciec i pobrać się potajemnie.

- Żartujesz...? Tak, żartujesz sobie. Pomyśl o skandalu, pomyśl o swojej matce, przyjaciółkach i mieszkańcach wioski, którzy cię podziwiają i szanują. Chciałbyś stracić ich szacunek? A poza tym złamałbyś serce Isabel...

Zwalczył pokusę, by zawołać: „Do diabła z Isabel”. Zamiast tego westchnął i odpowiedział.

- Nie sądzę, by to mogło Isabel złamać serce. Zerwała już raz zaręczyny i może to zrobić po raz drugi.

- Nie teraz. Nie, gdy papie grozi bankructwo i zagraża nam lord Bolsover. W tej sytuacji obydwie musimy się poświęcić.

- A dlaczego nie możemy zrobić tego, co jest dobre dla nas? - spytał, silnie akcentując ostatnie słowo.

Jane uśmiechnęła się blado.

- Posłuchaj, Marku - powiedziała. - Nie jestem dość silna, by się z tobą sprzezczać. Więc proszę, nie mów nic więcej. To, co tu się dziś wydarzyło, pozostanie naszą tajemnicą. Nikt o tym nie może wiedzieć. Choć zapamiętam to na zawsze i będę przez długie lata wspominała jako chwilę, w której miałam pewność, że jestem kochana.

Mark poczuł, że dalsza rozmowa jest ponad jego siły. Zerwał się i uciekł z sypialni, nie chcąc dopuścić do tego, by Jane zobaczyła jego łzy, bo te nie przystoją przecież mężczyźnie.

Boże, jak to bolało! Jakież cierpienie sprawiała jej myśl, że odtrąciła Marka, że oni dwoje nigdy nie będą sobie tak bliscy, jak oboje całym sercem tego pragnęli.

Jane wiedziała jednak, że postąpiła słusznie, i wyglądało na to, że i on uznał jej rację. Jego wizyty ustały, a widywali się jedynie przypadkiem. Oczywiście brakowało jej jego uśmiechu, uwagi i serdecznej troski. Musiała jednak się z tym pogodzić. I żyć dalej.

Robiła wszystko, by jak najszybciej do siebie wrócić. Zaczęła nawet ćwiczyć osłabione leżeniem nogi. Wstawała codziennie i chodziła po pokoju. Czyniła tak, dopóki nie poczuła, że jej nogi wzmocniły się na tyle, by mogła zejść na dół, do salonu. Szyła, czytała lub rozmawiała z lady Wyndham. Potem zaczęła jadać w jadalni i widywać przy stole Marka. A fakt, że przy jego matce i służbie mogła z nim prowadzić jedynie uprzejmą, lecz całkiem zdawkową rozmowę, stał się dla niej prawdziwą torturą.

Matka odwiedzała ją często, przywożąc jej suknie na zmianę. Od czasu do czasu pojawiały się też siostry.

- Lord Bolsover pojechał do Northamptonshire, żeby przekazać swojej matce dobre nowiny - poinformowała ją Isabel podczas jednej z wizyt. - Zamierza też odwiedzić swego prawnika i omówić z nim sprawę przeniesienia własności, a także opracować umowę małżeńską.

- Ale ja nie zgodziłam się za niego wyjść.

- Wszyscy sądzą, że się zgodzisz. Papa również. Nie możesz odmówić, Jane. Naprawdę nie możesz. Przecież od tego zależy przyszłość rodziny. On nawet obiecał zapłacić za moje weselne śniadanie i pozwolił zaprosić tylu gości, ilu tylko zapra-

gnę.

- Czy wiesz, jak długo go nie będzie?

Isabel wzruszyła ramionami.

- A ile mogą zająć takie sprawy? Słyszałam, jak papa mówi mamie, że zatrzymał pewne dokumenty dotyczące majątku, bez których jego lordowska mość nie może kontynuować ich załatwiania. Zapewne niebawem przyśle kogoś po te papiery... Po co zatem odwlekać coś, co jest nieuniknione, Jane?

Tego dnia Jane oznajmiła, że nazajutrz wraca do domu. Była gotowa iść pieszo, jednak Mark nie chciał o tym słyszeć. Uparł się, że zawiezie ją dwukółką. Kiedy jednak minęli bramę wjazdową, Mark, ku zaskoczeniu Jane, skręcił w drogę prowadzącą do Witherington. Jak się okazało, chciał jej pokazać zmiany, jakie zaszły w przeznaczonym na sierociniec i zakupionym podczas jej choroby starym domostwie.

Widok, który ukazał się jej oczom, wprawił ją w szczerzy zachwyt. Naprawiona brama, podjazd oczyszczony z chwastów, błyszczące okienne szyby w świeżo pomalowanych ramach oraz nowe dachówki. Okazało się ponadto, że wszystkie naprawy zostały dokonane przez mieszkańców wioski, którzy nie chcieli za swoją pracę żadnej zapłaty.

Wnętrze domu także było po generalnym remoncie. Ściany zostały pomalowane na jasne, wesołe kolory, a pokoje po przycięciu bluszczu zasłaniającego okna, zrobiły się przestronne i pełne światła. Schody również nie kryły już pułapek w postaci zbutwiałych, uszkodzonych stopni.

- Dom jest w takim stanie, że można wstawiać meble - powiedziała Jane i zapytała: - Mamy na to dość pieniędzy?

- Sądzę, że tak - odrzekł Mark. - Ale musimy myśleć i o odleglejszej przyszłości. Najpierw zorganizujemy kiermasz, a potem moja matka urządzi w rezydencji wieczór muzyczny, podczas którego z pewnością otrzymasz wiele hojnych datków.

Gdy zakończyli zwiedzać dom, wypili w kuchni herbatę, którą poczęstowała ich pani Godfrey, po czym ruszyli w drogę do Hadlea.

- Nie wiem, Marku... po prostu nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała Jane, gdy siedzieli już w dwukółce. - Sprawiliś, że ziściło się moje marzenie.

- Jest jeszcze inne marzenie - odrzekł jej na to - do którego ziszczenia chciałbym się przyczynić.

- Och, przestań, proszę. Nie mów o tym.

Mark zamilkł, lecz gdy dojechali do miejsca, gdzie niedawno urządzili piknik, zatrzymał dwukółkę i zaproponował spacer. Poprowadził Jane ścieżką biegnącą skrajem pola pszenicy. Kiedy znaleźli się już z dala od drogi, przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona.

- Marku, nie... Nie powinieneś - zaczęła się bronić, ale zabrakło jej przekonania. Ona również tęskniła za jego bliskością.

- Ćśśś... - uciszył ją łagodnym szeptem, pochylił się nad nią i zaczął ją całować.

Błądził wargami po ustach, powiekach, szyi i wzgórkach piersi, wychylających się z dekoltu jej bawełnianej sukni w paski. Roznamiętniona, zapomniawszy o bożym świecie, przylgnęła do niego całym ciałem, pragnąc, by pieśczoła nigdy nie ustała.

Po kilku dłuższych chwilach oderwał od niej usta, ciężko oddychając.

- Jane, moja najdroższa... Przepraszam... Postawiłem cię w trudnym położeniu, prawda?

- Owszem - potwierdziła. - Ale nie przepraszaj. Chyba że tego żałujesz...

- Miałbym tego żałować?! Och, moja najmilsza. Nigdy! Jak bym mógł?!

Spróbował wziąć ją znowu w ramiona, lecz tym razem się cofnęła.

- Nie, Marku - powstrzymała go. - Dosyć. Zawieź mnie do domu, zanim zrobimy coś, czego będziemy oboje żałować.

- Dobrze - zgodził się niechętnie i wziął ją pod łokieć, by poprowadzić z powrotem do powoziku. - Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji... Po prostu musi. I je znajdę. Obiecuję ci to.

W domu wszyscy na widok Jane ucieszyli się, zapewniali ją, że świetnie wygląda i że odpoczynek dobrze jej zrobił.

- Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz spokojniejsza - powiedziała matka. - Wszystkie twoje wypadki biorą się z nadmiaru aktywności.

- Ależ, mamo - zaprotestowała Jane - ja nie znoszę bezczynności.

- No tak, rozumiem... A czy wiesz, że lord Bolsover wyjechał?

- Wiem. Isabel mi powiedziała. Obawiam się jednak, że on nie zrezygnuje tak łatwo i wkrótce wróci.

- Niestety, możesz mieć rację.

- A ty, mamo, wciąż myślisz, że powinnam przyjąć jego oświadczyzny?

- Moje zdanie nie ma znaczenia, ale twój ojciec nie widzi innego wyjścia z naszej sytuacji. Pomyśl o Sophie. Nigdy nie znajdzie odpowiedniego męża, jeżeli będziemy biedni. Poza tym Teddy mógłby wrócić do domu... Tak bardzo za nim tęsknię!

- Wiem - westchnęła Jane, po czym dodała z udawanym ożywieniem: - Zatem zamierzam teraz cieszyć się ostatnimi dniami wolności.

Jane zajmowała się przygotowaniami do kiermaszu, pisała listy z prośbą o datki i przeglądała katalogi, poszukując odpowiednich mebli. Pan Halliday junior zapytał ją w liście, kiedy zamierza przyjąć pierwsze dzieci. Odpisała mu, że dwoje pierwszych podopiecznych - rodzeństwo, które straciło ojca podczas wojny i z opieką nad którym pracująca matka nie daje sobie rady, wkrótce się wprowadzi. Znała też inne dzieci z okolicy potrzebujące kurateli. Kolejnych zamierzała szukać w pobliskich miastach i parafiach.

Dnie wypełniały jej rozmaite obowiązki, odwracające jej uwagę od perspektywy małżeństwa z lordem Bolsover. Jednak nocą złe myśli powracały, spędzały sen z powiek albo dręczyły sennymi koszmarami.

Marka wcale nie widywała i nie miała pojęcia, czy pogodził się z myślą o ślubie. Wszystko jednak na to wskazywało. Tymczasem Isabel mówiła o zbliżającej się ceremonii bez przerwy. Ślubna suknia, wyprawa, uroczyste śniadanie, zmiany, jakie zaprowadzi w Broadacres, gdy stanie się panią tego majątku - wszystko to było przedmiotem jej bezustannej i najczęściej bezmyślnej gadaniny.

- Issie, czy jesteś pewna, że chcesz poślubić Marka? - zapytała ją pewnego dnia Jane. - Przecież niedawno twierdziłaś, że nie jesteś w stanie znieść myśli o tym małżeństwie. Mówiłaś, że go nie kochasz.

- Bo tak jest. Nie kocham go - powiedziała bez ogródek. - Ale jest mnóstwo udanych małżeństw, które nie zostały zawarte z miłości. Zwłaszcza gdy brak uczucia kompensuje przystojny, zamożny mąż, zdolny zapewnić żonie odpowiednią pozycję społeczną. - Tu Isabel zamilkła, a po chwili dodała: - Tylko nie waż się tego powtórzyć Markowi.

- Dobrze... Nie powtórzę.

Londyński sezon już się skończył i wszystkie zamożne rodziny rozjechały się do swych wiejskich posiadłości, gdzie nadszedł czas żniw. Mark bez trudu poruszał się ulicami, aż dotarł do kancelarii Hallidayów. Zamierzał jak najwięcej dowiedzieć się o Bolsoverze i posiadłości Greystone. Wszedł do gabinetu i poprosił pana Cecila o spotkanie z jego ojcem.

- Milordzie - powiedział pan Theodore Halliday, zjawiwszy się za chwilę - mój syn poinformował mnie, że interesuje pana Greystone. Czy rozważa pan jego zakup?

Mark zaprzeczył i wyznał, że interesuje go osoba Bolsovera, który kupił długi Cavenhursta i zastraszył go tak, że sir Edward właściwie zgodził się w zamian za darowanie mu długu oddać posiadłość i rękę Jane.

- A Jane - dodał - to znaczy panna Cavenhurst jest przekonana, że nie ma wyjścia i musi się na ten ślub zgodzić.

- Dobry Boże!

Starszy pan Halliday był szczerze zbulwersowany.

- Czy wie pan o czymś, co mogłoby jego lordowską mość zdyskredytować? - zapytał Mark wprost.

- Słyszałem jedynie - odrzekł prawnik - że lord Bolsover jest hazardzistą i gra o wielkie stawki.

- Chciałbym, żeby panowie przyjrzeni się jego poczynaniom... od strony prawnej, że tak powiem... Może uda się znaleźć coś, co pomogłoby sir Edwardowi.

- Oczywiście, mógłbym się tym zająć - odrzekł z lekkim wahaniem Cecil Halliday. - Ale tylko pod warunkiem że powie mi pan, milordzie, dlaczego tak bardzo chce pomóc Cavenhurstom.

- Zamierzam wkrótce ożenić się z córką sir Edwarda i nie chcę, by Cavenhurstowie zubożeli. To chyba naturalne. Spłaciłbym jego długi, lecz sir Edward jest zbyt dumny, by przyjąć pomoc. Gdyby zatem nie wszystkie przedsięwzięcia Bolsovera okazały się zgodne z prawem, zyskalibyśmy istotny argument... w negocjacjach.

- Dokładnie wszystko sprawdzę. Ma pan moje słowo - powiedział Cecil Halliday.

- Ale będziesz musiał zająć się tym sam - odezwał się na to jego ojciec. - Sir Edward nie ma pieniędzy na honorarium i nie zamierzam poświęcać jego sprawom więcej czasu.

Mark wyszedł z kancelarii rozgniewany postawą prawnika, dla którego pieniądze były jedynym powodem lojalności. Okazywało się bowiem, że kiedy tylko jego wieloletni klient popadł w tarapaty, Halliday nie zamierzał udzielić choćby najmniejszego wsparcia.

Następnie Mark skierował swe kroki do dowództwa Gwardii Konnej, gdzie spotkał się ze swym znajomym, pułkownikiem Bagshottem. Poprosił go o znalezienie wszelkich informacji na temat lorda Hectora Bolsover i jego kompana, Toby'ego

Moore'a, który podawał się za kapitana. Pułkownik obiecał spełnić prośbę i obaj panowie umówili się nazajutrz na kolację.

- Bolsover nigdy nie służył w wojsku. Jeżeli, jak twierdzisz, był podczas wojny na Półwyspie Iberyjskim, to tylko jako cywil. I właściwie nie mam pojęcia, po co tam pojechał.

- Jest hazardzistą - odrzekł Mark. - I udał się tam bez wątpienia, by ogrywać oficerów. A co z Tobym Moore'em?

- Toby Moore został wydalony z wojska za tchórzostwo po oblężeniu Ciudad Rodrigo. Nie ma prawa podawać się za kapitana. - Tu pułkownik zamilkł na chwilę, po czym zapytał: - Powiesz mi, o co chodzi?

Mark przedstawił mu tę samą historię, którą przedtem opowiedział prawnikom.

- Miałem nadzieję znaleźć na Bolsovera jakiś haczyk - wyznał. - Ale, jak dotąd, dowiedziałem się tylko tyle, że jest on pierwszej wody oszustem.

- Przykro mi, że nie mogłem pomóc - powiedział pułkownik. - Jeżeli dowiem się czegoś więcej, dam ci znać.

Mark musiał się tym zadowolić, po czym zmienili temat i mimo wszystko spędził wieczór w miły sposób. Choć na chwilę oderwał myśli od problemu, który go tak nurtował. Prawda jednak była taka, że zrobił bardzo nieznaczne postępy. Wciąż był daleki od spełnienia obietnicy, którą dał Jane.

W dzień kiermaszu pokojówka Bessie obudziła Jane bardzo wcześnie. Gdy odsunęła zasłony w oknach, sypialnię zalało światło porannego słońca.

- To dobry znak, Bessie - powiedziała Jane z uśmiechem. - Pan Bóg zsyła nam piękną pogodę.

Przecucia Jane nie zawiodły jej i kiermasz okazał się prawdziwym sukcesem. Ceremonię otwarcia rozpoczął Mark. Oznajmił zgromadzonym, że zebrali się, by miło spędzić czas, ale także po to, by uczcić pamięć poległych podczas wojny żołnierzy i marynarzy, których osieroconymi dziećmi postanowiła zaopiekować się panna Jane Cavenhurst. Następnie głos zabrała Jane, która wyjaśniła, że zebrane tego dnia pieniądze zostaną przeznaczone na umeblowanie i prowadzenie założonego przez nią Domu Dziecka w Witherington. Po krótkiej modlitwie, poprowadzonej przez wielebnego Cauldera, lady Wyndham ogłosiła kiermasz za rozpoczęty. Na gości czekały nie tylko wyjątkowe wyroby i smakołyki, ale również rozmaite gry i zabawy.

W pewnym momencie Jane, stojąc na podwyższeniu obok lady Wyndham, zobaczyła wśród tłumu lorda Bolsover, który zmierzał w jej stronę. Jego lordowska mość, zdjąwszy kapelusz, powitał ją przesadnie głębokim ukłonem, po czym przekonał, by odbyła z nim wspólną przechadzkę. Zjawił się, by usłyszeć jej odpowiedź, i dodał zaraz, że jest pewien, że przyjmie jego oświadczenia. Zapropnował również, że ogłosi ich zrękowiny natychmiast całemu zgromadzonemu na kiermaszu tłumowi.

- Nie, nie - zaprotestowała przerażona. - Proszę tego nie robić. Jest na to za wcześnie... Ja... potrzebuję więcej czasu.

- Miała pani cały miesiąc.

- Tak... Ale przecież pan wie, że byłam nieprzytomna...

- Jednak teraz jest pani zdrowa.

- Dam panu odpowiedź po ślubie mojej siostry. Za trzy tygodnie - zapewniła, chwytając się tego pomysłu jak tonący brzytwy. - Tak... wtedy odpowiem...

Na tym ich rozmowa się urwała, bo do Jane podbiegła pastorowa z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą. Jego lordowska mość się oddalił ze zdradzającym pewnością siebie uśmiechem, a do Jane zaraz przyłączył się Mark.

- Co mówił? - zapytał.

- Kto?

- Bolsover. Co powiedział?

- To, co przedtem. Poprosiłam go, żeby dał mi więcej czasu. Zobowiązałam się, że udzielię mu odpowiedzi po twoim ślubie.

- Po moim ślubie! A on? Zgodził się?

- Nie wiem, zanim cokolwiek odrzekł, przerwała nam pani Caulder.

- Doskonale! - roześmiał się Mark.

- To nie jest śmieszne.

- Jeśli dzięki temu zyskaliśmy na czasie...

- Zyskaliśmy? My?

- Tak. My. Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci wyjść za tego drania? - spytał Mark, po czym wtajemniczył ją w swój plan skompromitowania Bolsovera. Zapewnił, że zrobi wszystko, by ten cel osiągnąć.

Po tych słowach rozstali się i każde udało się do swoich obowiązków. Zadaniem Marka na zakończenie kiermaszu było zebranie wszystkich pieniędzy. Obszedł więc cały teren, zbierając pieniądze do dużej płóciennej torby, a potem udał się pieszo do rezydencji Broadacres, by umieścić je w sejfie, gdzie miały być przechowywane aż do chwili wpłacenia na konto bankowe sierocińca.

Był już prawie w domu, gdy spotkał swego niedoszłego družbę, Jonathana Smythe'a, idącego z rezydencji. Tego, który musiał udać się do Szkocji do chorej, bliskiej śmierci krewnej. Okazało się, że owa krewna zmarła, a Jonathan odziedziczył po niej spory majątek. Na dodatek spotkał w Szkocji Drew Ashtona wizytującego swoją cioteczną babkę. O ile pierwsza wiadomość spotkała się z obojętnością Marka, to druga sprawiła mu ogromną radość. Jonathan bowiem znał szkocki adres Ashtona, a to oznaczało, że Mark jest blisko rozwiązania swego największego problemu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiermasz przyniósł pokaźną sumę czterdziestu funtów, za którą Jane mogła zakupić meble do sypialni w domu dziecka. Zajęła się też z pomocą Marka kompletowaniem personelu. Do państwa Godfreyów, którzy zostali w Witherington, dołączyło wkrótce jeszcze jedno małżeństwo oraz pani Butler, matka dwojga małych dzieci, które miały wkrótce zamieszkać w domu. Tym sposobem zyskali gospodynię i nauczyciela. Przewidując, że wkrótce będzie potrzebowała więcej osób do pomocy, Jane zapisywała nazwiska innych zgłaszających się do pracy, obiecując, że powiadomi ich, kiedy będą potrzebni. Wśród nich znalazł się pewien Portugalczyk, młody człowiek nazwiskiem Paolo Estaban. Paolo ponoć był podczas wojny służącym pewnego brytyjskiego oficera, który nie zapłacił mu za kilka ostatnich tygodni pracy. Przyjechał do Anglii, aby go odnaleźć i upomnieć się o swój dług. Potrafił zajmować się końmi, zatem Jane, która zamierzała nabyć dla sierocińca konia i bryczkę, powiedziała mu, żeby zjawił się ponownie w przyszłym tygodniu.

Żałoba miała się ku końcowi i data ślubu, a tym samym dzień ogłoszenia zaręczyn Jane z Bolsoverem, zbliżał się nieubłaganie. Mark, co prawda, obiecał, że zrobi wszystko, by temu zapobiec, jednak przestał pokazywać się w Witherington. Jane doszła do wniosku, że całkiem zapomniał zarówno o tej swojej obietnicy, jak i o tym, że przecież nie tak dawno wyznał jej miłość.

Tymczasem Mark dobrze pamiętał zarówno o jednym, jak i o drugim. I szalał z niepokoju. Od daty ślubu z Isabel, którego tak bardzo chciał uniknąć, dzieliły go zaledwie dwa tygodnie, a Drew jeszcze nie odpisał. Co będzie, jeżeli list do niego nie dotarł? Ucieknie z Jane i ożeni się z nią potajemnie? Nie, ona nigdy się na to nie zgodzi.

Euforia, która go ogarnęła na wieść, że Drew jest w Szkocji, dawno minęła, a on, zgnębiony tymi ponurymi myślami, chodził niespokojnie po domu albo wypuszczał się z Jonathanem na długie konne przejażdżki. Podczas jednej z nich opowiedział przyjacielowi o wszystkim. Jonathan, choć współczuł mu z całego serca, nie potrafił jednak nic doradzić. Gdy wrócili do Broadacres, Mark poszedł zaraz się przebrać i kazał przygotować dwukółkę. Postanowił w końcu przyznać się przed Jane do porażki i prosić ją o wybaczenie.

Harry i Tom – dwaj chłopcy, którzy jeszcze do niedawna żyli z żebraniny na ulicach Norwich i których Jane wzięła pod swoją opiekę – zniknęli. I nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziali. Jane, szalejąc z niepokoju, przeszukała cały dom, jednak po urwisach nie było ani śladu. Czyżby uciekli? – zadawała sobie pytanie. Ale dokąd? Czy do Norwich?

Jej niepokój pogłębił się jeszcze, kiedy się okazało, że ktoś ukradł konia i bryczkę. Od razu postanowiła udać się po pomoc do Marka.

Znalazwszy się na dziedzińcu posiadłości, zobaczyła, że stajenny Jeremy zaprzęga właśnie konie do dwukółki.

- Panno Cavenhurst, co się stało? - zawołał, widząc, jak bardzo jest zmęczona szybkim marszem.

- Proszę sprowadzić lorda Wyndham - powiedziała mu na to prawie bez tchu. - Natychmiast. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Mark zjawił się od razu i przyjął wieść o zniknięciu chłopców ze stoickim spokojem.

- Nie martw się - pocieszał ją, gdy siedzieli już oboje w dwukółce. - Nie mogli odjechać daleko. Dogonimy ich. Najpierw sprawdzimy w Witherington, bo mogli wrócić pod twoją nieobecność.

- Ale ja nie umiem się nie martwić - odrzekła. - Powinnam się była lepiej nimi opiekować. Przecież mogli wpaść do rowu... I może... teraz leżą, bez życia, niezdolni się poruszyć...

- Przestań, Jane, przestań natychmiast. To nie jest twoja wina. Ile mają lat?

- Harry ma dziesięć, a Tom dziewięć.

- Aha. Ja w ich wieku jeździłem sam gigiem po całej posiadłości. A oni, po tym, co przeszli, są jak na swój wiek bardzo dojrzały i samodzielni. Dadzą sobie radę.

- Miejmy nadzieję - odrzekła Jane, starając się uspokoić.

Dojeżdżali już prawie do Witherington, gdy zobaczyli przed sobą bryczkę, a w niej dwóch chłopców. Powoził mężczyzna, który skierował pojazd w stronę sierocińca, po czym zatrzymał się na podwórzu tuż przed wejściem. Dwukółka Marka po chwili dogoniła ich. Jane wysiadła i ruszyła biegiem w stronę chłopców.

Mężczyzna, który powoził bryczką, zeskoczył na ziemię i kłaniał jej się ze słowami:

- Señorita, sądzę, że ta bryczka należy do pani.

- Pan Estaban! - zawołała zaskoczona.

- Znasz tego człowieka, Jane? - zapytał Mark, stając tuż obok niej.

- Tak. Pan Estaban zgłosił się niedawno do nas, poszukując pracy - wyjaśniła.

Zaraz okazało się, że chłopcy wzięli bryczkę, by pojechać do najbliższego miasta, ale zabłądzili i dopiero Paolo pomógł znaleźć im drogę.

- Wy tłumaczyłem im, jak bardzo pani, señorita, będzie się o nich martwiła, i przekonałem, że trzeba natychmiast wracać do domu. A potem ich tu przywiozłem. Same kobiety i tylko jeden stary sługa to za mało. Potrzebny pani mężczyzna, żeby upilnować takich chłopców.

- Pan Estaban ma rację - poparł Portugalczyka Mark, po czym poprosił go, by opowiedział mu o sobie.

Paolo powtórzył to, co przedtem usłyszała od niego Jane, i zakończył zapewnieniem, że potrafi zajmować się końmi i dziećmi.

Mark zgodził się natychmiast go zatrudnić.

- Jedźcie do gospody i przywieźcie swoje rzeczy. Możecie zacząć pracę od zaraz - powiedział. - A wy, chłopcy - zwrócił się do urwisów - marsz do kuchni. Tam czekacie, aż zadecyduję, jaką dać wam karę.

Gdy wszyscy trzej wyszli, Mark usiadł obok Jane i wziął ją za rękę.

- Przestań tak drzeć, kochanie. Już jest po wszystkim. Chłopcy są bezpieczni, a pan Estaban na pewno się tutaj przyda.

- Ciebie z pewnością nie zastąpi.
- Mam nadzieję! - zażartował Mark, na co Jane uśmiechnęła się.
- Co porabiałeś ostatnio? Byłeś bardzo zajęty? - zapytała.
- Nic specjalnego. Czekałem na cud.
- Cuda nie zdarzają się prawie nigdy. Głupotą byłoby na nie liczyć.
- Och, sam już nie wiem...

Zamilkł. Nie mógł mówić dalej. Nie chciał dodawać jej zgryzot.

- Chcesz, żebym cię zawiózł do domu?

- Nie, dziękuję. Mam już bryczkę, więc będę mogła wrócić sama, a poza tym powinnam poczekać na pana Estabana. Staram się teraz mało przebywać w Greystone, bo Bolsover jest tam zbyt częstym gościem.

- Nie wychodź za niego, Jane. Bardzo cię o to proszę. Ja... tego nie zniosę.

- Ależ, Mark, to nie zależy do ciebie. Wkrótce ożenisz się z Isabel. A ja... Wiele osób sądzi, że mam szczęście... W wieku lat dwudziestu siedmiu znalazłam bogatego kandydata na męża... i na dodatek utytułowanego...

- Ale ty sama... chyba tak nie sądzisz?

- Nie mogę jednak nie brać tego pod uwagę.

- Nie wierzę!

Jane westchnęła.

- Nie ma sensu o tym mówić. Jedź do domu, proszę... Nasz los został przesądzony...

Mark, choć bardzo niechętnie, pożegnał się, wsiadł do dwukółki i mocno przygnęciony ruszył przed siebie.

Miał jechać do Broadacres, jednak zmienił zamiar i skręcił w drogę prowadzącą do Greystone. Postanowił powiedzieć Isabel, co naprawdę czuje, z nadzieją, że zwolni go z danego słowa.

Ze smutnego zamyślenia wyrwał go nagle tętent końskich kopyt i wołanie.

- Mark! Stój! Poczekaj!

Obejrzał się i zobaczył, że galopuje za nim Jonathan.

- Skąd wiedziałeś, dokąd pojechałem? - zapytał go, gdy się zrównali.

- Jeremy mi powiedział. Mark, wracaj do Broadacres. Drew przyjechał!

- Drew?

- Tak. Chciał zaraz jechać do Greystone, ale przekonałem go, że najpierw powinien porozmawiać z tobą.

Mark natychmiast zawrócił, a znalazłszy się w Broadacres, pospieszył czym prędzej do salonu, gdzie zastał swego przyjaciela pijącego czekoladę w towarzystwie lady Wyndham. Drew opowiedział mu zaraz o wszystkim, co robił od chwili, gdy otrzymał jego list. Z jego opowieści wynikało, że podobnie jak Mark zadawał sobie szereg pytań na temat lorda Bolsover i niejasnego pochodzenia jego majątku. Drew udał się zatem do Londynu, gdzie odszukał Toby'ego Moore'a i nie tyle prośbą, co groźbą wydobyl od niego interesujące informacje.

- Powiem ci, Mark - uśmiechnął się Ashton - że nie jest z niego człowiek waleczny.

- To prawda. Został wydalony ze służby za tchórzostwo. Miał szczęście, że nie

skończyło się to rozstrzelaniem.

- I właśnie wtedy, gdy go wydalono z wojska, poznał Bolsovera, który mieszkał w Lizbonie - opowiadał dalej Drew. - Uprawiali razem hazard, nie zawsze grając uczciwie. Bolsover miał żonę, Portugalkę, córkę bogatego hrabiego, która po śmierci ojca odziedziczyła wielki majątek. Obok hazardu, jak się domyślasz, zajmował się trwonieniem jej fortuny. Gdy Bolsoverem i Moore'em oraz ich nieuczciwymi karcia- nymi sztuczkami zainteresowały się władze, uciekli obaj do Anglii.

- A co stało się z żoną Bolsovera?

- Zaraz do tego dojdę. Pamiętaj, mówiłem ci, że zamierzam kupić statek, piękny kliper o nazwie „Jaskółka”? Otóż nabyłem go i popłynąłem nim do Lizbony, a tam od- szukałem lady Bolsover. Okazało się, że kiedy Bolsover dotkliwie ją pobił, dama ta uciekła od niego i znalazła schronienie u ciotki i wuja. Oni z kolei wysłali swego syna do Anglii, aby znalazł zbiegłego małżonka. Wygląda na to, że Bolsover wyczuł pismo nosem i postanowił się gdzieś ukryć. Dowiedziawszy się o długach sir Edwar- da, wpadł na pomysł, by ukryć się w Hadlea.

- A więc on ma żonę! - zawołał Mark uszczęśliwiony. - Dziękuję ci, Drew, dzięki- je ci bardzo! - dodał, ściskając dłoń przyjaciela.

- A co z Isabel? - zapytała milcząca dotychczas lady Wyndham. - I co z długami sir Edwarda? Marku, rozwiążaliście dopiero połowę problemu.

- Właśnie - zwrócił się Mark do Drew. - Co z Isabel?

- Zamierzam wkrótce udać się do Greystone, by poprosić sir Edwarda o pozwole- nie - odrzekł Ashton. - Jeżeli w obecnej sytuacji pomoc mogą pieniądze, sir Edward je dostanie. Przygotowałem dla nich jeszcze jedną niespodziankę. „Jaskółka” popły- nęła dalej z Lizbony do Indii, a jej kapitan na moją prośbę odszuka w Kalkucie Ted- dy'ego. Sądzę, że sir Edward z małżonką ucieszą się z powrotu syna.

- Muszę natychmiast jechać do Jane - oznajmił Mark.

- Nie dzisiaj, synu. Pojedźcie tam obaj jutro - powiedziała jego matka, po czym zadzwoniła na lokaja, który zaraz odprowadził Drew do sypialni.

Kiedy zostali sami, ponownie zwróciła się do syna.

- Jakkolwiek by na to patrzeć, spowoduje to wielki skandal.

- Wiem, mamu. Jednak nie tak wielki, jak gdybym uciekł z Jane albo Drew z Isa- bel.

- Mam nadzieję, że żaden z was nie myślał o czymś takim.

- Z całą pewnością nigdy bym nie uzyskał na to zgody Jane...

- A zatem - powiedziała matka - idźmy dziś spać z nadzieją, że sir Edward przy- chylnie odniesie się do waszych zamiarów.

Na drugi dzień rano obaj dżentelmeni, bardzo starannie ubrani i podekscytowani, wyruszyli kareta do Greystone.

- Zatrzymamy się po drodze i wypłoszymy Bolsovera z łóżka? - zapytał Mark, gdy zbliżali się do gospody Pod Lisem i Chartami. - Mam wielką ochotę popędzić mu kota.

- I mnie w tej chwili nic nie sprawi większej przyjemności - odrzekł Drew.

W dwie minuty później wkroczyli obaj do pokoju Bolsovera w gospodzie, gdzie za- stali go jedzącego w łóżku śniadanie.

- Co wy, u diabła... - zaczął Bolsover i zamilkł, bo Drew nie pozwolił mu skończyć. Zabrał mu tacę ze śniadaniem i umieścił ją na stole, mówiąc:

- Już jest po śniadaniu, milordzie. Czas się pożegnać. Gra dobiega końca, a my trzymamy wszystkie karty atutowe.

- Nie wiem, o czym mówicie.

- Mówimy o usiłowaniu bigamii, mój panie - włączył się Mark. - Czyli o czymś zdecydowanie sprzecznym z prawem.

- Co to za jakieś brednie?

Bolsover był wyraźnie zbity z tropu.

- Dama ma na imię Juanita - powiedział Drew. - A nazywa się Estaban. Mam kopię kościelnego rejestru zaświadczającą, że w katedrze w Lizbonie odbył się wasz ślub. Czy chce pan ją zobaczyć, by odświeżyć sobie pamięć?

- Nie.

- Oczywiście, że nie. Doskonale zna pan treść tego dokumentu. Zostawił pan po bitą do nieprzytomności żonę i uciekł pan do Anglii. Ale ściga pana ktoś z rodziny żony. I... nie chciałbym być na pańskim miejscu, gdy ten ktoś pana znajdzie.

- Bigamia czy morderstwo? - zwrócił się Mark do Drew. - Samo oskarżenie sprawi, że nasz dżentelmen znajdzie się w poważnych tarapatach.

- Oczywiście - zgodził się Drew. - A zatem zamknijemy go w areszcie i postawimy przed sądem?

- Nie, błagam nie - prosił Bolsover, trzęsąc się ze strachu.

- Ma pan tylko jedno wyjście - powiedział Mark. - Musi pan wyjechać dzisiaj, popołudniowym dylizanssem.

- A co będzie, jeżeli tego nie zrobię?

- No cóż, wybór należy do pana. Ale nie chciałbym być na pańskim miejscu, gdy znajdzie pana Estaban - oznajmił Mark, po czym zwrócił się do Drew: - Zostawimy go teraz, by mógł się zastanowić?

- Jesteś dla niego zbyt pobłażliwy, mój przyjacielu - odrzekł Drew. - Ponieważ jednak bardzo mi się spieszy, zgadzam się: dajmy mu szansę taką, jaką podczas polowania daje się lisowi.

Gdy znaleźli się już na powrót w karecie, Mark powiedział, że w sierocińcu pracuje człowiek o nazwisku Estaban.

- To nie może być przypadek, prawda?

- Raczej nie - zgodził się Drew.

- Ten człowiek musi wiedzieć, gdzie jest Bolsover. Inaczej by tutaj nie przyjechał...

- Zapewne, a reszta nie jest naszym zmartwieniem - odrzekł Drew w chwili, gdy karetka zajechała przed Greystone. - A teraz - dodał bardzo przejęty - pozwolę ci przedstawić sir Edwardowi dobre nowiny. Sam natomiast poszukam Isabel i zaprowadzę ją w miejsce, gdzie będziemy tylko we dwoje...

Drzwi otworzyła im Sophie, która na widok Drew wydała głośny okrzyk i zaraz pobięła do salonu.

- Papo, mam, Issie, przybył lord Wyndham i przyprowadził ze sobą pana Ashtona! - wołała.

Isabel wybiegła do holu i na widok Drew stanęła jak wryta.

- To naprawdę ty? - zapytała.

- A któż by inny - odrzekł, ujmując ją za rękę i kłaniając się nisko. - Jak się miewasz, kochanie?

Isabel przeniosła wzrok na Wyndhama.

- Mark? - zapytała.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - odrzekł. - Idę porozmawiać z Jane i jej rodzicami.

- Jane nie ma. Pojechała do Witherington. Spędza tam ostatnio całe dni.

Mark miał ochotę odwrócić się na pięcie i popędzić galopem do domu dziecka, jednak grzeczność wymagała, by najpierw pomówił z sir Edwardem i lady Cavenhurst. Wszedł więc do salonu i ukłonił się im obojgu.

- Dzień dobry państwu - powiedział. - Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo, że składam wizytę o tak wczesnej porze. Mam jednak dobre nowiny i nie mogłem się doczekać, kiedy je państwu przedstawię.

- Sophie mówiła, że przyjechał także pan Ashton - powiedziała lady Cavenhurst.

- To prawda. Rozmawia teraz z panną Isabel. Wkrótce zapewne oboje się tu zjawią.

Sir Edward wstał.

- Chce pan powiedzieć, że zostawił ich pan samych? - zapytał gniewnie.

- Tak. I... proszę im dać parę minut. Tymczasem wyjawię, po co przyjechałem.

Sir Edward był widocznie poirytowany, ale nie zaprotestował.

- Przede wszystkim, sir - mówił dalej Mark - chcę panu powiedzieć, że nie ma pan już się czego obawiać ze strony lorda Bolsover. Wyszły na jaw jego niegodziwości i został całkiem skompromitowany. Nie będzie już państwa niepokoił. Długi zostały anulowane, a majątek Greystone jest bezpieczny.

- Dzięki Bogu - westchnęła z ulgą lady Cavenhurst.

- To naprawdę dobra wiadomość - dodał sir Edward. - Ale jak to się stało?

- Dzięki staraniom mego przyjaciela, pana Ashtona. To jemu, sir, powinien pan podziękować.

- Ale... Ale... proszę nam wszystko opowiedzieć, milordzie.

- Pozostawię to zadanie Drew, bo to on zna wszelkie szczegóły. Tymczasem za państwa pozwoleniem pojedę do Witherington, żeby pomówić z Jane.

- Oczywiście, proszę jechać - odrzekła lady Cavenhurst. - Jane dozna wielkiej ulgi...

Mark ukłonił się i wyszedł z salonu, a w następnej chwili, przechodząc przez hol, zobaczył Drew i Isabel, którzy stali czule objęci i się całowali. Roześmiał się na to, po czym wsiadł do karety i z sercem tak lekkim jak nigdy dotąd ruszył do Witherington.

Paolo Estaban okazał się doskonałym pracownikiem. Zajmował się koniem, drobnymi naprawami, pracami w ogrodzie i wszystkim innym, co było do zrobienia. Uprzedzał wprost polecenia Jane, a robota paliła mu się w rękach. Nie mówił jednak za wiele o sobie.

- Opowiedzcie mi o swojej rodzinie - poprosiła go Jane, podczas gdy oboje prac-

wali w ogrodzie. – Tęsknicie za nią?

– Tak, señorita, bardzo.

– A liczną macie rodzinę?

– Mam ojca, matkę i dwie siostry, a także kuzynkę, która mieszka z nami. Jest zamężna, a jej mąż jest Anglikiem.

– Czy to ten oficer, przez którego znaleźliście się w Anglii?

– Nie. Mąż mojej kuzynki nie jest oficerem. Nazywa się dżentelmenem, ale tak naprawdę to żaden z niego dżentelmen. Był okrutny dla Juanity. I gdy ona zarzuciła mu, że uprawia hazard i ma kochanki, pobił ją tak, że omal nie umarła. Znalazłem ją nieprzytomną i zabrałem do domu moich rodziców. A potem okazało się, że uciekł. Wrócił do Anglii, zabierając ze sobą cały majątek. Więc... czy to zaskakujące, że pragniemy zemsty?

– A wiecie, gdzie on jest?

– O tak, wiem. I teraz... już nie muszę długo czekać.

– Co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Mógłbym przebić mu serce szpadą... Albo go zastrzelić... Ale najpierw chcę odzyskać pieniądze.

Jane, przestraszona nie na żarty, postanowiła odwieść Paola od zamiaru samodzielnego wymierzania sprawiedliwości.

– Ależ, Paolo – powiedziała – to sprawa dla sądu. Trzeba o niej donieść władzom.

Nie chciał o tym słyszeć. Jego zdaniem sąd uznałby, że mężczyzna ma prawo skarcić żonę i wolno mu dowolnie dysponować majątkiem żony.

– Być może będzie miał wypadek. A być może wyzwe go na pojedynek, skoro jest dżentelmenem... – powiedział, mrużąc oczy.

– Nie, nie! – zaprotestowała Jane. – Pojedynki są w Anglii zabronione. A poza tym... on mógłby cię zabić. Już wiem... powiedzcie o wszystkim lordowi Wyndham. On dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość.

Paolo uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie, señorita – powiedział – to mój obowiązek, chodzi o moją siostrę. A teraz pójdę spalić wszystkie te suche chwasty i badyle.

Jane patrzyła przez chwilę, jak rozpala ognisko, a potem zatroskana pospieszyła do domu. W połowie drogi wpadła na panią Butler, która spieszyła w jej stronę.

– Panno Cavenhurst, ma pani gościa – powiedziała zdyszana. – Zostawiłam go w salonie... Proszę szybko... Miota się jak jakieś dzikie zwierzę w klatce...

– Podał swoje nazwisko?

– Nie. Ale znam go z widzenia, bo ostatnio... był kilka razy w wiosce...

Kto to może być? – zastanawiała się Jane. Na pewno nie Mark ani jej ojciec. bo pani Butler ich znała i podaliby nazwisko. Oby nic nie stało się Markowi! Jane, pełna niepokoju, weszła szybko do domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ostatnią osobą, której się spodziewała, był lord Bolsover. Jednak to jego zastała w salonie.

- Co pan tu robi? - zapytała bez grzecznościowych wstępów.

- Nie jest to miłe powitanie - odrzekł.

Włosy w nieładzie i niezbyt staranny ubiór świadczyły o pośpiechu, w jakim przygotowywał się do wyjścia.

- Jestem bardzo zajęta - wyjaśniła Jane. - Zatem proszę powiedzieć, o co chodzi, i czym prędzej opuścić ten dom.

- Chodzi mi o panią.

- O mnie? Przecież ustaliliśmy, że odpowiem panu po ślubie mojej siostry.

- Nie jestem skłonny czekać tak długo. Muszę się ożenić jak najszybciej. Nie sądzę, byśmy się mogli pobrać w Hadlea, a zdobycie specjalnych pozwoleń zajmie czas, a... nie potrzebujemy przecież takich nonsensów, prawda? Wystarczy nam zwykła przysięga i... skonsumowanie.

- Jeżeli pan sądzi, milordzie, że zgodzę się postąpić tak haniebnie, to się pan myli. Musi pan poczekać, aż moja siostra wyjdzie za mąż. A teraz proszę opuścić ten dom.

- Problem polega na tym - odrzekł, nie ruszając się z miejsca - że lord Wyndham nie poślubi pani siostry.

- Jak to?

- Sądzę, że pani siostra ma inne zamiary. Obawiam się, że ucieknie z panem Ashtonem.

- Nie wierzę panu.

- Może mi pani nie wierzyć - odrzekł, wzruszając ramionami. - Jednak taka właśnie jest prawda... Wywoła to oczywiście wielki skandal. A co do lorda Wyndham... - dodał ze śmiechem - ...to straci on nie tylko narzeczoną, ale i kochankę.

- Niech pan nie opowiada głupstw. Jest pan pijany.

Jane była przerażona, ale próbowała tego nie okazywać. Kiedy chciała krzyknąć, zatkał jej usta dłonią, a potem tak mocno popchnął, że uderzyła głową o ścianę.

- Powiedziałem matce, że znalazłem sobie odpowiednią narzeczoną i matka chce panią niezwłocznie poznać - powiedział, chwytając ją mocno za ramię. - Moja karetka czeka.

- Niech mnie pan puści! - Uderzenie o ścianę sprawiło, że Jane kręciło się w głowie. - Nigdzie z panem nie pojedę!

- Niestety, kochanie, nie masz wyboru.

Zatykając jej usta jedną ręką, a drugą wykręcając za plecami jej ramię, wyprowadził ją na zewnątrz i poprowadził w stronę czekającej karety. Stangret otworzył drzwiczki pojazdu, a Bolsover podniósł ją oburącz i dosłownie cisnął na siedzenie. Zaczęła krzyczeć, a on zamachnął się na nią, ale nie zdążył jej uderzyć. Pojawił się Paolo z płonącą głownią w ręku.

Bolsover odwrócił się, by zmierzyć się z niespodziewanym przeciwnikiem. Paolo

trzymał jego i stangreta na dystans, wywijając głownią i wykrzykując coś po portugalsku. Wszyscy trzej znajdowali się tak blisko karety, że zagradzali Jane drogę ucieczki. W pewnym momencie od głowni zajęły się zasłonki w okienku, a od nich zaraz zapaliło się nadwozie.

Przerażone konie stanęły dęba, a kareta niebezpiecznie się zakołysała. Rozpętało się istne piekło. Zbiegli się ludzie, żeby walczyć z ogniem, lecz na próżno – płomień stawały się coraz większe. Dym był tak gęsty, że Jane nikogo nie widziała. Była jednak pewna, że słyszy głos Marka, a potem ktoś ją objął, wyciągnął z karety i położył na trawie. Nie czuła już gorąca i gryzącego dymu.

- Mark, czy to ty? – zapytała, krztusząc się jeszcze dymem.

- Tak, moja najdroższa – odrzekł Mark, siadając obok. – Jesteś już bezpieczna.

- A co z Bolsoverem?

- Stracił przytomność od dymu. Gdy ją odzyska, stanie przed sądem.

- A Paolo?

- Ma poparzone ręce i nadpalone włosy. Opiekuje się nim pani Butler. Ale co z tobą? Jak się czujesz?

- Dobrze... Chce mi się pić.

- Chodźmy zatem do domu – powiedział Mark, po czym wziął ją na ręce i ruszył ku drzwiom do kuchni.

- Proszę przynieść pannie Cavenhurst kojące ziółka i coś do picia – polecił pani Godfrey i przeszedł do salonu. Posadził Jane na sofie, a sam zajął miejsce obok i objął ją ramieniem.

- Zjawiłem się w ostatniej chwili – wyjaśnił. – Estaban opadał z sił po walce z dwoma przeciwnikami, a ogień zajął prawie całą karete.

- Paolo to odważny człowiek – odrzekła Jane. – Sądzę, że zna lorda Bolsover i ma z nim osobiste porachunki... Mówił mi o zemście... Ale to, co uczynił... to nie była zemsta... On mnie uratował.

- To prawda – przyznał jej rację Mark.

Naraz do salonu weszła pani Godfrey, niosąc kojące ziółka i likier owocowy. Mark podziękował jej i pomógł Jane się napić.

- To było straszne, Marku – powiedziała Jane, kiedy się już trochę uspokoiła. – Lord Bolsover powiedział, że mnie zawiezie do swojej matki i że ślub kościelny to zbędny nonsens... Że wystarczy nam zwykła przysięga... i... skonsumowanie...

- Już po wszystkim, kochanie. On nie może cię już skrzywdzić.

- On ma żonę. Paolo opowiadał mi o angielskim mężu swojej kuzynki... ale wtedy nie wiedziałam, że ma na myśli właśnie jego.

- Jego lordowska mość sądził, że zabił swoją małżonkę. Dlatego uciekł do Anglii. Chciał uniknąć sądu w Portugalii... Ale jego żona przeżyła.

- Powiedział, że Issie zamierza uciec z panem Ashtonem.

Mark roześmiał się na to.

- Nie zamierza... Nie muszą uciekać, ponieważ sir Edward wyrazi zgodę na ich ślub. – Pocałował ją w czubek nosa. – I my też możemy się pobrać, kochanie. To znaczy... jeżeli mnie zechcesz.

- Oczywiście, że zechcę. Ale... skandal...

- Nie ma żadnego „ale”, Jane.

- Och, Marku...

Ziółka zaczęły działać, więc Jane oparła głowę na ramieniu Marka. Przytulił ją mocno i pocałował w czubek głowy. A potem siedział przy niej w milczeniu, wyobrażając sobie ich wspólne, pełne miłości życie.

Po krótkim zamieszaniu i długich wyjaśnieniach nareszcie w Greystone zapanowała wielka radość. Lord Bolsover, z twarzą poparzoną i oszpeconą przez płomień, udał się do majątku matki, by żyć tam z dala od ludzi, a Paolo Estaban wrócił do Portugalii, zadowolony z tego, że pomścił kuzynkę. Skandal nie był głośny - ogłoszono po prostu, że lord Wyndham i panna Isabel Cavenhurst zerwali zaręczyny za obopólną zgodą, a po kilku tygodniach, powiadomiono towarzystwo o podwójnych zaręczynach w domu Cavenhurstów.

Uczyniono to podczas koncertu, który lady Wyndham urządziła w rezydencji Broadacres i z którego dochód przeznaczono na Dom Dziecka w Witherington. Goście przyjęli te wieści z zachwytem i gratulowali serdecznie, życząc szczęścia obu parom narzeczonych.

Oba śluby odbyły się jednego dnia w kościele Świętego Piotra. Isabel miała na sobie suknię, którą uszyła dla niej Jane, a Jane również własnoręcznie uszytą suknię z kremowego atłasu. Uroczyste śniadanie, wydane w Greystone, było wspaniałe, dokładnie takie, jakie Isabel sobie wymarzyła. Na ślubie pojawił się również Teddy, który poprzedniego dnia wrócił z Indii jako bogaty człowiek, uszczęśliwiając tym całą swoją rodzinę, a zwłaszcza uwielbiającą go matkę.

- A więc, Jane, kochanie - powiedział Mark do żony wieczorem już po weselu - doczekaliśmy cudu, prawda?

- Tak - przyznała. - Ale to ty i Drew sprawiliście, że się dokonał...

Czekała na męża w wielkim łożu z baldachimem w sypialni w Broadacres i patrzyła, jak pozbywa się ostatnich elementów garderoby.

- Czy jesteś zadowolona? - zapytał.

- Zadowolona? Nie mogłabym być bardziej szczęśliwa.

- Zapewniam cię, że za chwilę będziesz nawet szczęśliwsza. Pozwól, że udowodnię ci to - odrzekł i zaczął ją całować.

Poddała się pieścizotom i zaraz zapomniała o nieśmiałości. Potem długo leżeli wtuleni w siebie, zapewniając się szeptem o swej miłości i szczęściu, o którym nie tak dawno nie śmieli nawet marzyć.

Tytuł oryginału
Scandal at Greystone Manor

Pierwsze wydanie
Harlequin Mills & Boon Ltd, 2014

Redaktor serii
Dominik Osuch

Opracowanie redakcyjne
Dominik Osuch

Korekta
Lilianna Mieszczńska

© 2014 Mary Nichols
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościańska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1987-7

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Strona redakcyjna